

ŁAZAR ŁAGIN

# STARUSZEK HASSAN

TYTUŁ ORYGINAŁU: СТАРИК ХОТТАБЫЧ  
PRZEKŁAD: MARIA WITWIŃSKA



NASZA KSIĘGARNIA • WARSZAWA • 1955

## OD AUTORA

*W książce, która nosi tytuł „Tysiąc i jedna noc”, jest „Baśń o rybaku”. Wyciągnął rybak sieć z głębiny morza, a w sieci tej był dzbanuszek miedziany, w dzbanuszku zaś siedział potężny czarodziej: džinn \*. Przez dwa tysiące lat bez mała tkwił uwięziony w tym naczyniu. I przysiągł ów džinn dać szczęście człowiekowi, który go wyzwoli, obdarzyć go bogactwem, otworzyć przed nim wszystkie skarbcze ziemi, uczynić go najpotężniejszym z sułtanów, a ponadto jeszcze — spełnić trzy jego życzenia.*

*Albo weźmy, na przykład, „Lampę Aladyna”. Na pozór była to najzwyczajniejsza w świecie lampa, można powiedzieć — stary grat, wystarczyło jednak jej dotknąć, a zaraz, nie wiadomo skąd, zjawiał się džinn i spełniał każde, choćby najbardziej nieprawdopodobne, życzenie jej właściciela. Macie ochotę na wykwintne jadło i napoje? Proszę bardzo! A może by tak — skrzynie po brzegi wypełnione złotem i drogimi kamieniami? Już się robi! Co? Wspaniały pałac? Za chwilę będzie! Chcecie zmienić waszego wroga w zwierzę albo w gada? Z największą przyjemnością!*

*Wystarczy pozwolić takiemu czarodziejowi, aby obdarzał swego władcę podług własnego gustu, a posypią się wciąż te same skrzynie z kosztownościami, te same pałace sułtańskie do osobistego użytku.*

*Wedle pojęć właściwych džinnom ze starych czarodziejskich baśni, jak również wedle pojęć ludzi, których życzenia owe džinny w swoim czasie spełniały, to właśnie stanowiło najdoskonalsze szczęście, o tym tylko można było marzyć.*

*Wiele setek lat minęło od czasów, gdy po raz pierwszy opowiedziano te baśnie, lecz wyobrażenie szczęścia długo jeszcze wiązało się, a w krajach kapitalistycznych nawet do dziś dnia dla wielu ludzi wiąże się ze skrzyniami napchanymi złotem i brylantami, z panowaniem nad innymi ludźmi.*

*Ach, jak bardzo pragnęliby ci ludzie, żeby się przed mmi zjawił choćby najmarniejszy džinn ze starej baśni ze swoimi pałacami i skarbami! „No, pewnie — tłumaczą sobie — skoro taki czarodziej spędził w zamknięciu dwa tysiące lat, to oczywiście musi być cokolwiek zadowolony. Możliwe, że i pałac ofiarowany przez niego nie będzie posiadał wszystkich wygód, jeśli będziemy go oceniali z punktu widzenia ostatnich zdobyczy techniki. Wszak architektura od czasów Haruna al Raszyda zrobiła niemały krok naprzód! Zjawily się łazienki, windy, duże jasne okna, kaloryfery, światło elektryczne... Mniejsza o to! Nie bądźmy drobiazgowi! Niech džinn daje takie pałace, jakie mu się żywnie podobają, byle tylko były tam skrzynie ze złotem i brylantami! Reszta przyjdzie sama: i szacunek ludzki, i władza, i dobre jedzenie, i zbytkowne a bezczynne życie bogatego »cywilizowanego« nieroba, który z pogardą traktuje każdego, kto żyje z pracy swoich rąk. Takiemu džinnowi można niejedno darować. To nic, że nie zna wielu zwyczajów obowiązujących dziś w stosunkach między ludźmi, że nie ma dobrych manier; i to nieważne, że czasem wpakować może człowieka w sytuację wręcz kompromitującą”. Czarodziejowi, który na prawo i lewo rozrzuca skrzynie pełne skarbów, ci ludzie wybaczą wszystko.*

\* Dżinn — występująca w arabskich bajkach fantastyczna istota z ognia i powietrza, przyjmująca często postać ludzką lub zwierzęcą.

*Co by się jednak stało, gdyby nagle taki dzinn zjawił się w kraju, gdzie ludzie mają zupełnie inne pojęcia o szczęściu i sprawiedliwości, gdzie władza bogaczy od dawna i na zawsze została unicestwiona, a jedynie uczciwa praca daje szczęście, szacunek i sławę?*

*Starłem się sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby uwięzionego w jakimś naczyniu dzinna wyzwolił zwykły radziecki chłopak, taki jakich miliony są w szczęśliwym socjalistycznym kraju.*

*I wtedy nagle — pomyślcie tylko! — nagle dowiedziałem się, że Wolka Kostylkow, ten, co dawniej mieszkał przy Triechprudnym Zaułku, no, wiecie chyba, ten Wolka Kostylkow, który w zeszłym roku na obozie najlepiej ze wszystkich chłopców nurkował... Zresztą posłuchajcie! Opowiem wam wszystko po kolei.*

## I. Niezwykły ranek

Rano o godzinie siódmej minut trzydzieści dwie wesoły promyczek prześliznął się przez dziurkę w firance i usadowił na końcu nosa ucznia klasy szóstej, Wolki Kostylkowa. Chłopiec kichnął i obudził się.

Wtedy właśnie z sąsiedniego pokoju dał się słyszeć głos matki:

— Nie ma powodu do pośpiechu, Alosza. Niech sobie dzieciak pośpi. Czeką go dziś egzamin.

Wolka się skrzywił. Kiedy wreszcie mama przestanie go nazywać dzieciakiem?

— Zawracanie głowy — odpowiedział za przepierzeniem ojciec. — Chłop niedługo kończy trzynaście lat. Powinien wstać i pomóc w pakowaniu rzeczy... Tylko patrzeć, jak mu broda zacznie się sypać, a ty nic, tylko: dzieciak, dzieciak...

Pakowanie rzeczy! Jak można było o tym zapomnieć!

Wolka odrzucił kołdrę i zaczął z pośpiechem naciągać spodnie. Jak można było o tym zapomnieć! Taki dzień!

Rodzina Kostylkówów przenosiła się dziś do nowego mieszkania, do nowiusieńkiego sześciopiętrowego domu. Jeszcze poprzedniego dnia wieczorem prawie wszystkie rzeczy zostały spakowane. Mama z babunią poukładały naczynia w małej wanience, w której kiedyś, bardzo dawno, kąpano niemowlę imieniem Wolka. Ojciec, zakasawszy rękawy, trzymał w ustach gwoździe jak szewc i zabijał skrzynki z książkami. Potem zaczęła się sprzeczka, gdzie należy złożyć rzeczy, żeby je rano wygodniej było wynosić. Potem wszyscy pili herbatę, jak to bywa w podróży, przy stole nie nakrytym serwetą. Potem zdecydowano, że „ranek zawsze od wieczora zmyślniejszy”, i wszyscy poszli spać. Jednym słowem — nie do wiary, że Wolka mógł zapomnieć o dzisiejszej przeprowadzce do nowego mieszkania...

Nie zdążyli nawet wypić herbaty, gdy już z łomotem wtargnęli ludzie, którzy mieli łądować rzeczy. Zaczęło się od tego, że szeroko otworzyli jedną i drugą połowę drzwi wejściowych i donośnym głosem zapytali:

— Czy można zaczynać?

— Prosimy — odpowiedziały jednocześnie mama i babunia i zaczęły się gorączkowo krzątać.

Wolka wyniósł triumfalnie do trzytonowej ciężarówce oparcie i wałki od kanapy.

— Przeprowadzacie się? — zapytał chłopiec od sąsiadów.

— Przeprowadzamy się — niedbale odpowiedział Wolka z taką miną, jakby co tydzień przenosił się z mieszkania do mieszkania i nie uważał tego za rzecz niezwykłą.

Podszedł też dozorca Stiepanycz, z głębokim namysłem skręcił papierosa i niespodziewanie zaczął z Wolką poważny dyskurs, jak równy z równym. Chłopiec był z tego powodu tak dumny i szczęśliwy, że aż poczuł lekki zawrót głowy. Zdobył się wreszcie na odwagę i poprosił, żeby Stiepanycz odwiedził ich w nowym mieszkaniu. Dozorca odpowiedział, że „cała przyjemność po jego stronie”. Jednym słowem, zapowiadała się ciekawa i rzeczowa rozmowa mężczyzny z mężczyzną, gdy nagle dał się słyszeć głos matki:

— Wolka! Wolka! Że też ten nieznośny dzieciak zawsze się gdzieś zawieruszy!

Wolka popędził co tchu do opustoszałego, dziwnie teraz dużego mieszkania, w którym samotnie poniewierały się strzępy starych gazet i brudne buteleczki, od lekarstw.

— Nareszcie! — powiedziała matka. — Weź no to swoje wspaniałe akwarium i bez gadania pakuj się do samochodu. Nie wiadomo, gdzie toto wetknąć! A uważaj, żebyś nie rozchlapał wody na kanapę!...

To niepojęte, dlaczego rodzice zawsze są tacy zdenerwowani, kiedy mają się przeprowadzać do nowego mieszkania!

## II. Tajemnicze naczynie

Ostatecznie Wolka ulokował się wcale nienajgorzej.

Wewnątrz samochodu panował tajemniczy, chłodnawy półmrok. Gdy się zamknęło oczy, można było sobie wyobrazić, że się jedzie nie przez Triechprudny Zaułek, przy którym przeżyło się całe swoje życie, lecz że przemierza się rozległe syberyjskie przestrzenie, gdzie trzeba w ciężkich walkach z przyrodą wznosić nowy kolosalny obiekt radzieckiego przemysłu. Rzecz prosta, Wolka Kostylkow będzie w pierwszych szeregach stachanowców na tej budowie. Pierwszy też wyskoczy z samochodu, gdy karawana ciężarówek przybędzie na miejsce przeznaczenia. Pierwszy rozepnie swój namiot i zaofiaruje go tym, których w drodze zmogła choroba, a sam będzie rzucał i odparowywał żarty i żarciki, siedząc wspólnie z towarzyszami z tejże budowy przy ognisku, które również sam szybko i sprawnie rozpali. A gdy podczas trzaskających mrozów lub straszliwych zamieci ten lub ów zechce zmniejszyć tempo, to mu powiedzą: „Jak wam nie wstyd, towarzyszu! Bierzcie przykład ze wzorowej brygady Władimira Kostylkowa!”

Za kanapą wznosił się stół jadalny, zdumiewająco teraz ciekawy i niezwykły, bo odwrócony do góry nogami. Na stole brzęczało wiadro pełne rozmaitego szkła. Przy bocznej ścianie wozu niewyraźnie połyskiwało nikłowe łóżko. Stara beczka, w której babunia kiszyła na zimę kapustę, miała niespodziewanie wygląd tak uroczysty i tajemniczy, że Wolka wcale by się nie zdziwił, gdyby nagle usłyszał, że to w niej właśnie mieszkał niegdyś filozof Diogenes, ten Grek z historii starożytnej.

Przez dziurki w brezentowej budzie przeciskały się słupki słonecznych promieni. Wolka przywarł do jednej z tych dziurek. Przed jego oczyma, jak na ekranie kinowym, błyskawicznie przesunęły się wesołe, ruchliwe ulice, ciche zacienione zaułki, przestronne place, po których we wszystkie cztery strony świata dwiema falami przepływali przechodnie. Za przechodniami, połyskując wielkimi, zwierciadlanymi szybami witryn, wyrastały i bez pośpiechu uciekały wstecz sklepy pełne towarów, sprzedawców i zaafierowanych kupujących; szkoły i dziedzińce szkolne pstrzyły się już od białych bluz i czerwonych krawatów tych szczególnie niecierpliwych uczniów, którzy w dniu egzaminów nie mogli usiedzieć w domu; dalej teatry, kluby, fabryki, czerwone masywy budujących się domów, odgródzone od przechodniów wysokimi parkanami i wąskimi, złożonymi z trzech desek chodnikami. Oto przed ciężarówką Wolki przepłynął, nie śpiesząc się, tajemniczy, przysadzisty budynek cyrku z okrągłą kopułą ceglonego koloru. Na murach jego nie było teraz olśniewających afiszów reklamowych z jaskrawożółtymi lwami i ślicznymi pannami, stojącymi z wdziękiem na jednej nóżce na grzbietach nieprawdopodobnie pięknych rumaków. Z racji tego, że było lato, cyrk przeniósł się do Parku Kultury i Odpoczynku pod ogromny brezentowy namiot cyrku Szapito. Niedaleko od opustoszałego cyrku ciężarówka minęła błękitny autobus z wycieczką. Potem ze trzy dziesiątki szkrabów szły parami, trzymając się za ręce, i śpiewały z powagą, tworząc chór dźwięczny, choć niezgrany: „Niepotrzebny nam turecki brzeg“. To pewnie przedszkolaki szły na przechadzkę w aleje... Znowu uciekały przed Wolką szkoły, piekarnie, sklepy, kluby, fabryki, kina, biblioteki, nowobudujące się domy...

Wreszcie ciężarówka z terkotem i posapywaniem zatrzymała się przed ozdobnie wykonanymi drzwiami nowego domu Wolki. Robotnicy przewozowi zręcznie i szybko przenieśli rzeczy do mieszkania i odjechali.

Ojciec rozpakował jako tako skrzynki z najbardziej niezbędnymi rzeczami, powiedział: „Resztę się skończy po robocie” i poszedł do fabryki.

Mama i babunia zabrały się do rozpakowywania kuchennych i stołowych naczyń, Wolka zaś postanowił pobiec tymczasem nad rzekę. Co prawda, ojciec zapowiedział, żeby się

chłopiec kąpać bez niego nie ważył, bo tu jest ogromnie głęboko, ale Wolka szybko znalazł dla siebie usprawiedliwienie.

„Muszę się wykapać, żeby mieć świeżą głowę. Przecież to jest rzecz niedopuszczalna zjawić się na egzaminie z nieświeżą głową”.

Zdumiewające po prostu, jak ten Wolka zawsze potrafił znaleźć dla siebie wytłumaczenie, ilekroć chciał zrobić to, czego mu nie było wolno!

To niemała wygoda, kiedy rzeka jest blisko domu. Wolka powiedział mamie, że idzie na brzeg uczyć się geografii. I rzeczywiście miał zamiar z dziesięć minut poświęcić na przereczenie podręcznika. Ale gdy przybiegł nad rzekę, rozebrał się i nie tracąc ani chwili skoczył do wody. Minęła już dziesiąta; na brzegu nie było nikogusienko. Miało to swoje złe i dobre strony. Dobre — bo nikt nie mógł Wolce przeszkodzić i można było kąpać się do syta. Złe — gdyż nie miał kto podziwiać, jak pięknie i z jaką wprawą Wolka pływa, a zwłaszcza — jak wspaniale nurkuje.

Wolka tyle się napływał i nanurkował, że był dosłownie siniuteńki. Wtedy zrozumiał, że już dość, wyszedł z wody, ale się namyślił i postanowił na ostatek jeszcze raz zanurzyć się w milej, przejrzystej toni, prześwietlonej aż do dna jasnym, południowym słońcem.

I oto w chwili kiedy miał zamiar wypłynąć na powierzchnię, uczył, że ręka jego nagle dotknęła na dnie rzeki jakiegoś podłużnego przedmiotu. Chłopiec złapał ten przedmiot i wynurzył się z wody tuż przy brzegu. W ręku miał śliskie, omszałe, gliniane naczynie niezwykłego kształtu. Najbardziej chyba podobne było do starożytnej amfory \*. Szyjka naczynia była szczelnie zaklejona jakąś smolistą substancją, na której można było zauważyć odcisk czegoś, co miało pewne podobieństwo do pieczęci.

Wolka zważył naczynie w ręku — było ciężkie. Serce w chłopcu zamarło. Skarb! Jakież przedmioty starożytne o nieocenionym znaczeniu dla nauki! A to dopiero!

Ubrał się pędziutko i popędził do domu, żeby tam w jakim cichym kątku naczynie otworzyć.

Zanim dobiegł do domu, w głowie jego sam się ułożył tekst wzmianki, która jutro na pewno ukaże się w dziennikach. Miał już nawet tytuł: „Pionier dopomaga nauce”.

„W dniu wczorajszym do takiego a takiego Komisariatu Milicji zgłosił się pionier Władimir Kostylkow i złożył na ręce dyżurnego milicjanta skarb w postaci bardzo starych złotych przedmiotów, znalezionych na dnie rzeki w bardzo głębokim miejscu. Skarb został przekazany przez Komisariat Muzeum Historycznemu. Jak podają wiarogodne źródła, Władimir Kostylkow jest niezrównanym nurkiem”.

Prześliznąwszy się koło kuchni, gdzie mama gotowała obiad, Wolka dał susa do pokoju z taką szybkością, że o mało nie złamał sobie nogi: potknął się o żyrandol, którego nie zdążyli jeszcze powiesić. Był to słynny żyrandol babuni. Kiedyś, jeszcze przed rewolucją, przerobił go z naftowej lampy nieboszczyk dziadek. Była to pamiątka po dziadku i babcia nie rozstała się z tym żyrandolem za nic w świecie. Wobec tego jednak, że pokój jadalny nie wyglądałby z nim bardzo pięknie, postanowiono powiesić go akurat w tym pokoju, do którego wpadł teraz Wolka. Na żyrandol ten czekał już wbity w sufit wielgachny, stalowy hak.

Rozcierając potłuczone kolano Wolka zamknął za sobą drzwi, wyciągnął z kieszeni scyzoryk i, drżąc z przejęcia, zeszkrobał pieczęć z szyjki naczynia.

W tejsze chwili pokój nappełnił gryzący, ciemny dym i coś w rodzaju bezdźwięcznego wybuchu o wielkiej sile podrzuciło Wólkę aż pod sufit. Chłopiec zawisł tam, zaczepiwszy porciętami o ten sam hak, na którym miał się znaleźć babciny żyrandol.

\* Amfora — jajowate naczynie z długą szyjką i dwoma uszkami, używane w starożytnej Grecji.

### III. Staruszek Hassan

Zanim Wolka, kołysząc się na haku, zdał sobie sprawę z tego, co się stało, dym się zwo-  
lna rozproszył i chłopiec nagle zauważył, że w pokoju prócz niego jest jeszcze jedna żywa  
istota. Był to chudy, smagły starzec z brodą do pasa, we wspaniałym turbanie, w cienkim bia-  
łym, wełnianym kaftanie obficie wyszywanym złotem i srebrem, w jedwabnych szarawarach  
śnieżnej białości i w bladoróżowych, safianowych pantoflach o wysoko zagiętych noskach.

— Apczchi! — ogłuszająco kichnął starzec i padł na twarz. — Pozdrawiam cię, o  
piękny i mądry młodzieńcze!

— Obywatel jest... z... z administracji domu? — na chybił trafił rzekł Wolka, z zakłopo-  
taniem wytrzeszczając oczy na nieznanego.

— O nie, mój młody panie i władco! — odpowiedział starzec pozostając w tej samej  
pozycji i wciąż kichając jak z armaty. — Nie jestem z administracji domu, jestem z tego oto  
naczynia. — Tu wskazał na tajemnicze naczynie, z którego jeszcze unosił się lekki dymek. —  
Wiedz, o najbardziej błogosławiony spośród najpiękniejszych, że jestem potężny i we wszy-  
stkich krajach świata sławny džinn Hassan Abdurrachman ibn Chottab, czyli po waszemu  
Hassan Abdurrachman syn Chottaba. Zdarzyła mi się — apczchi! — zdumiewająca historia,  
która, gdyby napisano ją igłami w kącikach oczu, stałaby się przestrogą dla tych, którzy winni  
się uczyć. Oto ja, nieszczęsny džinn, sprzeciwiłem się woli Sulejmana syna Dauda — pokój  
niech będzie im obu! Ja oraz brat mój Omar Jussuf syn Chottaba. Sulejman przysłał swego  
wezyra Asafa ibn Barachia i ten sprowadził nas siłą. I Sulejman syn Dauda — pokój niech  
będzie im obu! — rozkazał, aby przyniesiono dwa naczynia: jedno miedziane, drugie glinia-  
ne. I uwięził mnie w naczyniu glinianym, brata zaś mego, Omara syna Chottaba — w naczy-  
niu miedzianym. Zamknąwszy obydwie naczynia, wycisnął na pieczęci największe spośród  
imion Allacha, po czym rozkazał džinnom, aby wzięli nas i wrzucili brata mego do morza,  
mnie do rzeki, z której ty, o błogosławieństwa godny mój wybawicielu — apczchi! apczchi!  
— dziś oto mnie, wyzwoliłeś. Niechaj dni twojego żywota będą przedłużone... O... Daruj mi,  
ale byłbym nieskończenie szczęśliwy, gdybym — o najurodziwszy młodzieńcze — mógł  
poznać imię twoje.

— Nazywam się Wolka — odparł nasz bohater kołysząc się w dalszym ciągu pod sufi-  
tem.

— A jak brzmi imię szczęsnego ojca twego, oby był błogosławiony na wieki wieków?  
Jak czcigodna matka twoja nazywa szlachetnego ojczulka twego? Pokój im obojgu!

— Mama mówi do tatusia Alosza, to znaczy Aleksiej.

— Wiedz, o najdoskonalszy spośród młodzieńców, gwiazdo mojego serca, Wolko ibn  
Alosza, że będę odtąd spełniał wszystko, co mi rozkażesz, wybawiłeś mnie bowiem ze stra-  
szej niewoli. Apczchi!

— Dlaczego obywatel tak kicha? — zainteresował się Wolka, tak jakby wszystko inne  
było całkowicie zrozumiałe.

— Kilka tysięcy lat spędzonych w wilgoci, bez dobroczynnego światła słonecznego, w  
zimnym naczyniu, leżącym w głębinach wód, przyniosły w zysku niegodnemu słudze twemu  
zabójczy katar. Apczchi! Apczchi!... Ale to wszystko są drobnostki niewarte cennej twojej  
uwagi. Jestem na twoje rozkazy, o młody mój panie! — z przejęciem skończył Hassan ibn  
Chottab zadzierając głowę do góry i pozostając ciągle na kolanach.

— Przede wszystkim proszę wstać — powiedział Wolka.

— Słowo twoje jest dla mnie prawem — posłusznie odrzekł staruszek podnosząc się z  
klęczek. — Oczekuję dalszych twoich rozkazów.

— A teraz — dość niepewnie odezwał się Wolka — jeżeli obywatelowi nie sprawi to

kłopotu... może obywatel będzie łaskaw... oczywiście, jeżeli to nie sprawi zbytniego ambarasu... Jednym słowem, miałbym wielką ochotę znaleźć się na podłodze.

W tejże chwili Wolka stał już na dole obok staruszka Hassana. Tak, żeby było krócej, będziemy odtąd nazywali naszego nowego znajomego. Wolka najpierw złapał się za spodnie. Były zupełnie całe.

Zaczynały działać się cuda.

#### IV. Egzamin z geografii

— Jestem na twoje rozkazy — ciągnął Hassan patrząc na Wolkę oczyma pełnymi oddania. — Czy nie masz żadnego zmartwienia, o Wolko ibn Alosza? Powiedz, a pomogę ci. Czy nie dręczy cię jakaś troska?

Dręczy — nieśmiało odpowiedział Wolka. — Mam dziś egzamin z geografii.

— Egzamin z geografii?! — zawołał staruszek i uroczyście wznosił do góry swoje wyschnięte, owłosione ręce. — Egzamin z geografii! Niechże ci będzie wiadome, o najbardziej zdumiewający spośród zdumiewających, że masz niebywałe szczęście, albowiem znacznie bardziej niż którykolwiek z dzinnów jestem świadom spraw geograficznych — ja, twój wierny sługa Hassan Abdurrachman ibn Chottab. Pójdę z tobą do szkoły — niech będzie błogosławiony jej dach i fundamenty! Będę ci w sposób niewidzialny podszeptował odpowiedzi na wszystkie pytania, które ci zostaną zadane, i okryjesz się chwałą wśród uczniów szkoły twojej, jak również wśród uczniów wszystkich szkół twojego wspaniałego miasta.

— Dziękuję ci, Hassanie synu Chottaba — bardzo ciężko westchnął Wolka. — Dziękuję, ale proszę cię, żebyś mi nie podpowiadał. Jestem pionierem, a pionierzy są z reguły przeciwnikami wszelkiego podpowiadania. Prowadzimy z tym zorganizowaną walkę.

Skądże mogło być znane starem dzinnowi, który spędził tyle lat w zamknięciu, mądrze brzmiące słowo „z reguły”? Lecz pełne szlachetnego smutku westchnienie jego młodego wybawcy, towarzyszące słowom, które wypowiedział, utwierdziło Hassana w przekonaniu, że jego pomoc potrzebna jest Wolce ibn Alosza bardziej niż kiedykolwiek.

— Bardzoś mnie zmartwił swoją odmową — rzekł staruszek. — Zważ przy tym rzecz najważniejszą: nikt mego podpowiadania nie zauważy...

— Gadanie! — z goryczą uśmiechnął się Wolka. — Nasz nauczyciel ma taki wspaniały słuch, że po prostu nie ma ratunku.

— Teraz nie tylko mnie zasmucasz, ale i krzywdzisz, o Wolko ibn Alosza. Skoro Hassan Abdurrachman ibn Chottab powiada ci, że nikt nie zauważy, to znaczy, że tak będzie.

— Nikt, naprawdę? — zapytał dla pewności Wolka.

— Naprawdę nikt. To, co będę miał szczęście tobie podpowiedzieć, przejdzie z moich czią przepojonych ust wprost do czcigodnych twoich uszu.

— Sam nie wiem po prostu, co mam z tobą począć, Hassanie — obłudnie westchnął Wolka. — Ogromnie by mi było przykro zasmucić cię odmową... Niechże już tak będzie! Geografia to przecie nie matematyka i nie język rosyjski. Ani z matematyki, ani z rosyjskiego nie zgodziłbym się na najmniejsze chociażby podpowiadanko. Ale gdy się zważy, że geografia nie jest przedmiotem podstawowym... Wobec tego chodźmy prędko! Tylko... — Tu Wolka obrzucił krytycznym spojrzeniem niezwykły strój starego dzinna. — Hm... t-tak... Czy nie moglibyście się przebrać, obywatelu Hassanie?

— Czyż odzież moja nie zadowala oczu twoich, o najczcigodniejszy spośród młodzieńców noszących imię Wolka? — zmartwił się Hassan.



— Owszem, zadowala. Bez wątplenia zadowala — dyplomatycznie odpowiedział Wołka — ale jesteś ubrany... jakby to powiedzieć... panuje u nas inna moda... Twój strój będzie się zbytnio rzucał w oczy.

Po krótkiej chwili z domu, w którym od dnia dzisiejszego mieszkała rodzina Kostylków, wyszedł Wołka prowadząc pod rękę Hassana.

Staruszek wyglądał wspaniale w nowym płóciennym garniturze, w ukraińskiej haftowanej koszuli i w sztywnym słomkowym kapeluszu. Jediną rzeczą, której nie zgodził się zmienić, było obuwie. Tłumaczył się gęsto, że nie pozwalają mu na to odciski, zadawnione od tysięcy lat, i pozostał w swoich różowych pantoflach z zagiętymi do góry czubkami, na których widok oszalałby w swoim czasie z zachwytu najwybredniejszy nawet elegant na dworze Haruna al Raszyda.

Tak to Wołka ze zmienionym do niepoznania Hassanem nieomal biegiem zdążyli ku wejściu do Męskiej Szkoły Średniej numer 245. Staruszek przejrzał się jak w lustrze w szybie szklanych drzwi i widoczne było, że jest z siebie bardzo zadowolony.

Woźny, człowiek w podeszłym wieku, statecznie czytał gazetę, lecz z przyjemnością ją odłożył, gdy ujrzał Wołkę i jego towarzysza. Dokuczał mu upał, miał też ochotę uciąć krótką pogawędkę. Przeskakując po kilka stopni na raz, Wołka pędził po schodach na górę. W korytarzu było cicho i pusto — pewny i smutny znak, że egzamin już się zaczął i że Wołka, jak z tego wynikało, spóźnił się.

— A wy, obywatelu, dokąd? — przychylnie zapytał woźny staruszka, który postępował za swym młodym przyjacielem.

— Do dyrektora w pewnej sprawie! — zawołał z góry Wołka w zastępstwie Hassana,

— Wybaczcie, obywatelu, dyrektor jest zajęty. W tej chwili ma egzamin. Proszę z łaski swojej przyjść przed wieczorem.

Hassan gniewnie zmarszczył brwi.

— Jeśli mi będzie wolno, o czcigodny starcze, wolałbym tu poczekać na dyrektora. — Potem krzyknął na Wołkę: — Śpiesz do klasy, o Wołko ibn Alosza! Wierzę, że wiadomościami swymi wstrząsniesz do głębi nauczycieli i kolegów swoich.

— Dziadkiem mu chyba jesteście, obywatelu? Co? — usiłował wszcząć rozmowę woźny.

Hassan poruszał wargami, ale milczał. Uważał, że rozmowa z odźwiernym jest poniżej jego godności.

— Czy można wam służyć szklanką przegotowanej wody? — ciągnął tymczasem woźny. — Upał dziś, nie daj Boże.

Nalał z karafki pełniuteńką szklankę, lecz gdy się odwrócił, żeby ją podać swemu mrukliwemu rozmówcy, z przerażeniem skonstatował, że nieznajomy zniknął nie wiadomo gdzie — jakby się zapadł pod posadzkę. Wstrząśnięty tym nieprawdopodobnym wydarzeniem, woźny jednym haustem wypił przeznaczoną dla Hassana wodę, potem nalał i opróżnił drugą szklankę, potem trzecią, Zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy w karafce nie było już ani kropli. Usiadł oparłszy się o poręcz krzesła i, całkowicie wyczerpany, zaczął wachlować się gazetą.

A na drugim piętrze w tym samym czasie, akurat nad głową woźnego, w klasie szóstej B. odbywała się scena niemniej denerwująca. Przed zawieszoną mapami tablicą, przy stole uroczyście zasłanym czerwonym sukniem usadowiło się grono nauczycielskie z dyrektorem szkoły na czele. Na ławkach siedzieli z powagą, uroczyście skupieni uczniowie. W klasie panowała taka cisza, że słyhać było gdzieś pod sufitem monotonne brzęczenie samotnej muchy. Gdyby uczniowie szóstej B zawsze zachowywali się tak spokojnie, byłaby to niewątpliwie najbardziej zdyscyplinowana klasa w całej Moskwie.

Należy wszakże podkreślić, że owa cisza spowodowana była nie tylko atmosferą egzaminu, ale i tym, że wywołany do tablicy Kostylków był, jak się okazało, nieobecny.

— Władimir Kostylków! — powtórzył dyrektor i rzucił zdumione spojrzenie na przyci-

chłą klasę.

Zrobiło się jeszcze ciszej.

I oto nagle w korytarzu rozległ się donośny tupot czyichś biegnących nóg i akurat w chwili, kiedy dyrektor po raz trzeci i ostatni powtórzył: „Władimir Kostylkow”, drzwi otworzyły się z hałasem i Wolka zdyszczanym głosem pisnął:

— Jest!

— Bądź łaskaw podejść do tablicy! — oschle rzekł dyrektor. — O twoim spóźnieniu porozmawiamy potem.

— Ja... ja... jestem chory — wymamrotał Wolka pierwsze lepsze słowa, które mu przyszły na myśl, i niepewnym krokiem zbliżył się do stołu.

W tym czasie kiedy chłopiec zastanawiał się, który z rozłożonych na stole biletów ma wybrać, na korytarzu wyłonił się ze ściany staruszek Hassan i z miną zakłopotaną przesiąknął niejako przez drugą ścianę do klasy, która była obok.

Wolka nareszcie się zdecydował, wziął pierwszy brzegu bilet, otworzył go powoluśku, niepewny, co los przyniesie, i skonstatował z zadowoleniem, że ma mówić o Indiach. A o Indiach właśnie wiedział sporo. Od dawna interesował go ten kraj.

— No cóż — rzekł dyrektor. — Posłuchamy!

Początek tego, co wymienione było w bilecie, Wolka nawet pamiętał słowo w słowo według książki. Otworzył więc usta i już miał zacząć opowiadać o tym, że zarys Półwyspu Indyjskiego podobny jest do trójkąta, że ten wielki trójkąt otaczają wody Oceanu Indyjskiego oraz jego części: Morze Arabskie na zachodzie i Zatoka Bengalska na wschodzie, że na tym półwyspie są dwa ogromne kraje: Indie i Pakistan, a także wiele księstw, które choć noszą nazwę niezawisłych, w istocie, podobnie jak Indie i Pakistan, są koloniami Anglii, że są to bardzo biedne kraje rolnicze i tak dalej, i tak dalej.

Ale właśnie wtedy w klasie, która znajdowała się obok, przyłgnał do ściany Hassan i zwinąwszy dłoń na kształt tuby z przejściem zaczął mrużyć:

— Indie, czcigodny mój nauczycielu...

I nagle, wbrew własnym chęciom, Wolka zaczął pleść nieprawdopodobne głupstwa:

— Indie, o czcigodny mój nauczycielu, leżą prawie na samym brzegu dysku ziemskiego: dzielą je od tego brzegu bezludne i niezbadane pustynie, albowiem na wschód od Indii nie ma już ani zwierząt, ani ptaków. Indie to kraj bardzo bogaty, posiada wiele złota, którego nie wydobywa się tam z ziemi jak w innych krajach, lecz bezustannie, dzień i noc dostarczają go specjalne złotonośne mrówki, z których każda jest niemal wielkości psa. Mrówki te trzy razy w ciągu doby wnoszą na powierzchnię złoty piasek, a także kruszec samorodny i wszystko zsypują w wielkie kopce. Lecz biada tym Hindusom, którzy bez należytego przygotowania starają się to złoto sobie przywłaszczyć! Mrówki wszczynają za nimi pogoń i dopędziwszy uśmiercają na miejscu. Ze strony północnej i zachodniej Indie graniczą z krainą zamieszkaną przez ludzi łysych. Zarówno mężczyźni jak i kobiety, tak dorośli jak dzieci — wszyscy w tej krainie są łysi. Żywią się ci dziwni ludzie surowymi rybami i szyszkami drzewnymi. Jeszcze bliżej Indii leży kraj, w którym nie można było patrzeć przed siebie ani przejść wskutek tego, że rozsypane jest tam niezliczone mnóstwo pierza. Pierze unosi się w powietrzu i pokrywa ziemię. To właśnie przeszkadza patrzeć.

— Zaraz, zaraz, Kostylkow! — przerwał Wólce z uśmiechem nauczyciel geografii. — Nikt cię nie prosi, żebyś nam tu robił wykład o tym, jakie poglądy na geografii Azji istniały w czasach starożytnych. Opowiedz nam, co wiemy o Indiach dziś i w świetle nauki współczesnej.

Jakże szczęśliwy byłby Wolka, gdyby miał możliwość popisać się swoimi wiadomościami na temat tego zagadnienia! Cóż mógł jednakże poradzić, skoro już nie panował ani nad swoją mową, ani nad czynami? Z chwilą gdy się zgodził na podpowiadanie, stał się bezwolną zabawką w rękach życzliwego, lecz zacofanego Hassana. Chciał potwierdzić słowa nauczy-

ciela, powiedzieć, że oczywiście to, co mówił, nie ma nic wspólnego z nauką współczesną, ale Hassan, który tkwił za ścianą, ze zdumieniem wzruszył ramionami i przecząco poruszył głową. I oto Wolka tu, przed stołem egzaminacyjnym, zmuszony był tak samo wzruszyć ramionami i wykonać przeczący ruch głową.

— To, co miałem honor powiedzieć ci, o czcigodny, oparte jest na świadectwach zaczerpniętych z najpewniejszych źródeł wiedzy; nie ma bardziej naukowych wiadomości o Indiach niż te, które przed chwilą z woli twojej ci przedstawiłem.

— Odkąd to Kostylkow pozwala sobie zwracać .się do osób starszych „per ty”? — zdziwił się nauczyciel geografii. — Porzuć, bardzo cię proszę, te opowieści nie na temat. Jesteś na egzaminie, a nie na zabawie kostiumowej. Jeżeli nie umiesz tego, co wymienione jest w bilecie, uczciwiej będzie, jeśli się po prostu do tego przyznasz. A poza tym, coś ty tu bajął o dysku ziemskim? Czy nie wiesz, że Ziemia jest kulą?

Czy Wolka Kostylkow, rzeczywisty członek Kółka Astronomów przy Moskiewskim Obserwatorium, nie wie, że Ziemia jest kulą? Przecież o tym wie każdy uczeń z pierwszej klasy! Ale Hassan za ścianą roześmiał się, a wówczas i Wolka uśmiechnął się ironicznie.

— Raczysz żartować z twego tak bardzo ci oddanego ucznia! Gdyby Ziemia była kulą, wody spływałyby z niej w dół, ludzie pomarliby z pragnienia, a rośliny by uschły. Ziemia, o najczcigodniejszy i najszlachetniejszy spośród nauczycieli i wychowawców, zawsze miała i ma kształt płaskiego dysku, a otacza ją ze wszech stron potężna rzeka, której na imię „Ocean”. Ziemia wspiera się na sześciu słoniach, które stoją na wielkim żółwiu. Tak jest świat zbudowany, o nauczycielu!

Grono egzaminatorów patrzyło na Wolkę ze stale wzrastającym zdumieniem, on zaś uświadamiał sobie swoją całkowitą bezradność i był tak przerażony, że ciało jego pokryło się zimnym potem.

Klasa wciąż jeszcze nie mogła się zorientować, co się z Wolką stało, ale ten i ów już zaczynał chichotać. No, bo przecież było to bardzo zabawne... I ta kraina łysych, i ta druga pełna pierza, i te złotoonośne mrówki wielkie jak psy, i płaska Ziemia, wspierająca się na sześciu słoniach i jednym żółwiu. Co się zaś tyczy Żeni Bogorada, który był przyjacielem Wolki na śmierć i życie i jego ogniwowym, to Żenia przeraził się nie na żarty. Kto jak kto, ale Żenia wiedział doskonale, że Wolka jest starostą Kółka Astronomicznego, i to, że Ziemia jest kulą, w każdym razie wie na pewno. Czyżby Wolka ni stąd ni zowąd pozwolił sobie na łobuzerskie wybryki i to gdzie — na egzaminie? Nie! Wolka jest pewnie chory. Ale na co? Co to za dziwna, nigdzie nie spotykana choroba? A w dodatku co za wstyd dla całego ogniwa! Dotychczas było pierwsze, na co wskazuje punktacja; i oto nagle spada na łeb na szyję przez te niedorzeczne odpowiedzi Kostylkowa, takiego przecież zdyscyplinowanego i uświadomionego pioniera!

— Czy mówisz to poważnie, Kostylkow? — zapytał już tonem zagniewanym nauczyciel.

— Poważnie, o nauczycielu! — odpowiedział Wolka.

— I nic dodać nie możesz? Czyżbyś uważał, że to jest odpowiedź na pytanie zawarte w twoim bilecie?

— Nie, nie mogę nic dodać — przecząco poruszył głową ukryty za ścianą Hassan.

I Wolka — choć słabo mu się robiło na myśl, że poddawał się bezradnie sile, która go pchała ku katastrofie — wykonał również gest przeczenia.

— Nie, nic nie mogę dodać. Chyba tylko to, że horyzonty w bogatych Indiach obramowane są złotem i perłami.

— To niesłychane — rozłożył bezradnie ręce egzaminator. — Jest rzeczą nie do pomyślenia, ażeby Kostylkow chciał sobie stroić żarty z nauczycieli.

Geograf pochylił się i szepnął dyrektorowi do ucha:

— Moim zdaniem, chłopiec jest niezupełnie zdrów.

— To bardzo możliwe — zgodził się tamten.

Zespół egzaminatorów zaczął się naradzać rzucając badawcze spojrzenia na Wolkę. Potem nauczyciel geografii rzekł szeptem do innych:

— Spróbujemy rzucić jeszcze jakieś pytanie wyłącznie po to, żeby się chłopak uspokoił. Czy pozwolicie zapytać go o coś z programu zeszłego roku?

Wszyscy się zgodzili, a nauczyciel zwrócił się do Wolki:

— Uspokójże się, wytrzymaj oczy, nie denerwuj się. Czy mógłbyś tak na początek powiedzieć nam, co nazywamy horyzontem? To jest w programie piątej klasy.

— O horyzoncie? — ucieszył się Wolka. — To jest bardzo proste. Horyzontem nazywamy linię, którą sobie wyobrażamy...

Ale za ścianą zaczął się kręcić Hassan i Wolka znów padł ofiarą podpowiadania.

— Horyzontem, o wielce szanowny mój nauczycielu — zaczął poprawiać swoje słowa Wolka — horyzontem nazwałbym tę krawędź, przy której kryształowa kopuła nieba styka się ze skrajem ziemi.

— Ludzie, ratujcie, bo nie wytrzymam! Jak należy, twoim zdaniem, rozumieć to, co mówisz o kryształowej kopule nieba? Czy to ma sens dosłowny, czy przenośny?

— Dosłowny, o nauczycielu! — odpowiedział z sąsiedniej klasy Hassan.

I Wolka musiał za nim powtórzyć:

— Dosłowny, o nauczycielu!

— Przenośny! — syknął ktoś na ostatniej ławce.

Lecz Wolka odezwał się znowu:

— Dosłowny, oczywiście.

— Czy to znaczy... jakże to? — wciąż uszom swoim nie wierzył nauczyciel geografii. — To znaczy, że, według twego zdania, niebo stanowi twardą kopułę?

— Tak jest, twardą kopułę.

— Więc to znaczy, że jest takie miejsce, gdzie się Ziemia kończy?

— Jest takie miejsce, o czcigodny mój nauczycielu!

Za ścianą Hassan potakująco kiwał głową i z zadowoleniem zacierał chude ręce.

W klasie zapanowała cisza pełna napięcia. Nawet chłopcy najbardziej skorzy do wesołości przestali się uśmiechać: z Wolką wyraźnie działo się coś niesamowitego.

Dyrektor wyszedł zza stołu i z niepokojem dotknął czoła swego ucznia. Nie, gorączki Wolka nie miał.

Tymczasem Hassan za ścianą rozczulił się, złożył niski pokłon, dotknął zwyczajem wschodnim czoła i piersi i zaczął mówić. Wolka, popychany tą samą siłą fatalną, z całą dokładnością powtórzył jego ruchy:

— Dzięki ci, o szlachetny Pawle ibn Wasilij! Dzięki za troskliwość choćby i zbędną. Niepotrzebny jest twój niepokój, albowiem, chwała niech będzie Allahowi, jestem zupełnie zdrow.

Brzmiało to nad wyraz zabawnie i niedorzecznie. Ale obawa kolegów o zdrowie Wolki była tak wielka, że na żadnej twarzy nie zjawił się nawet cień uśmiechu. Dyrektor wziął go łagodnie za rękę, wyprowadził z klasy i pogłaskał po smutnie spuszczonej głowie.

— To nic, to nic, Kostylkow, nie trzeba się martwić... Widocznie się przemęczyłeś... Przyjdiesz wtedy, kiedy sobie dobrze odpoczniesz. Zgoda?

— Dobrze, tylko... Paweł Wasiljewicz... uczciwe słowo pioniera, że... ani troszeczkę... ani troszeczki nie jestem winien!

— Wcale nie mówię, że jesteś winien — łagodnie odrzekł dyrektor. — Wiesz co, a może byśmy tak zajrzeli do Piotra Iwanowicza?

Piotr Iwanowicz — lekarz szkolny — osłuchał i opukał Wolkę, kazał mu zamknąć oczy i wyciągnąć przed siebie ręce, a także stać z rozstawionymi palcami, postukał go po nodze poniżej kolana, kreślił stetoskopem linie na jego nagim ciele... Przez ten czas Wolka ostatecznie

wrócił do równowagi. Na policzki jego powrócił rumieniec, humor mu się poprawił.

— Chłopak jest zupełnie zdrowy — oznajmił Piotr Iwanowicz zwracając się do dyrektora. — Powiedziałbym nawet — wyjątkowo zdrowy! Należy przypuszczać, że ma tu raczej miejsce nieznaczne przemęczenie. Zbyt gorliwa praca przed egzaminem... Ale poza tym — zdrow, zdrow jak ryba! Prawdziwy siłacz Mikuła Sielianinowicz \*.

Nie przeszkodziło to lekarzowi na wszelki wypadek nalać do szklanki jakichś kropli, które Mikuła Sielianinowicz w osobie Wolki musiał chęć nie chęć wypić.

Wtedy to Wolce przyszła do głowy myśl łobuzerska. A gdyby tak właśnie tu, w gabinecie Piotra Iwanowicza, korzystając z nieobecności Hassana, zdać przed dyrektorem egzamin?

— Paweł Wasiljewicz! — rzekł zwracając się do dyrektora. — Piotr Iwanowicz też mówi, że jestem zdrow. Proszę mi tylko pozwolić, a zaraz odpowiem na wszystkie pytania z geografii. Przekonacie się, że...

— O nie, nie, nie — zaczął machać przed sobą rękami lekarz. — W żadnym razie bym tego nie zalecał! Lepiej będzie, jeżeli dziecko przez kilka dni odpocznie. Geografia nigdzie mu nie ucieknie.

— Co racja, to racja — z ulgą odetchnął dyrektor, rad, że ostatecznie cała sprawa ułożyła się pomyślnie. — Maszeruj no, Kostylkow, mój miły przyjacielu, do domu, do chałupy i odpoczywaj. A kiedy odpoczniesz jak należy, to przyjdiesz i zdasz. Jestem pewien, że odpowiesz na piątkę... A wy jakiego jesteście zdania, Piotr Iwanowicz?

— Taki zuch! Uważam, że na mniej niż pięć z plusem za nic w świecie nie będzie reflektował.

— No tak... — rzekł dyrektor. — Ale czy nie byłoby lepiej, żeby go ktoś odprowadził do domu?

— Po co? — przeraził się Wolka. — Sam doskonale trafię.

Tego tylko brakowało, żeby odprowadzający spotkał się nos w nos z tym podstępny staruchem Hassanem!

Wolka wyglądał zupełnie dobrze, wobec czego Paweł Wasiljewicz z całkowitym spokojem pozwolił mu iść do domu.

W korytarzu za plecami chłopca wyłonił się ze ściany promieniejący zadowoleniem Hassan, ale gdy zauważył dyrektora, znikł znowu. Wolka pożegnał się z Pawłem Wasiljewiczem i zszedł szerokimi schodami do szatni. Na jego spotkanie wybiegł woźny.

— Kostylkow! Ten, co tu z tobą przyszedł, dziadek czy ktoś tam... Czy wiesz, że on...

Ale właśnie w tej chwili wyłonił się ze ściany staruszek Hassan. Był wesoly jak szczygieł i bardzo z siebie zadowolony. Nawet coś sobie nucił pod nosem.

— Oj! — zawołał woźny zduszonym głosem i daremnie próbował nalać sobie do szklanki wody z pustej karafki.

A kiedy postawił karafkę na miejsce i obejrzał się, w szatni nie było już ani Wolki Kostylkowa, ani jego tajemniczego towarzysza. Wyszli na ulicę i skręcili za róg.

— Przyznaj, o młody mój władco! — chętnie rzekł Hassan przerywając przydługie milczenie. — Czy wiadomości twoje nie wstrząsnęły nauczycielami i kolegami twoimi?

— Wstrząsnęły! — westchnął Wolka i z nienawiścią spojrzął na staruszka.

Hassan uśmiechnął się. Rad był z siebie.

\* Mikuła Sielianinowicz — sławny ze swej nadludzkiej siły bohater starych rosyjskich legend.

## V. Następna przysługa Hassana

Do domu nie chciało się jakoś iść. Wolka był w obrzydliwym nastroju i Hassan zrozumiał, że coś tu nie jest w porządku. Oczywiście, nie przyszło mu do głowy, że niechcący zrobił Wolce kawał; było jednak pewne, że chłopak jest z czegoś niezadowolony i że winien jest wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie kto inny, tylko właśnie on, Hassan Abdurachman ibn Chottab. Należało Wolkę rozerwać i jak najbardziej rozproszyć jego zły humor.

— Czy życzy sobie twoje serce, o księżycowi podobny, abys posłuchał opowiadania o wydarzeniach dziwnych i niezwykłych? — postawił chytre pytanie posępnie milczącemu Wolce. - Czy, tak dla przykładu, znana ci jest historia o trzech czarnych kogutach cyrulika z Bagdadu i o jego kulawym synu? Albo o miedzianym wielbłądzie, co miał srebrny garb? Lub też o nosiwodzie imieniem Achmet oraz o jego zaczarowanym kuble?

Wolka był zły i dalej milczał, lecz staruszek wcale się tym nie stropił i zaczął z pośpiechem:

— Niech ci będzie wiadome, o najurodziwszy spośród tych, którzy uczęszczają do męskiej szkoły średniej, iż mieszkał niegdyś w Bagdadzie zręczny cyrulik imieniem Selim, a miał ten Selim trzy koguty i kulawego syna, którego przezywano Szaflik. I oto zdarzyło się raz pewnego, że koło sklepu jego przechodził kalif Harun al Raszyd... Ale wiesz co, o najuważniejszy spośród młodzianów? Może byśmy tak na chwilę usiedli na pobliskiej ławce, aby nie męczyły się chodzeniem twoje młode nogi, gdy słuchać będziesz tej długiej i pouczającej historii?

Wolka się zgodził; siedli więc w miłym chłodzie alei, pod cienistymi konarami starej lipy.

Bite trzy i pół godziny opowiadał Hassan tę istotnie nader interesującą historię i zakończył słowami, w których krył się podstęp: „Ale jeszcze bardziej zdumiewająca jest opowieść o miedzianym, wielbłądzie i o jego srebrnym garbie”. I od razu, nie odetchnawszy ani na chwilę, zabrał się do jej opowiadania, aż wreszcie doszedł do słów: „Wtedy wziął cudzoziemiec węgielek z popielnika i narysował na ścianie kontur wielbłąda, a ten wielbłąd natychmiast machnął ogonem, poruszył głową i zszedł ze ściany na kamienie drogi owej”. Tu Hassan się zatrzymał, żeby uradować swe serce — chciał zobaczyć, jakie wrażenie wywrze na jego młodym słuchaczu opowieść o rysunku, który został ożywiony. Lecz czekało go rozczarowanie: Wolka widział w swoim życiu mnóstwo filmów rysunkowych. Słowa Hassana naprowadziły go natomiast na ciekawą myśl.

— Wiesz co? — rzekł. — Chodźmy do kina. A tamtą historię opowiesz mi później, po skończonym seansie.

— Słowa twoje są dla mnie prawem, o Wolko ibn Alosza! — posłusznie odpowiedział staruszek. — Lecz bądź tak dobry, powiedz mi, co rozumiesz przez ten nie znany mi wyraz „kino”? Czy to przypadkiem nie jest łaźnia? Czy też może taką nazwę nosi u was rynek, gdzie można sobie pochodzić i pogwarzyć z przyjaciółmi i ze znajomymi?

— No, wiesz! — zdumiał się niepomału Wolka. — Każde dziecko wie, co to jest kino. Kino to... — tu chłopiec zrobił w powietrzu parę bliżej nie określonych ruchów ręką. — Zresztą, kiedy wejdiesz, to zobaczysz.

Nad kasą kina „Saturn” na plakacie był napis: „Dzieciom poniżej lat szesnastu wstęp na seanse wieczorne wzbroniony”.

— Co ci jest, o najpiękniejszy z pięknych? — zapytał niecierpliwie Hassan widząc, że chłopiec sposepniał znowu.

— To mi jest, żeśmy się spóźnili na seanse dzienne! Teraz już wpuszczają tylko od szesnastu lat... Doprawdy, nie wiem, co robić... Do domu iść mi się nie chce...

— Nie pójdziesz do domu! — zawołał Hassan. — Nie przeminą dwie krótkie chwile, a pozwolą nam wejść i wkroczymy wśród objawów szacunku, na jakie zasługujesz z przyczyny zaiste niezliczonych swoich talentów!... Rzucę tylko okiem, co też to za karteczki okazują przybyli tu ludzie tej surowej kobiecie, która stoi przy wejściu do tak miłego twojemu sercu kina...

„Stary samochwał!” — z irytacją pomyślał Wolka. I nagle stwierdził, że w prawej ręce trzyma dwa bilety.

— Chodźmy tędy! — rzekł Hassan; widać było, że radość dosłownie starszka rozpięra. — Chodźmy, teraz na pewno cię przepuszczą.

— Jesteś tego pewien?

— Tak jak i tego, że czeka cię wielka przyszłość!

Starszerek leciutko pchnął Wolkę w stronę wiszącego niedaleko lustra: patrzył z niego na Wolkę, otworzywszy usta z zadziwienia, chłopak o piegowatej, tryskającej zdrowiem twarzy, którą okalała wspaniała płowa broda.

## VI. Niezwykła historia w kinie

Z triumfującą miną włókł Hassan Wolkę do poczekalni po schodach prowadzących na pierwsze piętro.

Tuż przy wejściu na widownię tkwił w niecierpliwym oczekiwaniu Żenia Bogorad, osobnik ścigany powszechną zazdrością uczniów klasy szóstej B. Ten wybraniec losu był rodzonym siostrzeńcem starszego funkcjonariusza administracji kina „Saturn”, wskutek czego dostawał się na wieczorne seanse. Zdawałoby się, że z tej racji powinien być ustawicznie skakać z radości, a tymczasem Żenka nieprawdopodobnie cierpiał. Przyczyną jego cierpienia była samotność. Nie mógł po prostu wytrzymać, taką czuł potrzebę pogadania z kimś o zdumiewającym zachowaniu się Wolki Kostylkowa na dzisiejszym egzaminie z geografii. A tu jak na złość — nikogo znajomego.

Wobec tego zdecydował się zejść na dół. A nuż szczęśliwy los kogoś mu ześle. Na podeście schodów o mało go nie przewrócił jakiś starszeka w sztywnym słomkowym kapeluszu i w haftowanych safianowych pantoflach; ciągnął on za rękę — no, jak wam się zdaje, kogo? — ni mniej ni więcej tylko Wolkę Kostylkowa! A Wolka nie wiadomo czemu obiema rękami zakrywał twarz.

— Wolka! — ucieszył się Żenia Bogorad. — Kostylkow!...

Ale w przeciwieństwie do Żeni Wolka, jak widać, wcale nie był rad ze spotkania. Mało tego: zrobił taką minę, jak gdyby nie poznał swego najbliższego przyjaciela, i wcisnął się w największy tłum tych, którzy słuchali orkiestry.

„Nie, to nie!” — obraził się Żenia i postanowił pójść do bufetu na szklanekę limoniady. Ale akurat otworzyły się na całą szerokość drzwi od sali kinowej i Żenia udał się na swoje zwykłe miejsce — do łoża administracji.

W ciągu paru minut poczekalnia się opróżniła. Wolka i Hassan opuścili ją ostatni. Na widownię weszli dopiero wtedy, kiedy zgasło światło. Ze strony Wolki był to słusznie zastosowany środek ostrożności, wcale mu bowiem nie zależało na tym, by ktokolwiek zobaczył go z brodą.

Po prawdzie Wolka z początku był tak przygnębiony, że chciał wyjść z kina, nawet nie obejrawszy filmu. Ale wtedy zaczął go błagać Hassan:

— Skoro ci ten zarost, którym cię obdarzyłem we własnym twoim interesie, tak bardzo

nie odpowiada, to pozbawię go ciebie od razu, gdy zajmiemy nasze miejsca. Rzecz to dla mnie bardzo łatwa. Ale musimy pójść tam, dokąd poszli wszyscy inni, albowiem dręczy mnie ciekawość, co to jest kino. Jakże cudowne być musi, skoro nawet poważni mężowie, których czoła poradliło doświadczenie, odwiedzają je podczas tak męczącego letniego upału!

I rzeczywiście, gdy tylko się usadowili na wolnych miejscach w szóstym rzędzie krzesel, Hassan pstryknął palcami lewej ręki.

Ale wbrew jego obietnicom nic się z Wolki zarostem nie stało.

— Czemu tak marudzisz? — spytał Wolka. — Takeś się przecie chwalił!

— Nie chwaliłem się, o najurodziwszy spośród uczniów klasy szóstej B! Tylko na szczęście w sam czas zmieniłem postanowienie. Gdy nie będziesz posiadał brody, gotowi cię wyrzucić z tak miłego twemu sercu kina.

Jak się wkrótce okazało, staruszek chciał się wykręcić sianem. Ale Wolka nic jeszcze o tym nie wiedząc rzekł:

— Nie ma obawy, stąd już mnie nie wyrzucą.

Hassan udał, że tych słów nie dosłyszał.

Wolka powtórzył, Hassan znowu nic, jakby ogłuchł.

Wtedy Wolka podniósł głos:

— Hassanie Abdurrachmanie ibn Chottab!

— Słucham cię, o młody mój władco! — pokornie rzekł staruszek.

— Czy nie można troszkę ciszej? — odezwał się któryś z sąsiadów.

Wolka szeptał dalej do ucha Hassana, który ze smutkiem pochylił głowę:

— Zrób tak, żebym jak najprędzej już nie miał tej głupiej brody.

— Wcale nie jest taka głupia — również szeptem odpowiedział Hassan. — To w najwyższym stopniu godna szacunku, przyzwoita broda.

— I to w tej sekundzie! Słyszysz, w tej sekundzie!

— Jestem posłuszny woli twojej i rozkazom twoim — znowu odezwał się Hassan i zaczął coś szeptem mamrotać, w skupieniu pstrykając palcami.

Zarost na twarzy Wolki pozostał jednak bez zmiany.

— No więc? — niecierpliwie rzekł chłopiec.

— Jeszcze chwila, o najłaskawszy i błogosławiony Wolko ibn Alosza! — odpowiedział staruszek nie przestając nerwowo szeptać i pstrykać.

Ale broda ani myślała zniknąć z Wolkowego oblicza.

— Patrz no, patrz, widzisz, kto tam siedzi w dziewiątym rzędzie? — rzekł nagle szeptem Wolka zapominając na jakiś czas o swoim nieszczęściu.

W dziewiątym rzędzie siedziało dwóch mężczyzn, zdaniem Hassana niczym się nie wyróżniających spośród otoczenia.

— To są cudowni po prostu aktorzy! — z zapalem tłumaczył staruszkowi Wolka i zaraz przytoczył dwa nazwiska, które na pewno znane są każdemu naszemu czytelnikowi, ale, rzecz prosta, Hassanowi nic nie mówiły.

— Chcesz powiedzieć, że to kuglarze? — pobłażliwie uśmiechnął się staruszek. — Czy umiejta tańczyć na linie?

— Nie. Oni grają w filmie! To są najbardziej znani aktorzy filmowi, jeżeli chcesz wiedzieć.

— No, więc dlaczego nie występują? Dlaczego siedzą i nic nie robią? — dopytywał się Hassan i był wyraźnie zgorzony. — To są widocznie bardzo opieszali kuglarze. Przykro mi, że ich chwalisz bez żadnego powodu, o filmie mego serca!

— Co też ty mówisz! — zaśmiał się Wolka. — Aktorzy filmowi nigdy nie grają w kinach. Aktorzy filmowi grają w specjalnym atelier filmowym.

— To znaczy, że za chwilę będziemy oglądali grę nie aktorów filmowych, ale jakichś innych kuglarzy?



— Ależ nie! Zobaczymy właśnie aktorów filmowych. Zrozum: oni grają w atelier, a my oglądamy ich grę w kinach. Moim zdaniem, każde niemowlę to rozumie.

— Wybacz mi, ale pleciesz jakieś niedorzeczności — z wyraźną pretensją odrzekł Hassan. — Nie gniewam się, słowa twoje bowiem nie wskazują, abyś umyślnie stroił sobie żarty z najpokorniejszego sługi twego. Zapewne działa na ciebie upał panujący w tym lokalu. Niestety, nie widzę tu ani jednego okna, które by można było otworzyć, aby odświeżyć powietrze.

Wolka zrozumiał, że w ciągu kilku minut pozostałych do rozpoczęcia seansu nie zdąży wytłumaczyć staruszkowi, na czym polega praca aktorów filmowych, postanowił więc odłożyć wyjaśnienie na potem, tym bardziej że znowu przypomniał sobie o nieszczęściu, które na niego spadło.

— Hassanie, mój złoty, co ci na tym zależy? Postarajże się jak najprędzej...

Staruszek westchnął głęboko, wyrwał z brody najpierw jeden włos, potem drugi i trzeci, wreszcie w pasji całą garść, po czym zaczął z ponurą zawziętością rozdzierać je na drobne kawałeczki, mamrocząc coś z wielkim skupieniem i nie spuszczać oczu z Wolki.

Lecz zarost na tryskającym zdrowiem obliczu jego młodego przyjaciela nie tylko nie zniknął, ale nawet nie drgnął. Widząc to Hassan zaczął pstrykać palcami, stosując coraz to inne kombinacje: najpierw poszczególnymi palcami, potem wszystkimi pięcioma palcami ręki prawej, potem lewej; następnie jednocześnie palcami obu rąk i znów raz palcami prawej ręki i dwa razy lewej i odwrotnie. Lecz wszystko było daremne. Wtedy Hassan przystąpił nagle do rozdzierania z wielkim hałasem swego przyodziewku.

— Czyś ty bzika dostał? — przestraszył się Wolka. — Co ty wyprawiasz?

— Biada mi! — odrzekł szeptem Hassan i zaczął drapać sobie twarz. — O biada mi!... Niestety, tysiące lat, które spędziłem w przeklętym naczyniu, dały znać o sobie. Brak praktyki w sposób katastrofalny odbił się na mojej specjalności... Daruj mi, o młody mój wybawco, ale nie mogę nic poradzić na tę twoją brodę. O biada mi, biada nieszczęsnemu dzinnowi, Hassanowi Abdurrachmanowi ibn Chottab!...

— Co ty tam mruyczysz? — zapytał Wolka. — Może byś zechciał szeptać wyraźniej. Ani słowa nie mogę zrozumieć.

Na to Hassan odrzekł, starannie rozdzierając na sobie ubranie:

— O najdroższy spośród młodzieńców, o najmilszy spośród miłych! Niech ciężar twego sprawiedliwego gniewu mnie oszczędzi!... Nie mogę wyzwolić cię od tej brody. Z a p o m n i a ł e m j a k s i ę t o r o b i ! ! ...

— Trzeba mieć sumienie, obywatele! — zaczęli zewsząd sykać sąsiedzi. — W domu się nagadacie. Przeszkadzacie przecież! Czyż doprawdy trzeba będzie wzywać biletera?...

— Hańba mojej starej głowie! — teraz już niemal niedosłyszalnie jęczał Hassan. — Żeby zapomnieć takiego zwykłego zaklęcia! I to kto zapomniał? Ja, Hassan Abdurrachman ibn Chottab, najpotężniejszy z dzinnów! Ja, ten sam Hassan Abdurrachman ibn Chottab, z którym przez dwadzieścia lat nie mógł sobie poradzić sam Sulejman ibn Dauda, niech obaj zaznają pokoju.

— Przestań się mazać! — szeptem odpowiedział Wolka nie kryjąc swojej pogardy. — Mów po ludzku, czyś na długo obdarzył mnie tą brodą?

O nie, bądź spokojny, mój szlachetny władco! — odpowiedział staruszek. — Na szczęście zakląłem cię małym zaklęciem... Jutro o tej porze oblicze twoje znowu stanie się gładkie jak twarzyczka nowonarodzonego niemowlęcia... Być może, uda mi się nawet wcześniej przypomnieć sobie, jak się odczarowuje małe zaklęcia...

W tym czasie na ekranie skończył się długi szereg napisów, które zwykle poprzedzają każdy obraz, i zjawili się ludzie, którzy się zaczęli ruszać i mówić. Hassan z głębokim zadowoleniem szepnął do Wolki:

— Rozumiem to. Ta rzecz jest bardzo prosta. Wszyscy ci ludzie przeszli do nas przez

ścianę. Ja to również potrafię.

— Nic a nic nie rozumiesz — uśmiechnął się Wolka na to jawne nieuctwo staruszka. — Kino, jeżeli chcesz wiedzieć, zbudowane jest na zasadzie...

Lecz z przednich i tylnych rzędów znowu dały się dyszeć sykania i wykład Wolki urwał się w połowie słowa.

Minutę może Hassan siedział jak zaczarowany. Potem z wielkim podnieceniem zaczął się wiercić, raz po raz odwracając się w tył, w tę stronę, gdzie w dziewiątym rzędzie, jak nasi czytelnicy zapewne pamiętają, siedziało dwóch aktorów filmowych. Wykonał ten ruch kilka razy i wreszcie przekonał się ostatecznie, że ci sami ludzie jednocześnie siedzą za nim z rękami statecznie złożonymi na piersiach i pędzą konno na szybkich rumakach, tam, na przodzie, na jedynej oświetlonej ścianie tego zagadkowego lokalu.

Staruszek zbladł, z przerażeniem podniósł do góry brwi i szepnął do Wolki:

— Spójrz poza siebie, o nieustraszony Wolko ibn Alosza!

— Tak — to aktorzy filmowi — odrzekł Wolka. — Grają w tym filmie główne role. Przyszli, żeby zobaczyć, czy widzom, to znaczy nam, ich gra się podoba.

— Mnie się nie podoba — szybko oznajmił Hassan. — Nie podoba mi się to, że ludzie się rozdwiają. Nawet ja nie potrafię jednocześnie siedzieć z założonymi rękami na krześle i galopować na chyżym, wiatrowi podobnym rumaku. Tego nawet Sulejman syn Dauda — obaj niech pozostają w pokoju — nie mógł uczynić. Dlatego strach mnie ogarnia.

— Wszystko w porządku — z protekcyjnym uśmiechem odpowiedział staruszkowi Wolka. — Patrz na innych widzów. Sam się przekonasz, że nikt się nie boi. Wy tłumaczę ci potem, na czym cała rzecz polega.

Nagle potężny gwizd lokomotywy przenikliwie zadźwięczał w ciszy.

Hassan chwycił Wolkę za rękę.

— O cesarzowi podobny Wolko! — zaczął szeptać oblewając się zimnym potem. — Poznają ten głos. To głos cesarza džinnów Dżirdżisa!... Uciekajmy, póki nie jest za późno!

— Brednie! Siedz spokojnie!... Nic nam nie grozi.

— Jestem posłuszny woli twojej i rozkazom twoim — pokornie wykrztusił Hassan nie przestając się trząść.

Lecz minęła zaledwie sekunda i oto gdy na ekranie prosto na widzów zaczął pędzić z głośnym gwizdem parowóz, na widowni rozległ się przenikliwy krzyk przerażenia.

— Uciekajmy!... Uciekajmy!... — nieludzkim głosem wrzeszczał Hassan, ile sił w nogach zmiatając z sali.

Był już przy wyjściu, gdy przypomniał sobie o Wolce; wrócił po niego w kilku susach, złapał za łokieć i pociągnął ku drzwiom.

— Uciekajmy, o Wolko ibn Alosza! Uciekajmy, póki nie jest za późno!...

— Obywatele... — zaczął bileter zagradzając im drogę.

Ale w tej samej chwili wykonał w powietrzu piękny, bardzo długi łuk i znalazł się na estradzie, tuż przed ekranem.

— Czegoś wrzeszczał? I po coś rozpętał tę dziką panikę? — z gniewem zapytał Wolka Hassana, gdy się znaleźli na ulicy.

Tamten zaś odpowiedział:

— Jakże mogłem nie krzyżeć, skoro nad moją głową zawisło najstraszniejsze z możliwych niebezpieczeństw! Prosto na nas pędził wyrzucając ze swego wnętrza ogień i śmierć wielki szejtan Dżirdżis ibn Redżmus, wnuk ciotki Ikrisza!

— Jaki Dżirdżis! Naprawdę, nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać! Jaka ciotka? Toż to najzwyczajniejszy w świecie parowóz!

— Czy mój młody władca ma zamiar uczyć starego džinna Hassana Abdurrachmana ibn Chottab, co to jest szejtan? — zjadliwie zapytał Hassan.

Wtedy Wolka zrozumiał, że wytłumaczenie Hassanowi, co to jest kino i co to jest paro-

wóz, nie jest kwestią pięciu minut ani nawet godziny.

Hassan wreszcie odsapnął i rzekł z głęboką pokorą:

— Na co byś miał w tej chwili ochotę, o najdroższa żrenico mego oka?

— Nie wiesz, czy co? Oczywiście — pozbyć się tej brody!

— Niestety — ze smutkiem odpowiedział starszek — wciąż jeszcze jestem bezsilny, gdy idzie o to życzenie. Ale może masz jakieś inne? Powiedz, a w jednej chwili będzie spełnione.

— Ogolić się... I to jak najprędzej!

Po kilku sekundach obaj byli już w zakładzie fryzjerskim. Upłynęło chyba z dziesięć minut, zanim przemęczony fryzjer ukazał się w otwartych drzwiach salonu męskiego i zawołał:

— Kto tam w kolejce?!

Ze skromnego kącika tuż koło wieszadeł wysunął się i pośpiesznie usadowił na fotelu chłopiec; twarz miał owiniętą kosztowną, jedwabną tkaniną.

— Mam ostrzyc? — spytał fryzjer spojrzawszy na podcięte po chłopięcemu włosy klienta.

— Proszę mnie ogolić! — powiedział stłumionym głosem chłopiec, po czym zdjął chustkę, która kryła mu twarz aż po same oczy.

## VII. Niespokojny wieczór

Dobrze się złożyło, że Wolka nie był brunetem. Bo na przykład policzki Żeni Bogorada po ogoleniu miałyby odcień niebieskawy. Kiedy zaś Wolka opuścił zakład fryzjerski, policzki jego nie różniły się zupełnie od policzków wszystkich jego rówieśników.

Choć minęła już godzina siódma, na dworze wciąż jeszcze było widno i bardzo gorąco.

— Czy nie ma w błogosławionym waszym mieście sklepu, gdzie sprzedawany jest sorbet i podobne sorbetowi napoje chłodzące, abyśmy mogli ugasić pragnienie? — zapytał Hassan.

— Słusznie! — podchwycił Wolka myśl Hassana. — Przydałaby się teraz zimna limoniada albo kruszon!

Weszli do pierwszego z brzegu pawilonu wód | mineralnych i owocowych, usiedli przy stoliku i skinęli na kelnerkę.

— Prosimy o dwie butelki limoniady — powiedział Wolka.

Kelnerka kiwnęła głową i miała już iść do bufetu, lecz Hassan zatrzymał ją z gniewem:

— Podejdz no tu bliżej, służebnico niegodna! Nie podoba mi się sposób, w jaki odpowiedziałaś na żądanie mojego młodszego przyjaciela i władcy.

— Hassanie, przestań! Słyszysz?! Przestańże!... — syknął Wolka.

Ale Hassan łagodnym ruchem zamknął mu usta swoją chłodną dłoń.

— Pozwól, abym chociaż ja stanął w obronie twojej godności, skoro ty, z przyczyny właściwej ci miękkości charakteru, nie zgromiłeś jej.

— Nic a nic nie rozumiesz! — nie na żarty przeraził się Wolka losem kelnerki. — Hassanie, po rosyjsku mówię do ciebie, żebyś...

I nagle z przerażeniem uczuł, że pozbawiony jest daru mowy. Chciał skoczyć i stanąć pomiędzy starszkiem a dziewczyną, która wciąż jeszcze nie podejrzewała nic złego, lecz nie mógł ruszyć ani ręką, ani nogą.

To Hassan, nie chcąc, aby mu Wolka przeszkodził w wykonywaniu tego, co uważał za

sprawę swego honoru, ścisnął leciutko u dołu wielkim i wskazującym palcem lewej ręki prawe ucho chłopca i skazał go tym na milczenie i całkowitą nieruchomość.

— Jakaś ty odpowiedziała na rozkaz mego młodego przyjaciela? — powtórzył po raz drugi, zwracając się do kelnerki.

— Nie rozumiem, o co chodzi? — uprzejmie odpowiedziała dziewczyna. — Żadnego rozkazu nie było. Było tylko życzenie. Poszłam je właśnie wykonać. To pierwsza sprawa. Po wtóre, u nas nie ma zwyczaju nikogo „tykać”. Do ludzi nieznanym mówi się u nas „wy”. Dziwi mnie, że nie jest to wam wiadome — wie o tym każdy kulturalny człowiek w naszym państwie.

— Co? Chcesz mnie uczyć?! — krzyknął Hassan. — Na kolana! Albo zetrę cię na proch!

— Wstyd, obywatelu! — wtrąciła się kasjerka, która obserwowała całą tę oburzającą scenę, ponieważ innych klientów prócz Wolki i Hassana w pawilonie nie było. — Jak można pozwalać sobie na takie wybryki, i to w waszym wieku!

— Na kolana! — ryknął w pasji Hassan. — I ty padnij na kolana! — wyciągnął palec w stronę kasjerki. — I ty też! — krzyknął na drugą kelnerkę, która śpieszyła z pomocą koleżance. — Wszystkie trzy niezwłocznie macie paść na kolana i błagać mego przyjaciela, żeby wam raczył przebaczyć!

Wypowiedziawszy te słowa, Hassan zaczął nagle rosnąć w oczach, dopóki nie dotknął głową sufitu. Był to widok straszny i zdumiewający. Kasjerka i druga kelnerka zemdlały z przerażenia, pierwsza kelnerka natomiast, chociaż bardzo zbladła, spokojnie rzekła do Hassana:

— Wstyd, obywatelu! Proszę się zachowywać, i jak przystoi w miejscu publicznym... Jeśli z was przywoity hipnotyzer...

Myślała, że staruszek robi tu jakieś doświadczenia hipnotyczne.

— Na kolana! — ryknął Hassan. — Do kogo mówię?! Na kolana!

W ciągu trzech tysięcy siedmiuset dwóch lat jego życia był to pierwszy wypadek, kiedy zwykli śmiertelnicy mieli odwagę sprzeciwić się jego rozkazom. Hassanowi się zdawało, że pomniejsza go to w oczach Wolki, a bardzo zależało mu na tym, by go chłopiec szanował i cenił jego przyjaźń.

— Padnij na twarz, nędznicu, jeśli ci życie miłe!

— O tym nie może nawet być mowy — odpowiedziała drżącym głosem odważna kelnerka. — Za granicą, w krajach kapitalistycznych, pracownicy żywienia zbiorowego muszą wysłuchiwać od klientów różnych niegrzecznych słów, ale u nas... W ogóle nie rozumiem, dlaczego obywatel podnosi głos... Jeżeli obywatel ma mi coś do zarzucenia, należy grzecznie poprosić kasjerkę o książkę zażaleń. Książka wydawana jest na każde żądanie... Pawilon nasz odwiedzają, proszę was, najbardziej znani hipnotyzerzy i żonglerzy, ale nikt nigdy na podobne wybryki sobie nie pozwalał... Czy dobrze mówię, Katia? — zwróciła się do koleżanki, która tymczasem zdążyła już odzyskać przytomność.

— Też pomysły! — odpowiedziała Katia pochlipując. — Mamy padać na kolana! Bezcelność!...

— Więc to tak?! — ostatecznie stracił nad sobą panowanie Hassan. — Do takich granic dochodzi wasz upór?! Skoro tak jest, to trudno... Sameście tego chciały!

Powiedziawszy to, zwykłym swym ruchem wyrwał sobie z brody trzy włoski; cofnął przy tym lewą rękę i puścił ucho Wolki po to, aby móc rozedrzeć włosy na drobne kawałeczki.

Ale gdy tylko staruszek zostawił w spokoju ucho Wolki, chłopiec, ku wielkiemu niezadowoleniu Hassana, znowu odzyskał dar mowy oraz możliwość rozporządzania swoim ciałem. Czym prędzej też złapał Hassana za rękę.

— Coś ty, Hassanie?! Co zamierzasz zrobić?

— Mam zamiar je ukarać, o Wolko! Wierzaj mi, nawet wstyd się przyznać: z początku chciałem porazić je gromem. Ale porażanie ludzi jest w mocy każdego, nawet najmarniejszego ifryta \*...

Wtedy Wolka, mimo że sytuacja była trudna, znalazł w sobie dość męstwa, by wystąpić w obronie nauki.

— Grom — mówił gorączkowo, szukając sposobu zapobieżenia katastrofie, która zawisła nad głowami nieszczęsnych dziewcząt — grom nikogo nie może porazić. Poraża ludzi atmosferyczne wyładowanie elektryczności, czyli błyskawica. A grzmot nie poraża. Grzmot jest tylko dźwiękiem.

— Nie wiem — oschle odpowiedział Hassan, który widocznie nie życzył sobie zniżyć się do dysput z niedoświadczonym młodzikiem. — Nie sądzę, żebyś miał słuszość. Rozmyśliłem się jednak. Nie porażę ich gromem. Zmienię je lepiej we... wróble. Tak, raczej chyba we wróble.

— Ależ za co?

— Muszę je ukarać, o Wolko! Występek winien być ukarany.

— Nie ma powodu, żeby je karać! Słyszysz?

Wolka szarpnął Hassana za rękę. Stary bowiem już był gotów zabrać się do rozdierania włosów, i wtedy byłoby za późno.

Lecz włoski leżące na podłodze same się znalazły w ciemnej dłoni Hassana.

— Spróbuj tylko! — krzyknął Wolka, gdyż zauważył, że staruszek znowu zabiera się do ich rozdierania. — To tak?... Wobec tego mnie też masz zmienić, w co zechcesz! I w ogóle uważaj naszą znajomość za skończoną! Zachowanie się twoje stanowczo mi się nie podoba. Koniec! Proszę! Możesz mnie zmienić we wróbla! I niech mnie zje pierwszy lepszy kot!

Staruszek się stropił.

— Czyż nie widzisz, że pragnę to uczynić tylko po to, by w przyszłości nikt nie ważył się traktować cię bez tego wyjątkowego poważania, na które dzięki nieskończonej ilości twoich zalet zasługujesz?!

— Nie widzę i nie chcę widzieć!

— Twój rozkaz jest dla mnie prawem — posusznie powiedział Hassan, szczerze zdumiony niepojętą wyrozumiałością swego młodego wybawcy. — Dobrze, nie będę tych dziewcząt zmieniał we wróble.

— I w nic innego również! — przewidująco dodał Wolka, po czym odetchnął z ulgą.

— I w nic innego również — z pokorą zgodził się staruszek. Jednak znów zabrał się do swoich włosów z wyraźnym zamiarem rwania ich na kawałeczki.

— Dlaczego chcesz rwać te włosy? — znowu przestraszył się Wolka.

— Obróć w proch wszystkie produkty, stoły oraz całe urządzenie tego nędznego sklepu!

— W głowie ci się chyba pomieszało?! — zirytował się do reszty Wolka. — Przecież to wszystko jest mienie państwowe, ty stara ciamajdo!

— Czy wolno mi zapytać cię, o brylancie duszy mojej, co rozumiesz przez to nie znane mi słowo „ciamajda”? — z zainteresowaniem zapytał Hassan.

Wolka zrobił się czerwony jak burak.

— To jest, widzisz... jakby ci to powiedzieć..., e-e-e... ciamajda to mniej więcej... coś w rodzaju mędrca...

Hassan postanowił sobie zapamiętać ten wyraz i przy okazji błysnąć nim w jakiejś rozmowie.

— Ale... — zaczął.

\* Ifryt — rodzaj złego ducha w bajkach arabskich.

— Nie ma żadnego „ale”! Liczę do trzech. Jeżeli, kiedy powiem „trzy”, nie pozostawisz w spokoju tego pawilonu, uważaj, że nie mamy ze sobą nic wspólnego, że wszystko między nami skończone, że... No! Liczę już! Raz! Dwa! Trz...

Wolka nie zdążył dokończyć króciutkiego słowa „trzy”, kiedy staruszek z goryczą machnął ręką, przybrał swój zwykły wygląd i odezwał się posepnie:

— Niechże już będzie tak, jak chcesz, albowiem uczynienie zadość woli twojej jest mi droższe niżli źrenice moich oczu.

— O to chodzi — rzekł Wolka. — Pozostaje nam jednak jeszcze przeprosić i spokojnie wyjść.

— Składajciez dzięki swemu młodemu wybawcy! — surowo krzyknął Hassan na dziewczęta.

Wolka zrozumiał, że tego, by usta Hassana powiedziały słowo „przepraszam”, nie osiągnie.

— Bądźcie tak dobre, towarzyszki, wybaczcie nam — rzekł do kelnerek. — I jeżeli można, nie bardzo się gniewajcie na tego obywatela. To przyjezdny, jeszcze nie całkiem orientuje się w zwyczajach ludzi radzieckich. Do widzenia!

— Do widzenia! — uprzejmie odpowiedziały dziewczęta.

Niezupełnie jeszcze przyszyły do równowagi. Wszystko to było i dziwne, i trochę straszne. Ale, rzecz prosta, nawet przez myśl im nie przeszło, że niebezpieczeństwo, którego uniknęły, było aż tak po ważne.

Wyszły za Hassanem i za Wolką na ulicę, stanęły koło drzwi i patrzyły na oddalającego się powoli, dziwnego staruszka w staromodnym słomkowym kapeluszu, aż do chwili kiedy wraz ze swoim młodym towarzyszem, który go ciągnął za rękę, zniknął za rogiem ulicy.

— Pojęcie przechodzi, skąd się takie utrapione stare dziady biorą! — westchnęła Katia i znowu chlipnęła.

— Jakiś hipnotyzer z czasów przedrewolucyjnych — z litościwą wyrozumiałością rzekła jej dzielna towarzyszka. — Pewnie jakiś emeryt. Smutno się staremu zrobiło i wypił sobie może o jednego za wiele... Czy to dużo w takim wieku człowiekowi potrzeba?!

— T-a-ak — przyłączyła się do jej opinii kasjerka. — Cóż? Starość nie radość... Wracajmy do pracy, dziewczęta.

Widocznie jednak nie było sądzone, żeby na tym skończyły się fatalne wydarzenia tego dnia. Ledwie Wolka i Hassan zdążyli wyjść na ulicę Gorkiego, uderzył ich oczy oślepiający blask samochodowych świateł. Napełniając powietrze wieczoru przejmującym dźwiękiem syreny, pędził — rzec by można, prosto na nich — wielki sanitarny samochód.

Twarz Hassana zmieniła się straszliwie. Staruszek zaczął krzyczeć na cały głos:

— O, biada mi, biada staremu nieszczęsnemu dzinnowi! Dżirdżis, potężny i bezlitosny król szejtanów i ifrytów, nie zapomniał o naszej zadawnionej nienawiści. Nasyła oto na mnie najstraszniejsze ze swoich potworów!

Wyrzekłszy te słowa, błyskawicznie oderwał się od chodnika i dopiero gdy się znalazł kędyś wysoko na poziomie trzeciego czy czwartego piętra zdjął swój słomkowy kapelusz, skinął nim Wolce i wolno roztopił się w powietrzu, wołając na pożegnanie:

— Będę się starał odnaleźć cię, o Wolko ibn Alosza! Całuję proch pod twoimi stopami! Do zobaczenia!

Mówiąc między nami, Wolka się nawet ucieszył, że staruszek zniknął. Miał inne kłopoty. Nogi się pod nim uginały na samą myśl o tym, że przecież czeka go powrót do domu.

No, bo rzeczywiście: spróbujcie tylko wyobrazić sobie, że jesteście na jego miejscu.

Wyszedł z domu po to, żeby zdać egzamin z geografii, pójść do kina i o wpół do siódmej wieczorem wrócić jak należy na posiłek. Tymczasem wraca o dziesiątej po haniebnym oblaniu egzaminu, a co najstraszniejsze — ze śladami brzytwy na policzkach! I to w wieku niespełna trzynastu lat!

Chociaż chłopiec długo myślał, nie potrafił znaleźć wyjścia z sytuacji, która się wytworzyła. Nic nie wymyślił i powlókł się zwolna w stronę Triechprudnego Zaułka, pełnego długich cieni, jakie bywają przed samym zachodem słońca.

Minał zdziwionego dozorcę, wsunął się przez drzwi frontowe, wyszedł na pierwsze piętro, westchnął ciężko i nacisnął dzwonek. W głębi mieszkania dały się słyszeć czyjeś kroki, po czym zupełnie obcy głos zapytał przez zamknięte drzwi:

— Kto tam?

— To ja — chciał się odezwać Wolka, lecz nagle sobie przypomniał, że od dziś już tu nie mieszka.

Nic odpowiedział ani słowa nowemu lokatorowi i zbiegł szybko na dół. Z pewną siebie miną przeszedł koło dozorczy, który wciąż nie przestawał się dziwić, opuścił Zaułek i wszedł do trolejbusu.

Ale dnia tego nieszczęście go prześladowało. Sam nie wiedział gdzie — zapewne w kinie — zgubił portmonetkę. Trzeba było więc wysiąść z trolejbusu i iść pieszo.

W nowym mieszkaniu oczekiwała na Wolkę babunia; była zaniepokojona jego długą nieobecnością. Ojciec nie wrócił jeszcze z roboty. Miał posiedzenie rady zakładowej. Mama po wykładach (chodziła na uniwersytet wieczorowy) pewnie wstąpiła po ojca do fabryki.

Mimo że Wolka starał się nadać swojej twarzy wyraz radości i spokoju, była ona tak posępna, że babunia postanowiła najpierw chłopaka nakarmić, a dopiero potem rozpocząć indagacje.

— Jakże tam, Woleńka? — zagadnęła niepewnie, kiedy jej jedyny wnuczek szybko uwinął się z obiadem.

— Sam nie wiem, jak ci mam powiedzieć... — w sposób dość nieokreślony bąknął Wolka i, ściągając po drodze sportową koszulkę, pośpieszył do łóżka.

Babunia bez słowa odprowadziła go współczującym i serdecznym, choć smutnym spojrzeniem. Po co pytać? Wszystko przecie było zupełnie jasne.

Wolka westchnął, rozebrał się i wyciągnął na świeżym, chłodnym prześcieradle, lecz spokoju nie zaznał.

Na stoliku obok łóżka wabiła oczy wielobarwną, papierową okładką gruba książka po-każnego formatu. Aż go coś w sercu ukłuło: tak, to była właśnie ta sama, gorąco upragniona książka z dziedziny astronomii! A na stronie tytułowej pismem wyraźnym, od najwcześniejszego dzieciństwa tak znajomym, było napisane: „Rozmówlanemu w wiedzy uczniowi klasy siódmej, czynnemu członkowi Kółka Astronomów przy Moskiewskim Obserwatorium, Władimirowi Kostylkowowi — kochająca go babcia”.

Jaka to zabawna dedykacja! Babunia zawsze potrafi wymyślić coś zabawnego. Dlaczego jednak Wólce wcale się śmiać nie chce, och, zupełnie się nie chce?!

Wyobraźcie sobie, że nie odczuwa nawet żadnej przyjemności, choć ma nareszcie tę zachwycającą książkę, o której tak długo marzył. Smutek, ciężki smutek zżera mu serce. W piersiach taki ucisk, że trudno oddychać... Nie, Wolka dłużej tego nie wytrzyma.

— Babuniu! — woła odwracając oczy od książki. — Babuniu! Czy mogłabyś na chwilę tu przyjść?

— Czegóż to chcesz ode mnie, ty nic dobrego? — z udaną gderliwością odpowiada babcia, bardzo szczęśliwa, że jeszcze przed snem uda się jej z wnuczkiem porozmawiać. — Rady na ciebie nie ma, ty astronomie jeden, marku nocny!

— Babuniu! — słychać gorący szept Wołki. — Zamknij drzwi i usiądź przy mnie na łóżku. Muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego.

— To może lepiej do rana odłożyć, jeśli to ma być ważna rozmowa — proponuje babunia, choć sama umiera z ciekawości.

— Nie, natychmiast, koniecznie w tej chwili., Ja... babuniu... ja... nie przeszedłem do siódmej klasy... To znaczy... dotychczas jeszcze nie przeszedłem... Nie zdałem egzaminu...

— Obciąłeś się? — cicho wzdycha babunia.

— Nie, nie obciąłem się... Nie zdałem, ale się też nie obciąłem... Zacząłem mówić o poglądach ludów starożytnych na Indie, no i... o horyzoncie, i różne takie... Dobrze to wszystko powiedziałem... Ale naukowo jakoś mi się nie udało. Poczuję się niedobrze i dyrektor kazał mi przyjść znowu, kiedy porządnie odpocznę...

Nawet w tej chwili — i nawet babuni — Wolka nie miał odwagi powiedzieć o Hassanie. Nie uwierzyłyby zresztą, gotowa byłaby pomyśleć, że Wolka naprawdę zachorował.

— Z początku chciałem to ukryć i przyznać się dopiero wtedy, kiedy już wszystko będzie zdane, ale... sumienie mnie zaczęło dręczyć. Czy ty to rozumiesz, babuniu?

— Jakże nie mam rozumieć, Woleńka? Sumienie to wielka rzecz. Nie ma nic gorszego w życiu niż niezgoda z własnym sumieniem. Śpijże już, śpij, astronomie mój kochany!

— Zabierz tymczasem te książkę — drżącym głosem rzekł Wolka.

— Ani mi to w głowie! Co ja bym z nią robiła? Uważaj, że na razie oddałam ci ją tylko na przechowanie... A teraz już śpij! Czy śpisz?

— Śpię — odpowiedział Wolka; teraz, kiedy się przyznał, czuł się tak, jakby wielki ciężar spadł mu z serca. — To ci, babciu, obiecuję i daję słowo pioniera, że zdam geografię na piątkę. Nie wierzysz?

— Pewnie, że wierzę. Śpijże, śpij, siły zbieraj... A jak będzie z rodzicami? Ja mam powiedzieć, czy też wolisz sam?

— Lepiej ty, babuniu.

— Śpijże, śpij spokojnie!

Babunia ucałowała Wolkę, zgasiła światło i wyszła z pokoju.

Przez jakiś czas Wolka leżał i wstrzymywał oddech. Chciał się dowiedzieć, jak też babcia opowie rodzicom o tym smutnym zdarzeniu, ale nic jakoś nie usłyszał i usnął.

## VIII. Niespokojna noc

Nie minęła nawet godzina, kiedy Wolkę obudził dzwonek telefonu, rozbrzmiewający z gabinetu ojca.

Aleksiej Aleksiejewicz podszedł do aparatu.

— Słucham... Tak, to ja... Kto? Dobry wieczór, Paweł Wasiljewicz! Dziękuję, nieźle, a wasze jak?... Wolka? Wolka śpi... Moim zdaniem, zupełnie zdrow, zjadł kolację z wybitnym po prostu apetytem... Wiem... powiedział... Mnie też to dziwi... Tak, trudno chyba inaczej to sobie wytłumaczyć... Oczywiście, lepiej będzie, jeżeli odpocznie przez jakiś czas, skoro nie macie nic przeciwko temu... Dziękuję za troskliwość... Do widzenia!... Pozdrowienia dla ciebie od dyrektora szkoły — rzekł Aleksiej Kostylkow do żony. — Pytał o zdrowie Wolki. Mówi, że nie należy się martwić: Wolka ma w szkole dobrą opinię, powinien tylko odpocząć jak należy.

Tym razem Wolka również usiłował usłyszeć, co mówili o nim rodzice, ale znowu nic z ich rozmowy nie rozumiał i usnął.

Teraz też nie udało mu się pospać dłużej niż kwadrans. Znowu przeszkodził telefon.

— Tak, to ja — dotarł do uszu chłopca przytłumiony głos ojca. — Tak... Dobry wieczór, Nikołaj Nikołajewicz!... Co?... Nie, nie ma... Tak, w domu, oczywiście, w domu... Bardzo proszę... Do widzenia, Nikołaj Nikołajewicz!...

— Kto telefonował? — dał się słyszeć z kuchni głos mamy.

— Ojciec Żeni Bogorada. Niepokoi się o Żenię. Chłopiec dotychczas nie wrócił do do-



mu. Ojciec pyta, czy chłopaka nie ma u nas i czy Wolka jest w domu.

— Za moich czasów tak późno wracać zdarzało się tylko huzarom... — wtrąciła się do rozmowy babunia. — Ale żeby dzieciak...

Po upływie pół godziny dzwonek telefonu po raz trzeci przerwał Wolce sen podczas tej niespokojnej nocy.

Tym razem dzwoniła matka Żeni Bogorada. Żeni wciąż jeszcze nie było w domu. Prosiła, by rodzice zapytali o niego Wólkę.

— Wolka! — rzekł ojciec, leciutko uchylając drzwi. — Tatiana Iwanowna pyta, kiedy po raz ostatni widziałeś Żenię?

— Wieczorem, w kinie.

— A po wyjściu z kina?

— Po wyjściu go nie widziałem.

— Czy ci nic nie mówił, dokąd zamierzał pójść z kina?

— Nie.

Wolka czekał długo, kiedy nareszcie dorośli przestaną mówić o zaginięciu Żeni (sam nie przejmował się tym ani trochę, przypuszczał, że Żenia z wielkiej radości machnął się do Parku Kultury i poszedł do cyrku), ale w końcu się nie doczekał i usnął po raz trzeci, tym razem już na dobre.

Po chwili w kącie pokoju dał się słyszeć cichy plusk. Potem zaczęły być czyjeś kroki. Na posadzce zjawiły się i natychmiast wyschły ślady niewidzialnych, mokrych stóp. Ktoś, nucąc pod nosem smętną, przeciągłą wschodnią melodię, niewidzialny dla nikogo, stąpał po pokoju.

Ślady mokrych stóp szły w kierunku stołu, na którym pracowicie cykał budzik. Dało się słyszeć pocmukiwanie wyrażające zachwyt. Budzik sam się wzniósł w powietrze, przez jakiś czas wisiał spokojnie pomiędzy sufitem a podłogą, potem wrócił na swoje zwykłe miejsce, ślady zaś poszły w kierunku akwarium. Znowu rozległ się plusk i wszystko ucichło.

Późną nocą zaczął padać deszcz. Wesoło stukał o szyby, zamazyście szumiał w gęstym listowiu drzew, energicznie brzęczał spływając rynnami. Od czasu do czasu uspokojał się; wtedy słychać było, jak duże deszczowe krople dźwięcznie i z powagą padają do stojącej pod oknem beczki. Potem, jakby mu świeżych sił przybyło, znowu zaczynał lać strumieniami.

Przy takim deszczu śpi się przyjemnie; działa on usypiająco nawet na ludzi cierpiących na bezsenność, a Wolka na tę dolegliwość nigdy nie narzekał.

Nad ranem kiedy niebo całkiem prawie się przetaiło, ktoś delikatnie kilka razy z rzędu dotknął ramienia naszego bohatera pogrążonego w mocnym śnie. Lecz Wolka się nie obudził. Wtedy ten ktoś, daremnie usiłujący obudzić chłopca, ciężko westchnął, zamamrotał coś i, człapiąc pantoflami, skierował się w głąb pokoju, gdzie na wysokim stolicku połyskiwało akwarium ze złotymi rybkami.

Dało się słyszeć cichutkie pluśnięcie i znowu w pokoju zapanowała cisza.

## IX. Ranek od wieczora zmyślniejszy

Ranek był słoneczny, przecudny.

O wpół do siódmej babunia cichutko uchyliła drzwi, na palcach podeszła do okna i otworzyła je na całą szerokość. Do pokoju buchnęło rzeźwe, chłodnawe powietrze. Wstawał ranek moskiewski, hałaśliwy, pulsujący życiem, zabiegany. Ale Wolka nie obudziłby się na pewno, gdyby mu się kołdra nie ześliznęła na podłogę.

Mają rację ci, którzy twierdzą, że ranek jest od wieczora zmyślniejszy!

W rozświetlonym, pełnym wesołego blasku pokoju troski dnia wczorajszego wydały się Wolce niezbyt uzasadnione. Ponadto przypomniał sobie o istnieniu „taro” — szarego proszku w buteleczce po wodzie kolońskiej — który ojciec jakoś w zimie przywiózł dla zabawki z Tbilisi, dokąd jeździł służbowo. Wystarczy rozrobić ten proszek na papkę, posmarować nim policzki, a najgęstszy zarost od razu schodzi bez śladu. Co prawda, po paru dniach odrasta znowu, ale przecież Wolce idzie tylko o to, żeby jakoś przetrzymać do wieczora, bo wtedy to już tylko patrzeć jak niefortunne zaklęcie Hassana przestanie działać. Ciekawa rzecz zresztą, gdzie się ten niesforny starzec podziewa? Czy aby gdzie nie zabłądził wczoraj w tej ogromnej Moskwie? Wolka już się teraz na niego nie gniewa...

W domu było jeszcze zupełnie cicho. Tylko babunia, która zwykle budziła się pierwsza, krzątała się już przy blasze kuchennej. Niedługo wstanie ojciec.

Wolka przeciągnął się z rozkoszą, ziewnął słodko i skierował kroki ku drzwiom. Przechodząc koło akwarium rzucił na nie roztargnione spojrzenie i... osłupiał ze zdumienia. W ciągu nocy zaszedł w tym niewielkim, czworokątnym, szklanym naczyniu fakt z punktu widzenia nauk przyrodniczych niewytłumaczalny, a wobec tego zawierający w sobie jakiś tajemniczy sens. Wczoraj w akwarium były cztery rybki, dziś jest ich pięć! Zjawiła się jeszcze jedna, nowa, gruba złota ryba, która dostojnie poruszała wspaniałymi, jaskrawo zabarwionymi płetwami. Kiedy zdziwiony Wolka przylgnął do grubego szkła akwarium, wydało mu się, że ryba raz po raz mruga na niego porozumiewawczo.

— Co za bzdura! — mruknął i wsunął rękę do wody, pragnąc złapać zagadkową rybę.

A ryba jakby tylko na to czekała. Mocno uderzyła ogonem o wodę, wyskoczyła z akwarium na podłogę i przeistoczyła się w staruszka Hassana.

— Uf! — odezwał się džinn otrząsając się i wycierając brodę wspaniałym ręcznikiem z brzegami wyszytymi w złote i srebrne kogutki, który nie wiadomo skąd się tu wziął. — Przez całe rano czekam na tę chwilę, kiedy będę miał zaszczyt złożyć ci moje uszanowanie. Tyś się jednak wciąż nie budził, a ja oszczędzałem twój sen. Musiałem więc przenocować z tymi oto ślicznymi rybkami, o najszcześniejszy z ludzi, Wolko ibn Alosza. Tak, tak, najszcześniejszy! — powtórzył z naciskiem Hassan widząc, że Wolka pragnie mu zaprzeczyć. — Przyszła mi bowiem myśl, w jaki sposób będę ci mógł uwolnić od zarostu przed wieczorem dnia dzisiejszego. Przyprawdę tu zaraz tego wczorajszego cyrulika, a on cię znowu ogoli, zachowując to w tajemnicy, inaczej bowiem będzie się musiał rozstać z życiem.

Wyrzekłszy te słowa Hassan odwrócił się i zamierzał bez zwłoki wyjść, aby wykonać obietnicę, lecz Wolka go powstrzymał:

— Myślę, Hassanie, że można się będzie obyć bez fryzjera. Ale potrzebna mi twoja pomoc. Potrafisz się przecie stać niewidzialny?

Staruszek uczuł się ogromnie dotknięty.

— Czyż dałem ci, o najmędrzy i najszlachetniejszy spośród młodzieńców, powody po temu, abys miał wąpić w moją potęgę? Wiem, teraz pomyślałeś sobie, że zapomniałem — ale zwróć na to uwagę, że to tylko chwilowo — jak się odczarowuje małe zaklęcie, co do reszty jednak...

Wolka natychmiast uspokoił staruszka. Wytłumaczył mu dokładnie, że tu i tu, w szafie z ubraniami poniewiera się mała flaszeczka z proszkiem „taro”, o której już ojciec od dawna nie pamięta, i poprosił o odsypanie i przyniesienie jednej jedynej stołowej łyżki tego znakomitego proszku.

Po upływie kilku minut Hassan przekonał się namacalnie, że można się będzie obyć bez fryzjera. Smutne nieporozumienie w związku z brodą Wolki można było uznać za całkowicie zlikwidowane.

Tymczasem gdzieś daleko, w zupełnie innej części miasta, kończył śnić ostatnie nadranne sny zapracowany fryzjer; nie dowiedział się on nigdy, od jak niemiłego i kto wie, może nawet niebezpiecznego spotkania uchroniła go stołowa łyżka szarego proszku, który zniknął

w tajemniczy sposób ze szczelnie zakorkowanej szklanym korkiem buteleczki po wodzie kolońskiej „Krymska róża”.

## X. Wywiad z nurkiem

Rodzice Żeni Bogorada całą noc spędzili na nogach. Telefonowali do wszystkich znajomych, objechali taksówką wszystkie oddziały milicji i wszystkie szpitale, odwiedzili urząd śledczy, a nawet kostnice miejskie — wszystko na próżno. Żenia przepadł jak kamień w wodę.

Rano dyrektor szkoły wezwał do siebie i osobiście wypytywał każdego z kolegów Żeni, a w ich liczbie i Wolkę.

Wolka uczciwie opowiedział o tym, że wczoraj spotkał Żenię Bogorada w kinie, nie mówił tylko, rzecz prosta, o swojej brodzie. Chłopiec, z którym Żenia siedział w jednej ławce, przypomniał sobie, że mniej więcej o godzinie ósmej wieczorem widział Bogorada na ulicy Puszkina. Żenia szedł do kina i był w świetnym humorze. Podobne zeznania złożyło jeszcze kilku uczniów, lecz żaden z nich nie dopomógł do znalezienia nici przewodniej dla dalszych poszukiwań.

Zaczęto się już rozchodzić do domów, kiedy nagle któryś z chłopców przypomniał sobie, że Żenia zamierzał po wyjściu ze szkoły iść się kąpać...

Po upływie pół godziny wszystkie, jakie tylko były do dyspozycji, oddziały nadbrzeżnej stacji ratowniczej zmobilizowano do poszukiwań zwłok Żeni Bogorada. Pracownicy stacji zbadali za pomocą bosaków całą rzekę w granicach miasta, nic jednak nie znaleźli. Nurkowie sumiennie obeszlili koryto rzeki, długo macali w okolicach każdego wiru i również nic nie wykryli.

Osuwała się już za rzeką ognista ściana zachodu, lekki wietrzyk przynosił z Parku Kultury głuchy dźwięk syreny, znak, że w teatrze letnim zaczyna się drugi akt wieczornego przedstawienia — a na tle rzeki wciąż jeszcze poruszały się ciemniejące kontury łodzi nadbrzeżnej stacji ratowniczej. Poszukiwania trwały dalej.

W ten chłodnawy i cichy wieczór Wolka nie mógł usiedzieć w domu. Nie dawały mu spokoju najgorsze przypuszczenia co do losu Żeni. W końcu zdecydował, że pójdzie do szkoły — może tam już coś wiedzą?

Przy wejściu bezszelestnie przyłączył się do niego Hassan, który się zjawił jak spod ziemi. Staruszek zauważył, że chłopiec jest czymś przygnębiony, lecz przez delikatność nie męczył go pytaniami. Obaj szli w milczeniu, każdy pochłonięty własnymi myślami; wkrótce znaleźli się na szerokim, ujętym w granit nadbrzeżu rzeki Moskwy.

— Co to za ludzie o nader dziwnych głowach stoją tam na tych wątych stateczkach? — zapytał staruszek wskazując na łodzie stacji ratowniczej.

— To są nurkowie rzeczni — ze smutkiem odpowiedział Wolka.

— Pokój z tobą, o czcigodny nurku rzeczny! — zwrócił się majestatycznie Hassan do jednego z nurków, gdy ten wysiadł z łódki na brzeg. — Czego szukasz na dnie tej pięknej rzeki?

— Chłopiec utonął — odpowiedział nurek i szybko wbiegł po schodach do budynku, w którym mieściła się stacja ratownicza.

— Innych pytań nie mam, o czcigodny nurku rzeczny! — rzucił Hassan za odchodzącym.

Po chwili wrócił do Wolki, złożył mu głęboki ukłon i rzekł:

— Całuję ziemię u stóp twoich, o najczcigodniejszy spośród młodzieńców uczęszczających do Szkoły Męskiej numer 245!

Wolka, nagle oderwany od smętnych rozmyślań drgnął i zapytał:

— Co?

— Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem, co mówił ten nurek rzeczny? Czy naprawdę poszukuje on młodzieńca, który ma honor być twoim kolegą?

Wolka w milczeniu kiwnął głową i westchnął głęboko.

— Czy kolega twój ma twarz okrągłą, budowę ciała krępa, nos zadarty i włosy przycięte inaczej niż młodemu pacholęciu przystoi?

— Tak, to Żenia. Czesnął się na „polkę”. Elegant był z niego nie byle jaki — odpowiedział Wolka i znowu westchnął ze smutkiem.

— Czy to ten sam, którego widzieliśmy w kinie Czy to ten, który zawołał coś do ciebie, a tyś był zmartwiony, że wszystkim opowie o brodzie, która ci wyrosła?

— Tak, zgadza się... Ale skądże ty wiesz, co myślałem?

— Z tej przyczyny, żeś niewyraźnie o tym mrucał, usiłując ukryć przed tym chłopcem swoje szacowne i w najwyższym stopniu piękne oblicze — ciągnął staruszek. — Nie masz się tedy czego bać!

— Nieprawda! — zachnął się Wolka. — Wcale nie to mnie przygnębia, przeciwnie, strasznie mi smutno, że Żenia utonął.

Przez twarz Hassana przemknął triumfujący uśmiech.

— On wcale nie utonął!

— Jak to: nie utonął? Skąd wiesz, że nie utonął?

— Ja bym nie miał wiedzieć! — oznajmił z miną zwycięzcy Hassan. — Przydybałem go wczoraj, kiedy wychodził z kina, i sprzedałem jako niewolnika do Indii! Niech sobie tam opowiada, komu chce, o twojej brodzie!

## XI. Zapowiada się wyprawa samolotem

— Jako niewolnika? W jaki sposób? Żeńkę Bogorada do niewoli? — powtórzył kilka razy Wolka do głębi wstrząśnięty tym, co usłyszał.

Staruszek zrozumiał, że znowu coś tu wyszło na opak, i rzekł z kwaśnym wyrazem twarzy:

— To bardzo proste... Zwykła rzecz... Zawsze się w ten sam sposób sprzedaje do niewoli — mruknął zacierając ręce i odwracając oczy. — Sprzedałem go jako niewolnika i koniec... żeby nie meł bez potrzeby ozorem, o moja najśłodsza w świecie ciamajdo!

Staruszek był bardzo zadowolony, że trafiła mu się okazja, aby wtrącić słowo, które z ust Wolki posłyszał poprzedniego dnia. Ale jego młody wybawca był zbyt przejęty straszną nowiną, by uświadomić sobie, że bez żadnego powodu nagle został nazwany ciamajdą.

— Okropność! — zawołał Wolka i obiema rękami złapał się za głowę. — Hassanie, czy ty pojmujesz, coś narobił?

— Hassan Abdurrachman ibn Chottab zawsze wie, co czyni!

— A jakże! Wiesz, co czynisz! To porządnych ludzi, nie wiadomo po co, chcesz zmieniać we wróble... to sprzedajesz człowieka do niewoli! Musisz coś zrobić, żeby Żeńka jak najprędzej tu wrócił!

— Nie! — zaprzeczył ruchem głowy Hassan, — Nie żądaj ode mnie rzeczy niemożliwych.

— A sprzedawanie ludzi do niewoli jest, twoim zdaniem, rzeczą możliwą? Uczciwe słowo pioniera! Nawet sobie nie wyobrażasz, co zrobię, jeżeli w tej chwili nie sprowadzisz tu Żeni z powrotem!

Prawdę mówiąc, Wolka sam jeszcze sobie nie wyobrażał, co można zrobić, aby wydrzeć Bogorada z łapczywych rąk indyjskich handlarzy dziećmi. Ale coś by wymyślił na pewno. Dałby znać jakiemuś ministerstwu... Ale jakiemu? I jak o tym opowiedzieć w tym ministerstwie?...

Ci, co tę opowieść czytają, zdążyli już dostatecznie poznać Wolkę i muszą mu przyznać, że beksą nie był. Ale tym razem nawet Wolka nie wytrzymał. Tak jest — odważny, nieustraszony Wolka usiadł na brzeżku pierwszej z brzegu ławki i rozplakał się w poczuciu bezsilnej złości.

Stary przeraził się nie na żarty.

— Co znaczy ten płacz, któremu się poddałeś? Odpowiedz mi, nie rozdieraj na kawałki mego serca, o młody mój wybawco!

Ale Wolka spoglądał nic nie widzącymi oczyma i mocno obydwoma rękami odepchnął pochylającego się nad nim ze współczuciem Hassana...

Staruszek uważnie popatrzył na Wolkę, parę razy poruszył wargami i odezwał się z namysłem, mówiąc raczej do siebie niż do Wolki:

— Nie mogę się dość nadziwić samemu sobie. Cokolwiek uczynię, zawsze ci to nie po myśli... Ze wszystkich sił staram się dogodzić ci, lecz wszystkie usiłowania moje są daremne. Najpotężniejsi władcy Wschodu i Zachodu niejedną raz uciekali się do moich cesarzy i nie było wypadku, żeby którykolwiek z nich nie czuł dla mnie wdzięczności, by nie przysparzał mi potem chwały w słowach i w myślach swoich. A teraz oto... Usiłuję zrozumieć i ani rusz nie mogę. O co chodzi? Czyżby to z winy starości? Tak, tak, starzeję się...

— Co też ty mówisz, Hassanie! Wyglądasz jeszcze bardzo młodo! — powiedział przez łzy Wolka.

Rzeczywiście, jak na trzy tysiące lat i to z górą, staruszek trzymał się nienajgorzej. Z wyglądu nikt by mu nie dał więcej niż sto, no, najwyżej sto dziesięć lat. Każdy z naszych czytelników wyglądałby zapewne w jego wieku znacznie starzej.

— „Bardzo młodo”! Gadaj zdrow! — uśmiechnął się Hassan z wyraźnym zadowoleniem, a po chwili dodał: — Nie, nie jestem w stanie sprawić, by twój przyjaciel Żenia natychmiast zjawił się tu znowu...

Twarcz Wolki znieruchomiła z rozpaczy.

— ...mimo to — znacząco ciągnął staruszek — jeżeli nie masz nic przeciwko temu, moglibyśmy po niego polecieć...

— Polecieć do Indii? Czym?

— Jak to: czym? Nie polecimy przecież na ptakach — z przebiegłą miną odpowiedział Hassan. — Ale oczywiście na dywanie latającym, o najdoskonalsza w świecie ciamajdo!

Tym razem Wolka był już w stanie zauważyć, że nazwano go tak niepochwlebnie. Zagrała w nim urażona ambicja.

— Kogo to nazwałeś ciamajdą?

— Ciebie, rzecz prosta, o Wolko ibn Alosza, albowiem ponad wiek swój jesteś mądry — ozwał się Hassan ogromnie rad, że po raz drugi udało mu się tak trafnie użyć w rozmowie nowego słowa.

Wolka zamierzał się obrazić, ale w sam czas przypomniał sobie, że tym razem złościć się może tylko na siebie. Zacerwienił się i starając się nie patrzeć w uczciwe oczy staruszka, poprosił, aby nie nazywał go już ciamajdą, nie zasługuje bowiem na te tytuły.

— Chwałę twoją skromność, o bezcenny ibn Alosza! — ze szczerym uznaniem rzekł Hassan.

— Kiedy będziemy mogli odlecieć? — zapytał Wolka, który wciąż jeszcze nie mógł

pozbyć się uczucia zażenowania.

— Choćby zaraz! — odpowiedział staruszek.

— Wobec tego — odlot natychmiast! — zawołał Wolka, lecz nagle się stropił. — Chodzi tylko o to, jakby tu postąpić z rodzicami... Jeżeli polecę i nic im nie powiem, będą o mnie bardzo niespokojni. A jeżeli powiem, to mnie nie puszczą.

— Niech cię to nie trapi — rzekł staruszek. — Uczynię tak, że przez czas naszej nieobecności nie wspomną o tobie ani razu.

— Akurat! Nie znasz moich rodziców!

— A ty nie znasz Hassana Abdurrachmana ibn Chottab!

## XII. Lot

W jednym rogu puszysta materia latającego dywanu pozostawiała cośkolwiek do życzenia — była to zapewne sprawka moli. Poza tym dywan zachował się świetnie, a co się tyczy zdobiących go na czterech rogach chwastów, to wyglądały naprawdę jak nowe. Wolka miał nawet wrażenie, że widział już gdzieś taki dywan, nie mógł jednak w żaden sposób przypomnieć sobie gdzie: raz mu się zdawało, że w mieszkaniu Żeni, to znowu — że w pokoju nauczycielskim w szkole.

Start odbył się w parku przy kompletnym braku publiczności. Hassan ujął Wolkę za rękę i ustawił go obok siebie pośrodku dywanu. Potem wyrwał z brody trzy włoski, dmuchnął na nie i wymamrotał coś szeptem, przewracając z wielkim przejęciem oczyma. Dywan drgnął. Jeden po drugim uniosły się w górę wszystkie cztery jego rogi z chwastami, potem wygięły się i uniosły brzegi, ale środek wciąż spoczywał na trawie pod ciężarem ciał obu pasażerów. Dywan zakółsał się, lecz po chwili zastygł znów w bezruchu.

Staruszek się zmieszał i zaczął pośpiesznie tłumaczyć:

— Daruj mi, o najmiłszy Wolko, zdarzyło się nieporozumienie. Zaraz to wszystko naprawię.

Hassan na chwilę pogrążył się w zadumie, wykonując jakieś skomplikowane wyliczenia za pomocą palców. Tym razem znalazł widocznie właściwe rozwiązanie, gdyż oblicze jego rozjaśniło się. Wydarł sobie z brody jeszcze sześć włosków, połowę jednego z nich oderwał i wyrzucił jako niepotrzebną, na pozostałe zaś, podobnie jak poprzednim razem, dmuchnął i, przewracając oczyma, zaczął wypowiadać zaklęcia. Tym razem dywan się wyprostował, stał się płaski i twardy niczym podest klatki schodowej i błyskawicznie poderwał się do góry, unosząc na sobie uśmiechniętego Hassana, a obok niego Wolkę, któremu mocno kręciła się w głowie — czy to z zachwyty, czy z powodu wysokości, a może i z obu tych przyczyn na raz.

Dywan wznosił się ponad najwyższe drzewa, ponad najwyższe domy, ponad najwyższe kominy fabryk i popłynął nad miastem lśniącym tysiącami migotliwych świateł. Z dołu docierały do uszu podróżnych przytłumione przez odległość głosy ludzkie, sygnały samochodów, śpiew wioślarzy na rzece i dalekie dźwięki orkiestry dętej.

Wieczorny mrok otulił już miasto, ale tu na górze widoczny był jeszcze czerwony słoneczny dysk, zwolna zniżający się za horyzont.

— Ciekawa rzecz... — rzekł Wolka pochłonięty myślami — ciekawa rzecz, na jakiej jesteśmy w tej chwili wysokości?

— Około sześciuset lub siedmiuset łokci — odpowiedział Hassan nie przestając wyliczać czegoś na palcach.

Tymczasem dywan złapał kurs, osiągając jednocześnie coraz większą wysokość.

Hassan usadowił się w pozie majestatycznej — podkurczył nogi, ręką zaś przytrzymał swój słomkowy kapelusz. Wolka pochylił się ostrożnie i również spróbował usiąść na zgiętych nogach, tak jak to zrobił Hassan, ale żadnej satysfakcji, a tym bardziej przyjemności z racji takiego sposobu siedzenia nie doznał. Wtedy zamknął oczy, żeby przemóc obrzydliwe uczucie zawrotu głowy, i usadowił się z nogami zwieszonymi z dywanu w dół. Tak było wygodniej, ale za to niemiłosiernie wiało w nogi. Wiatr unosił je w bok, tak że przez cały czas znajdowały się pod kątem ostrym w stosunku do tułowia. Gdy się Wolka przekonał, że i ten sposób nie daje właściwego odpoczynku, ulokował się jako tako, wyciągnąwszy nogi wzdłuż dywanu.

W tym czasie dywan wszedł w strefę chmur. Poprzez gęstą mgłę Wolka z trudem mógł dojrzeć sylwetkę Hassana, chociaż starszek siedział tuż obok niego. Dywan i jego chwasty oraz ubranie Wolki, a także wszystko, co miał w kieszeniach, napęczniało od wilgoci.

— Zgłaszam propozycję — rzekł Wolka dzwoniąc zębami.

— M-m-m? — pytająco wymamrotał Hassan.

— Proponuję, żebyśmy się wznieśli jeszcze wyżej i wylecieli ze strefy mgieł.

— Z miłą chęcią i zadowoleniem, o najmilszy Wolko! Jakże zdumiewająca jest dojrzałość twego umysłu!

Dywan plasnął namokniętymi chwastami, ciężko poderwał się w górę i już po niedługiej chwili otwarło się nad lecącymi granatowe niebo, z rzadka usiane gwiazdami, pod nimi zaś spoczywało morze chmur śnieżnej białości o zastygłych, okrągławych falach.

Teraz już naszym podróżnym nie dokuczała wilgoć, ale zaczął się dawać we znaki chłód.

— D-d-d-dob-rze b-by-łoby, gdybyśmy zdobyli coś c-ciepłego z odzieży — snuł głośno marzenia Wolka, mocno szczękając zębami.

— P-p-proszę b-bardzo, o błogosławiony Wolko ibn Alosza! — odrzekł Hassan i przykrył skurczonego na kształt rogalika Wolkę płaszczem, który nie wiadomo skąd się wziął.

Chłopak usnął; latający dywan bezszelestnie przepływał nad górami i dolinami, nad polami i łąkami, nad rzekami i strumieniami, nad kołchozami i miastami. Wciąż dalej i dalej na południowy wschód, coraz bliżej i bliżej do tajemniczych Indii, gdzie cierpiał młody, udęczony niewolnik Żenia Bogorad.

Wolka otworzył oczy po dwóch mniej więcej godzinach, kiedy było jeszcze całkiem ciemno. Zbudził go chłód i jakiś cichy melodyjny dźwięk, podobny do brzęku kryształowych ozdób przy lampach. To podzwaniały sopte lodowe na brodzie Hassana i oblodzone chwasty dywanu. Cały dywan pokryty był poza tym obrzydliwą, śliską, lodową powłoką. Odbiło się to na jego właściwościach aerodynamicznych, a przede wszystkim na tempie lotu. Ponadto nawet przy nieznacznym wirażach tego bajecznego środka lokomocji jego pasażerom groziło teraz śmiertelne niebezpieczeństwo ześlizgnięcia się w otchłań. A tu na dobitkę zaczęły się „powietrzne studnie” w nieskończonej ilości. Dywan spadał nagle ze straszliwej wysokości, podrygując i wirując bez sensu. Wolka i Hassan łapali się wtedy za chwasty dywanu i znosili okrutne męczarnie na skutek kiwania w tył i naprzód, kołysania poprzecznego, zawrotu głowy, zimna i wreszcie — po co udawać — po prostu ze strachu.

Starszek nie poddawał się długo, ale po jednej wyjątkowo głębokiej studni powietrznej podupadł, na duchu i odezwał się nieśmiało:

— O młodzieńcze podobny rąbkowi księżycy, rzeczą całkiem inną było rzucić twego przyjaciela na teren Indii — na to starczyło nie więcej czasu niż na policzenie do dziesięciu — inną znowu sprawą jest lot na dywanie latającym. Widzisz, że choć długo już lecimy, przelecieliśmy zaledwie dziesiątą część drogi. Czy mimo wszystko nie należałoby zawrócić, abyśmy się nie zmienili w kawałki lodu?

— ... i porzucić towarzysza w nieszczęściu? No wiesz, Hassanie! Po prostu cię nie poznają!

Po pewnym czasie Hassan, siny od chłodu, ale bardzo z czegoś zadowolony, znowu obudził Wolkę.

— Czyż nie można dać trochę pospać człowiekowi? — zamamrotał Wolka i z głową nakrył się płaszczem.

Al«' staruszek ściągnął z niego płaszcz i zawołał:

— Z radosną nowiną przychodzę do ciebie, o Wolko! Nie potrzebujemy lecieć do Indii. Możesz mi pogratulować: znowu umiem odwoływać zaklęcia. Bezsenna noc na mrozie pomogła mi do wywołania z pamięci zapomnianej umiejętności. Rozkaż, byśmy lecieli z powrotem, o młody mój wybawco!

— A Żenia?

— Nie martw się! Wróci jednocześnie z nami lub nawet trochę wcześniej.

— Jeżeli tak, to nie będę się sprzeciwiał — rzekł Wolka i znowu położył się, żeby się zdrzemnąć...

I oto zziębnięci, lecz szczęśliwi pasażerowie latającego dywanu wylądowali wreszcie na tym samym miejscu, z którego poprzedniego dnia zaczęli swój nie przerwany dotychczas lot.

— Wolka! — dobiegł ich w tejże chwili spod starej, rozłożystej jabłoni jakiś chłopięcy głos.

— Żeńka! Oj, Żeńka!... Hassanie, to przecie Żeńka! — zawołał Wolka i popędził na złamanie karku ku przyjacielowi. — Żenia, czy to ty?

— Ja. A kto miałby być? Ma się rozumieć, że ja.

— Z Indii?

— No, a skąd? Z Indii, oczywiście!

— Oj, Żenia, mój złoty, jakim sposobem się tam dostałeś?

— Bardzo zwyczajnie. Szedłem sobie w najlepsze z kina „Saturn”, aż tu nagle, wyobraź sobie wż-ż-ż! — jak coś nie zagwiżdże, jak nie zahuczy. Oglądam się, patrzę — w Indiach jestem... Czy pamiętasz, że jest tam taka prowincja Kaszmir?

Wolka nic nie odpowiedział. Był urażony.

— No więc, w tej właśnie prowincji się znalazłem. Widzę, że jestem w jakiejś wielgachnej szopie z bambusowego drzewa. Ciemno, gorąco ja w piecu. Co u licha? Słyszę czyjeś kroki, drzwi się otwierają, wchodzą jacyś ludzie w zawojach na głowie, chwytają mnie za ręce i wloką na podwórze. Opieram się, a oni mnie ciągną... Wywlekli. A tu już czeka kupiec. Czy ty to rozumiesz? Kupiec! Przyszedł, żeby mnie k u p i ć j a k o n i e w o l n i k a! Tam się ludzi sprzedaje i kupuje. A ja nic, nawet nie drgnąłem. „O co wam idzie? — powiadam. — Dlaczego trzymacie mnie za ręce! Jakie macie prawo mnie bić? Jestem człowiekiem wolnym, obywatelem radzieckim”. Wtedy jeden spośród nich mówi tak: „Tu, bałwanie jeden, jest nie Związek Radziecki tylko Brytyjska Wspólnota Narodów, a tyś nie wolny człowiek, tylko mój niewolnik. Zaraz — powiada — sprzedam cię temu oto czcigodnemu panu i będziesz pracował na jego plantacjach herbaty”. Więc ja mu na to: „Co do tego, to się jeszcze pokaże. Wolę umrzeć, niż być niewolnikiem. I w ogóle złożę na was skargę”. A tamci w śmiech: „Możesz spróbować — powiadają — składaj skargę! Ale przed kim — powiadają — masz zamiar się skarżyć? Przed tym słupem telegraficznym? Czy też może przed naszym gubernatorem? Tylko spróbuj, a każe ci wsypać w pięty siedemdziesiąt pięć razy laską bambusową”. Patrzę, mija nas właśnie oficer w białym korkowym hełmie. Więc ja do niego: „Proszę zwrócić uwagę! — wołam. — Tu odbywa się handel ludźmi! Chcą mnie sprzedać do niewoli!” Ale ten oficer, jakby nigdy nic, poszedł sobie dalej. Nawet okiem nie mrugnął. Mój handlarz niewolnikami w śmiech: „Też masz się przed kim skarżyć! Przed Anglikiem! Przecież gdyby nie Anglicy — niech przedłużone będą w szczęściu dni ich żywota — w Indiach od dawna już nie byłoby handlu niewolnikami, przez co ja bym popadł w ruinę i byłbym biedny jak ostatni derwisz”. Widzę, że marna moja sprawa, trzeba się ratować, póki nie jest za późno. Jak nie szarpnę się z jego rąk, jak nie wyskoczę na ulicę! Oni za mną. Ja od nich na drugą uliczkę,



stamtąd na trzecią. Oni za mną i wrzeszczą: „Trzymać go! Trzymać! Trzymajcie niewolnika, który zbiegł od swego pana!” A tu akurat mija nas jakiś skrzypiący wóz zaprzężony w bawoły, pogania te bawoły obywatel okropnie wychudzony, prawie golusienki. Wyrwam mu z ręki bambusowy kij i jak się nie zamachnę, jak się nie rzucę na moich prześladowców!... I wtedy nagle — bęc! Raptem znalazłem się nie w Indiach, ale pod tym drzewem... Co jednak w tej całej historii jest najważniejsze? Najważniejsze jest to, że ani chwili się nie wahałem, tylko z punktu zacząłem walczyć — to jest rzecz najważniejsza... I co jest jeszcze ważne.. Och, Wolka... Wolka, gdybyś widział tych ludzi Co to za chudzielcy! Chłopi, robotnicy! A jakie tan mnóstwo żebraków! Na ulicach pełno żebrzących i to zupełnie, ale to zupełnie nagic. Tacy wyschnięci jak ten kościotrup w naszym gabinecie biologicznym, tyle że brunatni. Nawet patrzeć na nich nie podobna! Żal mi ich! Tylko... dlaczego oni nie walczą? Wiesz, gdybym pozostał tam jako niewolnik, zaraz zorganizowałbym powstanie, uczciwe słowo pioniera! Jak Spartakus!... A ty?

— Oczywiście! Skoro tam jest ustrój kapitalistyczny, trzeba walczyć.

— A ja tymczasem, wyobraź sobie, ciągle pędzę i pędzę. Już mnie mają złapać!... A tu nagle — bęc! Patrzę i widzę, że jestem tu pod tym drzewem i naraz zjawiasz się ty i ten staruszek... Słuchaj no kto to jest ten dziaduś?! Coś mi świta, że już go gdzieś kiedyś widziałem...

— Przyznaj się! — rzekł Wolka. — Miałeś zamiar wczoraj ponatrząsać się trochę ze mnie z kolegami z powodu mojego egzaminu z geografii?

— A bo co?

— A to, że ten staruszek tego nie lubi.

— Czego nie lubi?

— Żeby chłopaki niepotrzebnie o mnie mefli ozorami.

— Fiu, fiu, fiu!

— Proszę, „fiu, fiu fiu”! R-raz i jesteś w Indiach. Dla niego to sprawa zupełnie prosta!

— Mój młody przyjaciel Wolka ibn Alosza po stokroć ma słuszość — skromnie potwierdził Hassan; przez ten czas staruszek zbliżył się do jabłoni, pod którą odbywała się rozmowa. — Nie ma dla mnie rzeczy zbyt trudnej i skomplikowanej, jeśli trzeba, abym mu służył.

— Kto to jest ten stary? — szeptem powtórzył pytanie Żenia.

— Poznajcie się — rzekł oficjalnym tonem Wolka i przedstawił Hassanowi swego na nowo odzyskanego przyjaciela.

— Bardzo mi przyjemnie — powiedzieli jednocześnie Hassan i jego niedawna ofiara.

Hassan pomyślał chwilę, przez jakiś czas bezdźwięcznie ruszał wargami, aż wreszcie dodał:

— Bezgraniczne jest szczęście moje z tej przyczyny, że cię poznałem. Przyjaciele mego młodego władcy są moimi najlepszymi przyjaciółmi.

— Władcy? — zdziwił się Żenia.

— Władcy i wybawcy.

— Wybawcy?! — Żenia nie wytrzymał i parsknął głośnym śmiechem.

— Niepotrzebnie się śmiejesz — surowo spojrzął na niego Wolka. — Nie ma tu nic śmiesznego.

I opowiedział w paru słowach to wszystko, co naszym uważnym czytelnikom jest już wiadome.

### XIII. Kto jest najbogatszy?

— Chodźmy się przejść, o kryształach duszy mojej! — rzekł następnego dnia Hassan.

— Dobrze, ale pod jednym warunkiem — stanowczo odpowiedział Wolka. — Mianowicie nie będziesz się już rzucał w bok, niczym wiejski koń, gdy przejedzie autobus. Chociaż — bodaj niesłusznie obraziłem wiejskie konie! Od dawna już się przecie przestały bać autobusów. Czas też, żebyś i ty się przyzwyczył, że to nie żadne diabły, tylko uczciwe radzieckie silniki spalinowe.

— Będę posłuszny woli twojej i rozkazom twoim, o Wolko ibn Alosza! — pokornie odpowiedział staruszek.

— Wobec tego powtórz za mną: nie będę się więcej bał...

— Nie będę się więcej bał... — z gotowością powtórzył Hassan.

— ...autobusów, trolejbusów, tramwajów, ciężarówek, samolotów...

— ...autobusów, trolejbusów, tramwajów, ciężarówek, samolotów!...

— ...aut, reflektorów, koparek mechanicznych, maszyn do pisania...

— ...aut, reflektorów, koparek mechanicznych, maszyn do pisania...

— ...patefonów, głośników radiowych, odkurzaczy...

— ...patefonów, głośników radiowych, odkurzaczy...

— ...wyłączników elektrycznych, maszynek „Prymus”, sterowców, wentylatorów oraz gumowych piszczących zabawek...

— ...wyłączników elektrycznych, maszynek „Prymus”, sterowców, wentylatorów oraz gumowych piszczących zabawek...

— No, zdaje się, że to wszystko — rzekł Wolka.

— No, zdaje się, że to wszystko — odruchowo powtórzył za nim Hassan i obydwaj się roześmieli.

Żeby nieco zahartować nerwy staruszka, ze dwadzieścia razy przemierzyli pieszo najbardziej ożywione skrzyżowania ulic, przejechali tramwajem wiele przystanków i wreszcie — utrudzeni, ale zadowoleni — wpakowali się do autobusu.

Jechali kołyszając się błogo na skórzanych poduszkach. Wolka utonął w lekturze „Pionierskiej Prawdy”, staruszek nad czymś rozmyślał, od czasu od czasu rzucając życzliwe spojrzenia na swego młodego towarzysza... Upłynęło parę minut i oto twarz Hassana rozplynęła się w uśmiechu zadowolenia: staruszek prawdopodobnie wymyślił coś przyjemnego.

Autobus dowiózł ich prawie do samego domu. Wkrótce też znaleźli się w pokoju Wolki.

— Wiesz, co ci powiem, o najczcigodniejszy spośród uczniów szkoły średniej? — odezwał się Hassan, gdy zamknęli za sobą drzwi. — Powinieneś, moim zdaniem, być bardziej chłodny i trzymać się z rezerwą w stosunku do młodych mieszkańców twego dworu. Wierzaj mi, serce moje rozdzierało się na kawałki, gdy słuchałem, jak cię witali: „Wolka, bywaj!” „Jak się masz, Wolka!” i podobnymi, wyraźnie niegodnymi twej osoby okrzykami. Wybacz, że cię strofuję, lecz tyś, o najbardziej błogosławiony, zupełnie niepotrzebnie ich rozpuścił. Czyż można pozwolić, żeby traktowali jak równego sobie najbogatszego spośród bogaczy — nie wspominam już o pozostałych niezliczonych twoich zaletach!

— Też pomysł! — ze zdumieniem przerwał Hassanowi Wolka. — Właśnie oni są mi równi i w sam raz, a jeden z nich jest nawet z ósmej klasy... No i wszyscy jesteście jednakowo bogaci...

— O nie! Co do tego mylisz się, o wachlarzu mojej duszy! — z triumfem zawołał Hassan i pociągnął Wolkę do okna. — Patrz i utwierdzaj się w słuszności słów moich.

Oczom Wolki ukazał się zdumiewający widok.

Jeszcze przed kilku minutami lewą połowę ogromnego podwórza zajmowało boisko do siatkówki, wielki kopiec ślicznego, żółtego piasku do zabawy dla najmłodszych mieszkańców domu, „giganty” i huśtawka dla amatorów silnych wrażeń, drążek i kółka dla tych, których pociągała lekkoatletyka, wreszcie dla wszystkich lokatorów domu jeden długi i dwa okrągłe klomby radujące wzrok żywymi kolorami kwiatów.

Zamiast tego wszystkiego wznosiły się teraz lśniące masywy trzech marmurowych pałaców utrzymanych w staroazjatyckim stylu. Bogata kolumnada zdobiła ich fasady. Na płaskich dachach zieleniły się cieniste ogrody, na klombach czerwieniały, żółciły się i błękitniały jakieś niezwykle kwiaty... Kropelki wody rozpryskując się w precudnych fontannach połyskiwały w promieniach słońca jak drogie kamienie.

Przy wejściu do każdego z pałaców stało po dwóch olbrzymów z wielkimi, zakrzywionymi szablami w ręku. Gdy olbrzymy ujrzały Wolkę, jak na komendę padły na twarz i pozdrowiły go słowami podobnymi do grzmotów. Z ust ich buchały przy tym ogromne języki płomieni, tak że Wolka mimo woli drgnął z przerażenia.

— Niech się mój młody władca nie lęka tych stworów — uspokoił go Hassan. — To są spokojni ifrytowie, postawieni przeze mnie przy wejściu ku tym większej twojej chwale.

Olbrzymy znowu padły plackiem i, wyrzucając ustami płomień, pokornie zaryczały:

— Rozkazuj nam, o potężny panie nasz!

— Wstańcie, z łaski swojej! Proszę was, żebyście natychmiast wstali — rzekł zdetonowany Wolka. — Do czego to podobne, żeby tak padać na kolana! Jakiś feudalizm, czy co? Wstańcież nareszcie i żeby mi więcej nie było tego płaszczenia się. Wstyd! Uczciwe słowa pioniera, że wstyd!

Ifrytowie, ze zdumieniem spoglądając na siebie zerwali się i w milczeniu stanęli wyprężeni, tak jak poprzednio, w pozycji „na baczność”.

— No, jeszcze tego brakowało!... — rzekł Wolka, wciąż bardzo zmieszany. — Chodźmy, Hassanie obejrzymy te twoje pałace!

Po czym, przeskakując na raz po kilka stopni wszedł do wnętrza pałacu.

— To nie są moje pałace. To są twoje pałace — z głębokim uszanowaniem zaprzeczył staruszek idąc za Wolką.

Ale chłopak puścił słowa Hassana mimo uszu.

Pierwszy pałac był caluteńki z cennego, różowego marmuru. Osiem ciężkich rzeźbionych podwoi z sandałowego drzewa ozdabiały złote gwoździe i srebrne gwiazdy oraz jaskrawoczerwone rubiny.

Drugi pałac był z niebieskawego marmuru. Miał aż dziesięć podwoi z niebywale rzadkiego, hebanowego drzewa. Ozdobione były złotymi gwoździami i wysadzone gwiazdami z diamentów, szafirami i szmaragdami.

Pośrodku tego pałacu połyskiwała lustrzana tafla basenu, w którym pluskały się złote rybki, każda wielkości nielicznego jesiotra.

— To zamiast twojego małego akwarium — z wstydliwym zakłopotaniem wyjaśnił Hassan. — Sądzę, że przystoi ci korzystać jedynie z takiego akwarium, jeżeli nie chcesz narazić na szwank swej wysokiej godności.

„Tak — pomyślał w cichości ducha Wolka. — Niechbym tylko spróbował wziąć do ręki taką złotą rybkę! Bez ręki można zostać”.

— A teraz — rzekł Hassan — wyświadczy mi ten zaszczyt i obrzuć łaskawym wejrzeniem trzeci pałac.

Weszli do komnat trzeciego pałacu; lśniły one taką wspaniałością, że Wolka aż krzyknął z zachwytem:

— Ależ to wykapanie metro! Po prostu stacja „Dworzec Kijowski”!

— Nie wszystko jeszcze widziałeś, o błogosławiony Wolko! — z ożywieniem mówił Hassan.

Wyszli na ulicę. Olbrzymy natychmiast zaprezentowały w pozycji „na baczność” swoje szable, Hassan zaś, nie zwracając na nich uwagi, wskazał chłopcu polerowane złote tablice, zdobiące u góry wejścia do pałaców. Na każdej z nich były wyryte te same napisy. Za ich to sprawą Wolce zrobiło się naraz i zimno, i gorąco.

„Pałace te są własnością najszlachetniejszego i najślawniejszego spośród młodzieńców tego miasta, najurodziwszego spośród urodziwych, najmędrszego z mądrych, obdarzonego nieprzeliczoną ilością zalet i doskonałości, niepokonanego i niedoścignionego znawcy geografii i innych nauk, najwybitniejszego z nurków, najumiejętniejszego z pływaków i graczy w siatkówkę, niezwykłego mistrza bilardu pokojowego wszystkich rodzajów — królewskiego młodego pioniera Wolki ibn Alosza, niech pochwalone będzie na wieki wieków jego imię oraz imiona jego szczęśliwych rodziców”.

— Za twoim pozwoleniem — rzeki Hassan, którego duma i radość po prostu rozpieńczyły — chciałbym bardzo, abyś, kiedy już zamieszkaż w tych pałacach z twoimi rodzicami, zechciał mi dać tu mały kącik, żeby nowe miejsce zamieszkania twego nie dzieliło mnie od ciebie i abym miał możność w każdym czasie wyrażać ci najgłębszy mój szacunek i oddanie.

— Rzecz jest taka — odpowiedział po chwili milczenia Wolka. — Po pierwsze, w tych napisach cokolwiek brakuje samokrytyki. Ale nie jest to ostatecznie takie ważne. A nieważne jest dlatego że te napisy trzeba zastąpić innymi.

— Rozumiem cię i wiem, że winien jestem gdyż nie potrafiłem wykazać dostatecznej domyślności — zmieszał się staruszek. — Oczywiście należało wykonać je z drogich kamieni. Jesteś tego naprawdę godny.

— Źle zrozumiałeś mnie, Hassanie. Chciałbym żeby na tablicy było napisane, że te pałace są własnością RONO \*. Widzisz, w naszym kraju wszystkie pałace należą albo do RONO, albo do zakładów leczniczych.

— Do jakiego znowu „Rono”?! — zdumiał się staruszek.

Wolka niewłaściwie zrozumiał sens Hassanowego wykrzyknika.

— To nie jest ważne do jakiego — odpowiedział w prostocie ducha. — Ale najlepiej byłoby, żeby do tutejszego. W tej dzielnicy wyrosłem, nauczyłem się czytać i pisać.

— Nie wiem, kim jest ten Rono — rzekł Hassan z goryczą — i przypuszczam nawet, że jest to człowiek całkiem godny. Ale czyż ów Rono wyzwolił mnie z niewoli trwającej tysiące lat? Nie, dokonałeś tego ty, o najurodziwszy młodzieńcze, a nie żaden Rono, toteż pałace te będą własnością twoją lub niczyją.

— Ależ chciej zrozumieć...

— Nic nie chcę rozumieć! Twoje lub niczyje!

Wolka nigdy jeszcze nie widział Hassana w takim rozdrażnieniu. Twarz staruszka poczerwieniała, oczy zdawały się ciskać błyskawice. Widać było, że z trudnością panuje nad sobą, by nie wyładować gniewu na chłopcu.

— To znaczy, że się nie zgadzasz, kryształ duszy mojej?

— Pewnie, że nie. Po jakie licho potrzebne mi te pałace? Czy ja jestem klubem, jakąś instytucją albo przedszkolem?

— Ech!! — z najgłębszym rozżaleniem zawołał usłyszawszy te słowa Hassan i machnął rękami. — Spróbujemy inaczej!

W tej samej chwili zarysy pałaców zaczęły się rozpląwać, sylwetki ich zakołysały się i roztopiły w powietrzu jak mgła, którą wiatr rozpędził. Z przeraźliwym wrzaskiem gwałtownie wzbiły się w górę i znikły olbrzymy...

\* RONO — skrót. Rajonnyj Otdiel Narodnowo Obrazowanija — Wydział Oświaty Rady Rejonowej. Odpowiednik naszego wydziału oświaty powiatowej rady narodowej.

## XIV. Jeden wielbłąd kroczy...

Ale za to podwórze było teraz zapchane po brzegi ciężko objuczonymi słoniami, wielbłądami i osłami. Otwartą bramą ciągle wjeżdżały nowe karawany. Okrzyki czarnoskórych poganiaczy, ubranych w burnusy śnieżnej białości, zlewały się z odgłosami wychodzącymi z trąb słoni, z rykiem wielbłądów i osłów oraz tętentem ogromnej ilości kopyt i melodyjnym dźwiękiem dzwoneczków i janczarów.

Jakiś niziuteński, tak opalony, że niemal czarny człowieczek w bogatym jedwabnym stroju zsunął się ze swego słonia, wyszedł na środek podworca, trzykrotnie uderzył laseczką ze słoniowej kości w asfalt jezdni i oto z nawierzchni ulicznej wytrysnęła nagle potężna fontanna. W jednej chwili zafrasowani poganiacze ze skórzanymi bukłakami w ręku ustawili się w długą kolejkę, wkrótce też cały dziedziniec rozbrzmiewał sapaniem, siorbaniem i parsaniem chciwie pijących zwierząt.

— To wszystko jest twoje, o Wolko! — wołał Hassan starając się przekrzyczeć panujący za oknem ryk. — Proszę cię, byś przyjął życzliwie ten skromny dar.

— Wszystko, to znaczy co? — zapytał ogłuszony hałasem chłopiec.

— Wszystko: słonie, wielbłądy, osły, całe to złoto i kosztowności, którymi są objuczone, a także ludzie, którzy są przy jukach i zwierzętach — wszystko jest twoje!

Wolkę aż zamroczyło. Przed chwilą o mało nie został właścicielem trzech wspaniałych, ale absolutnie mu niepotrzebnych pałaców, teraz znów stał się posiadaczem niezliczonego mnóstwa kosztowności, słoni i jeszcze — jakby na deser — właścicielem niewolników.

Pierwszą jego myślą było, jakby tu ubłagać Hassana, żeby zabrał swoje niedorzeczne dary, dopóki nikt jeszcze ich nie widział.

Lecz Wolka przypomniał sobie w tej chwili historię z pałacami. Gdyby wtedy pokierował rozmową z Hassanem bardziej sensownie, kto wie, czy nie dałoby się zrobić tak, żeby pałace pozostały jako ozdoba miasta.

Jednym słowem, należało grać na zwłokę w celu przemyślenia i opracowania taktycznego planu.

— Wiesz co, Hassanie? — odezwał się chłopiec usiłując mówić możliwie najbardziej swobodnie. — Czy nie przejechalibyśmy się na wielbłądzie, zanim się tu ludzie uporają z karawaną?

— Z miłą chęcią i zadowoleniem — niczego nie podejrzewając zgodził się starszek.

Po upływie minuty „okręt pustyni”, kołysząc się majestatycznie i spoglądając dumnie na wszystkie strony, wyszedł na ulicę; niósł na swym grzbiecie Wolkę, niesłychanie tym przejętego, oraz Hassana, który czuł się jak u siebie w domu i z miną rozmarzoną wachlował się kapeluszem.

— Wielbłąd! Wielbłąd! — wołała ucieszona dzieciarnia, która wysypała się zewsząd na ulicę i to w takiej ilości, jak gdyby czekanie o tej godzinie na wielbłąda było stałym i codziennym jej zajęciem.

Malcy otoczyli zwartym kołem kroczące z obojętnym spokojem zwierzę, które górowało ponad ich głowami jak trolejbus nad wózkami z wodą sodową. Jakiś chłopczyk skakał na jednej nodze i z entuzjazmem wrzeszczał:

*Kto usiądzie  
Na wielbłądzie!  
Kto usiądzie  
Na wielbłądzie!*

Wielbłąd znalazł się na skrzyżowaniu ulic akurat w chwili, kiedy zapaliło się czerwone światło sygnalu. Nie mając najmniejszego wykszolenia w dziedzinie przepisów ruchu ulicznego, z zimną krwią przekroczył grubą linię bielejącą na jezdni choć napisane było przed nią wielkimi literami słowo „Stop”. Usiłowania Wolki, żeby jakoś zatrzymać z tej strony linii to ponure zwierzę, był daremne. „Okręt pustyni” stapał ze spokojem i szedł kontynuując swoją podróż prosto na milicjanta, który zdążył już wyciągnąć z torby kwitariusz, aby wypisać mandat karny.

Nagle rozległ się ostry dźwięk sygnalu samochodowego, zazgrzytały hamulce i tuż przed nosem zrównoważonego, posapującego wielbłąda zatrzymało się błękitne auto osobowe. Z auta wyskoczył kierowca i zaczął wymyślać na całego i wielbłądowi, i obu jego pasażerom.

Istotnie, dość byłoby jednej sekundy, aby się stało niepowetowane w skutkach nieszczęście.

— Poproszę tu, bliżej do chodnika — uprzejmie salutując rzekł milicjant.

Z największą trudnością udało się Wolce zmusić wielbłąda do podporządkowania się nieodwołalnemu rozkazowi władzy.

W jednej chwili zebrał się tłum. Zaczęły się rozmowy, posypały się uwagi:

— Pierwszy raz widzę, żeby w Moskwie ludzie na wielbłądach jeździli.

— I pomyśleć, pomyśleć tylko — jeszcze trochę, a stałoby się nieszczęście!

— To chłopakowi już przejechać się na wielbłądzie nie wolno?

— Łamać przepisów ruchu ulicznego nikt nie ma prawa!

— Spróbowałibyście sami, czy łatwo zatrzymać takie dumne zwierzę! To nie jest maszyna, obywatela!

— Pojęcie przechodzi, skąd też to ludzie biorą w Moskwie wielbłądy!

— Skąd mają brać? Z Ogrodu Zoologicznego. Jest tam tego kilka sztuk.

— Strach po prostu, co by się mogło stać. Zuch kierowca!

— Milicjant ma najzupełniejszą słuszność...

Wolka poczuł, że się zanosi na bardzo nieprzyjemną historię. Zwiesił głowę z wielbłąda i zaczął się niezręcznie tłumaczyć:

— Towarzyszu milicjancie, już nigdy, nigdy nie będę! Proszę nam darować... Czas właśnie karmić wielbłąda... Pierwszy raz się to przecież zdarzyło...

— Nic na to nie poradzę — chłodno odpowiedział milicjant. — W takich wypadkach wszyscy zawsze mówią, że to pierwszy raz.

Wolka ciągle jeszcze wznawiał daremne próby wzruszenia surowego milicjanta, lecz nagle uczył, że szarpie go za rękę Hassan.

— O młody mój wybawco! — rzekł staruszek, który aż do tej chwili zachowywał pogardliwe milczenie. — O młody mój wybawco, ze smutkiem; widzę, jak znosisz poniżenia w celu zaoszczędzenia mi przykrości. Ci wszyscy ludzie nie są godni całować twoich stóp. Daj im odczuć, jak wielka jest przepaść, która dzieli ich od ciebie.

Wolka nie odpowiedział, machnął tylko niecierpliwie ręką i oto nagle poczuł, że po raz drugi powtarza się ta sama historia, co przy egzaminie z geografii: znowu nie miał władzy nad własną mową.

Chciał powiedzieć:

„Towarzyszu milicjancie, bardzo was proszę, pozwólcie mi już odjechać. Przyrzekam, że do samej śmierci w żadnym wypadku nie będę łamał przepisów ruchu ulicznego”.

A tymczasem zamiast tej cichej prośby nagle wrzasnął na całą ulicę:

— Jak śmiesz mnie zatrzymywać! Padnij na kolana! Natychmiast na kolana przede mną, jeśli nie chcesz, bym uczynił rzecz, która będzie dla ciebie fatalna!

Słyszając te słowa Hassan wyszczerzył zęby w uśmiechu pełnym zadowolenia i starannie wygładził ręką wąsy. Co się zaś tyczy milicjanta, a także otaczających go gapiów, to nieocze-

kiwany wybryk Wolki tak wszystkich zaskoczył, że ludzie byli może nie tyle oburzeni, ile po prostu na moment zapomnieli języka w gębie.

— Jestem najwybitniejszym młodym człowiekiem w tym mieście! — nie przestawał ryczeć Wolka udreńczony poczuciem własnej bezsilności. — Nie jesteście godni, by całować moje stopy!... Jestem urodziwy!... Jestem mądry!...

— Dobrze, dobrze — rzekł milicjant — w komisariacie się okaże, jak to tam z tą mądrością.

„Jakież ja okropne bzdury wygaduję! Jak ostatni łobuz!” — konstatował Wolka z przerażeniem, a w tej samej chwili usta jego miotają groźby:

— Biada tobie, któryś się ośmielił zakłócić błogi stan mego ducha! Zaniechaj zuchwałej mowy twojej, póki jeszcze nie jest za późno!

Lecz wtedy właśnie odwróciło coś uwagę Hassana i staruszek przestał szeptać Wolce do ucha swoje bezsensowne, pyszałkowe słowa. Wolka, któremu na czas jakiś wróciła zdolność władania sobą błagalnie coś mamrotał, nisko zwieszając się z wielbłąda i żałośnie spoglądając w oczy swoim słuchaczom.

— Towarzysze! Obywatele! Kochani!... Nie słuchajcie tego, co powiedziałem. Bo czyż to ja mówię? To ten staruszek każe mi mówić...

Ale wątek rozmowy znalazł się znowu w mocy Hassana; Wolka tchu nawet nie złapał i wrzasnął:

— Drżycie! Nie wystawiajcie na próbę cierpliwości mojej, albowiem straszny jestem w gniewie! Ach, jakże straszny! .

Rozumiał doskonale, że słowa jego nie przerażają nikogo, że budzą jedynie oburzenie, a wielu nawet śmieją, lecz był bezradny. Tymczasem oburzenie i zdumienie tych, którzy słyszeli to, co Wolka wygadywał, ustąpiło miejsca wyraźnej trosce. Było rzeczą zbyt oczywistą, że w stanie normalnym żaden chłopiec w Związku Radzieckim nie przemawiałby do nikogo tak głupio i bezczelnie.

Jakiś zaniepokojony głos kobiecy zawołał:

— Obywatele! To dziecko ma wysoką gorączkę! Z chłopaka po prostu dym idzie!

— Cóż to za niegodne słowa! — krzyknął na to Wolka i z przerażeniem poczuł, że wraz ze słowami z ust jego wylatują wielkie kłęby czarnego dymu...

Ktoś krzyknął ze strachu, ktoś inny pobiegł do apteki, żeby wezwać pogotowie. Wtedy to Wolka, korzystając z zamieszania, rzekł szeptem do Hassana:

— Hassanie Abdurrachmanie ibn Chottab! Rozkazuję ci natychmiast przenieść wielbłąda, a z nim razem i nas, jak najdalej od tego miejsca... Najlepiej byłoby za miasto, bo może być z nami nie dobrze! Słyszysz? Na-tych-miast!

— Jestem posłuszny woli twojej i rozkazom twoim — również szeptem odpowiedział staruszek.

I oto w jednej sekundzie wielbłąd i jeźdźcy poderwali się gwałtownie, błyskawicznie unieśli się w powietrze i znikli pozostawiając wszystkie w całkowitym osłupieniu.

Po upływie minuty gładko i bez wstrząsów' wielbłąd obniżył lot i wylądował na krańcach miasta, gdzie rozstali się z nim na zawsze jego pasażerowie. Do dzisiejszego dnia pasie się zapewne gdzieś w tamtych okolicach. Jeśli wam kiedy wpadnie w oczy, na pewno go poznacie, choćby po uździe; jest wysadzana brylantami i szmaragdami.

## XV. Tajemniczy wypadek w jednym z oddziałów Banku Narodowego

Kiedy obaj z Hassanem znaleźli się wreszcie w domu, Wolka mimo przeżytych w ciągu dnia przykrości był podniesiony na duchu. Wymyślił nareszcie, co zrobić z tym nieprawdopodobnym bogactwem, które na niego spadło jak cegła na głowę.

Przed wszystkim wy badał Hassana, czy staruszek potrafi tak zrobić, żeby ci wszyscy poganiacze zwierząt, słonie, wielbłądy i osły z całym ich objuczeniem stali się niewidzialni dla oczu postronnych ludzi.

— Rozkaż tylko, a wszystko natychmiast będzie spełnione — z gotowością odpowiedział Hassan.

— Bardzo dobrze — ucieszył się Wolka — spraw to, jeśli łaska niech na razie będą niewidzialni, a my pójdziemy spać. Jutro trzeba wstać o w schodzie słońca.

— Jestem posłuszny woli twojej i rozkazom twoim.

I oto nagle obywatele, którzy zgromadzili się na podwórku, żeby się pogapić na hałaśliwą i niezwykłą karawanę, przekonali się, że dziedziniec jest zupełnie pusty, i zdumieni tym do najwyższego stopnia, rozeszli się do domów.

Wolka zjadł naprędce kolację, z przyjemnością się; rozebrał i wyciągnął na łóżku, z racji upału nakrywszy się jedynie prześcieradłem.

Hassan zaś, który postanowił, że będzie zachowywał święcie wielowiekowe zwyczaje dzinnów, stał się niewidzialny i położył się przy progu, pragnąc strzec spokoju swego młodego wybawcy. Miał właśnie zamiar zacząć poważną pogawędkę, lecz drzwi się otworzyły i weszła babunia, która jak zwykle przysła powiedzieć dobranoc wnukowi. Staruszka potknęła się o leżącego, niewidzialnego Hassana i z rozmachu usiadła na podłodze.

— Wyobraź sobie, że tu koło progu coś leżało! — tłumaczyła wystraszona ojcu Wolki, gdy ten, usłyszawszy hałas, przybiegł do niej.

— Gdzie to jakieś coś leżało? — zapytał Aleksiej Aleksiejewicz. — I, jeśli można wiedzieć, jak wyglądało?

— Wcale nie wyglądało, mój drogi — odpowiedziała babunia.

— Co też ty wygadujesz, mamó? Czyżbyś się o puste miejsce potknęła? — z ulgą zaśmiał się ojciec Wolki, rad, że babcia nie odniosła żadnego szwanku przy upadku.

— Wygląda na to, że o puste miejsce, synku — odpowiedziała zawstydzona babunia i z wielkim zakłopotaniem również się roześmiała.

Oboje powiedzieli Wolce dobranoc i poszli; Hassan przewidująco przeniósł się pod łóżko chłopca. Tu przynajmniej nikt na niego nie nadeptnie, a i do Wolki będzie bliżej.

Obaj nasi bohaterowie leżeli przez pewien czas w milczeniu. Wolka wciąż nie wiedział, jak ma zacząć drażliwą, ale nieuniknioną rozmowę.

— Dobranoc! — odezwał się serdecznie Hassan spod łóżka.

Wtedy Wolka zrozumiał, że należy zacząć.

— Hassanie — rzekł zwieszając głowę — muszę chwilę z tobą porozmawiać.

— Czy aby nie na temat moich dzisiejszych darów? — zapytał Hassan z niepokojem, a gdy otrzymał odpowiedź twierdzącą, westchnął ciężko,

— Widzisz, drogi Hassanie, chciałbym wiedzieć czy przysługuje mi prawo rozporządzania twoim podarkami, tak jak będę uważał za stosowne.

— Niewątpliwie.

— I jeszcze jedno: czy niezależnie od tego, jak nimi rozporządzę, nie będziesz miał do mnie żalu?

— Nie będę, o Wolko! Czyżbym śmiał czuć żal do człowieka, który uczynił dla mnie tak wiele?!



— Jeśli ci to nie sprawia trudności, Hassanie, bądź łaskaw przysiąc.

— Przysięgam! — stłumionym głosem odezwał się spod łóżka Hassan, który rozumiał, że coś się za tym musi kryć.

— Wspaniale! — ucieszył się Wolka. — To znaczy, że się nie będziesz gniewać, kiedy ci powiem, że mnie osobiście podarunki twoje przydać się nie mogą. Wdzięczny ci jednak za nie jestem ogromnie.

— O, biada mi! — jęknął w odpowiedzi Hassan. — Znowu odrzucasz moje dary! Przecież to już nie są pałace! Widzisz wszakże, o Wolko, że cię już nie obdarzam pałacami. Powiedz otwarcie, że gardzisz darami twego najbardziej oddanego sługi...

— Zastanów się sam, mój Hassanie! Jesteś bardzo rozumnym staruszkim: po jakie lichy potrzebna mi ta cała kupa kosztownych rzeczy?

— Żebyś się stał najbogatszym spośród bogaczy! Po to! — gderliwie tłumaczył Wolce Hassan. — A. może chcesz we mnie wmówić, że nie życzysz sobie być najbogatszym człowiekiem w twoim kraju? To zupełnie do ciebie pasuje, o najbardziej kapryśny i niezrozumiały młodzieńcze ze wszystkich, jakich w życiu spotkałem. Pieniądze — to potęga, pieniądze — to sława. Pieniądze — to przyjaźń, z kim tylko zapragniesz. Oto, co mogą pieniądze!

— Ale komu są potrzebni tacy przyjaciele, których się kupuje za pieniądze? Albo sława za pieniądze? Śmieszysz mnie po prostu, Hassanie! Jakaż to sławę można zdobyć za pieniądze, a nie uczciwą pracą na użytek ojczyźnie?

— Zapomniałeś, że pieniądze dają najbardziej pewną i trwałą władzę nad ludźmi, o młody niepoprawny uparciuchu!

— Pewnie gdzieś tam w Ameryce, bo u nas to nie.

— Może będziesz utrzymywał, że w waszym kraju ludzie nie pragną być bogatsi, niż są? Cha, cha, cha! — staruszkowi się zdawało, że to, co powiedział, zawiera myśl ogromnie zjadliwą.

— Owszem, dlaczego by nie? — z niewyczerpaną cierpliwością tłumaczył Wolka. — Kto przysparza naszemu krajowi więcej pożytku, zarabia więcej niż ten, co go przynosi mniej. Oczywiście, każdy chce zarabiać więcej, ale tylko uczciwą pracą.

— Niechże i tak będzie — rzekł Hassan. — Jestem daleki od tego, by pchać mego umiowanego przyjaciela na drogę nieuczciwych zarobków. Skoro nie potrzebujesz kosztowności, wymień je na pieniądze i oddaj na procent. Z tym się chyba zgodzisz, że nader szacownym zajęciem jest dawanie gotówki na procent ludziom, którzy jej potrzebują.

— Masz chyba niedobrze w głowie, Hassanie! — zachnął się Wolka. — Po prostu nie rozumiesz, co mówisz! Człowiek radziecki miałby ni stąd, ni zowąd stać się lichwiarzem? A gdyby nawet się znalazł taki krwio pijca, to któż by do niego poszedł? Jeżeli komuś potrzebne są pieniądze, może zwrócić się do kasy wzajemnej pomocy albo pożyczyć u kolegi. Lichwiarz to przecież nikt inny, tylko krwio pijca, pasożyt, obrzydliwy wyzyskiwacz. A wyzyskiwaczy w naszym kraju nie ma i nigdy nie będzie. Skończone! Dość się opili naszą krew, kiedy był u nas kapitalizm!

— Wobec tego — nie poddawał się Hassan, choć widać było, że jest nieco przygnębiony — kup jak najwięcej towarów i otwórz swoje własne sklepy we wszystkich dzielnicach miasta. Staniesz się znanym kupcem, wszyscy ci będą okazywali szacunek i świadczyli honory.

— Czyż naprawdę nie możesz tego zrozumieć, że każdy prywatny handlarz to także wyzyskiwacz? U nas handlem zajmują się państwo i spółdzielczość. Ale brać pieniądze sprzedając we własnym sklepie...

— Hm! — rzekł Hassan takim tonem, jakby się zgodził z tym, co powiedział Wolka. — Przypuśćmy, że jest tak, jak mówisz. No, a wytwarzanie różnych towarów? To już jest, mam nadzieję, chyba zajęcie uczciwe?

— Bez wątplenia! Otóż widzisz — ucieszył się Wolka — zaczynasz rozumieć moją

myśl!

— Bardzo mnie to cieszy — kwaśno uśmiechnął się Hassan. — Jeżeli mnie pamięć nie myli, mówiłeś mi kiedyś, że twój ojciec, twój wielce szanowny ojciec, pracuje jako majster w fabryce. Czy dobrze mówię?

— Aha,

— Czy w tej fabryce jest on osobą najważniejszą?

— Nie, nie całkiem. Tatuś jest majstrem, na nim jest kierownik oddziału, ponad nimi — główny inżynier, a ponad wszystkimi — dyrektor.

— A więc — zwycięsko zdążył do konkluzji Hassan — za bogactwa, które ci składam w darze możesz kupić dla swego dostojnego ojca i całą fabrykę, w której pracuje, i wiele jeszcze innych fabryk.

— Fabryka i tak należy do ojca.

— Sam przecież mówiłeś, o Wolko ibn Alosza..

— Należy do niego, jeżeli chcesz wiedzieć, zarówno ta fabryka, w której pracuje, jak i inne fabryki i zakłady przemysłowe, a ponadto wszystkie szyby, kopalnie, koleje, łądy, wody, góry, sklepy, szkoły, uniwersytety, kluby, pałace, teatry, parki i kina całego kraju. Do mnie to wszystko należy także i do Żenki Bogorada, i do jego rodziców też..

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że ojciec twój ma wspólników?

— Otóż to właśnie, wspólników! Około dwustu milionów wspólników! Tyle, ile jest ludności w naszym kraju!

— Wasz kraj jest bardzo dziwny i po prostu dla mego rozumu niepojęty — mruknął spod łóżka Hassan i umilkł.

O świcie następnego dnia dzwonek telefonu zerwał z łóżka na równe nogi kierownika Dzielnicowego Oddziału Banku Narodowego. Proszono, aby kierownik natychmiast przyszedł do biura. Zaniepokojony tak wczesnym telefonem, popędził co tchu i oto na podwórzu gmachu, w którym się mieścił oddział Banku, ujrzał mnóstwo słoni, wielbłądów i osłów objuczonych ciężkimi tobołami.

— Jakiś obywatel właśnie zgłasza wpłatę — zakomunikował mu zmieszany dyżurny.

— Wpłatę? — zdziwił się kierownik. — O tak wczesnej godzinie? Co to za wpłata?

W odpowiedzi na to dyżurny w milczeniu podał kierownikowi kartkę wydartą ze szkolnego zeszytu, zapisaną równym, dziecięcym pismem. Kierownik przeczytał i poprosił dyżurnego, aby go uszczypnął w rękę. Wielce zakłopotany dyżurny wykonał prośbę. Kierownik skrzywił się z bólu, potem spojrzął na kartkę, wreszcie rzekł :

— To nie do wiary! Po prostu nie do wiary!

Jakiś obywatel, zastrzegając, że życzy sobie, by nazwisko jego pozostało nie znane, podarował Bankowi Narodowemu na wszelakie jego potrzeby, według własnego uznania Banku, dwieście czterdzieści sześć tobołów złota, srebra i drogich kamieni, ogólnej wartości trzech miliardów czterystu sześćdziesięciu siedmiu milionów stu trzydziestu pięciu tysięcy siedmiuset trzech rubli i siedemnastu kopiejek.

Suma ta mogłaby być o kilkadziesiąt rubli większa, ale Wolka zostawił sobie trzy złote monety, żeby obstałować dla babuni złote korony na zęby.

Jednakże rzecz najbardziej zdumiewająca zdarzyła się dopiero później. Najpierw zwierzęta, które przewiozły skarby, potem ludzie, którzy te zwierzęta przyprowadzili, a potem i same skarby nagle zakołysały się, stały się przejrzyste jak para i jak para rozpląły się w powietrzu. Świeży ranny wietrzyk porwał z rąk zdumionego kierownika kartkę ze zgłoszeniem wpłaty, rzucił ją wysoko ponad budynek i uniósł w nieznanym kierunku. Kartka ta zresztą wpadła wkrótce przez otwarte okno do pokoju, w którym spał snem sprawiedliwego Wolka Kostylkow, wrosła w zeszyt, z którego niedawno została wydarta, i stała się znowu czystą jego stronicą.

Ale i to jeszcze nie jest wszystko. W głowie się po prostu nie mieści, jak się to stać

mogło, dość że ani pracownicy Dzielnicowego Oddziału Banku Narodowego, ani sąsiedzi Wolki z tego samego podwórka, ani nawet Wolka ani razu później nie wspomnieli o tej całej historii. Tak jakby ktoś starł ją całkowicie z ich pamięci.

## XVI. Staruszek Hassan i Sidorelli

Na staruszka po prostu żal było patrzeć. Całe dnie przesiadywał w akwarium, tym się ustawicznie zasłaniając, że mu mocno dokucza reumatyzm; Oczywiście, takie gadanie nie miało żadnego sensu, bo przecież tylko głupi mając reumatyzm będzie się pchał do wody. Hassan leżał na dnie akwarium leniwie poruszając płetwami i apatycznie przetykając wodę. Kiedy do akwarium podchodził Wolka albo Żenia, staruszek odpływał ku tylnej ścianie, całkiem nieuprzejmie odwracając się do chłopców ogonem.

Co prawda, w chwilach gdy Wolka opuszczał pokój, Hassan wychodził z wody, żeby cokolwiek rozprostować kości.

Wystarczyło jednak, aby posłyszał kroki Wolki, natychmiast z cichym pluskiem wskakiwał z powrotem do akwarium i zachowywał się tak, jakby mu nigdy nawet przez myśl nie przeszło go opuszczać. Sprawiało mu prawdopodobnie gorzką satysfakcję to, że Wolka wciąż prosił, aby wreszcie wyszedł z wody i przestał się dąsać. Odwracał się wtedy do chłopców ogonem i tak wysłuchiwał ich próśb.

Ale gdy jego młody przyjaciel otwierał podręcznik geografii i zabierał się do powtórki przed poprawką — Hassan natychmiast wynurzał się do połowy z akwarium i czynił Wolce gorzkie wyrzuty z powodu oschłości serca. Miało to znaczyć: „Ty się zajmujesz głupstwami, a tu starego po kościach reumatyzm łupie!”

Ale kiedy Wolka zamykał podręcznik, staruszek znowu odwracał się do niego ogonem. Trwało to aż do wieczora. Było kilka minut po siódmej, gdy Hassan ostro machnął płetwami i wyskoczył na podłogę. Wycisnął wodę z brody i wąsów, a potem z pewną rezerwą przemówił do radośnie rozpromienionego Wolki:

— Bardzo mnie dotknąłeś odrzucając moje skromne dary. Na twoje i na moje szczęście obiecałem ci, że nie będę się gniewał. Gdyby nie to, stałoby się z tobą coś, czego już nie można by było naprawić, a czego bym sam później bardzo żałował. Albowiem pokochałem cię z całej duszy mojej, nie mogę zwłaszcza nie oceniać pięknej bezinteresowności twojej przyjaźni.

— Wspaniale! — odpowiedział Wolka. — Mam dla ciebie obaj z Żenią interesującą propozycję. Od dawna chcieliśmy cię prosić, żebyś poszedł z nam do cyrku.

— Z miłą chęcią i zadowoleniem — odpowiedział Hassan. — Jeżeli chcesz, możemy się tam udać na wielbłądach albo na słońiach.

— Nie, co też ty!... Nie warto, żebyś się tym trudził — podziękował Hassanowi Wolka z nieco podejrzanym pośpiechem. — Wiesz, jedźmy lepiej trolejbusem, jeżeli się nie boisz.

— Czego bym się miał bać? — obruszył się staruszek. — Czwarty dzień już mija, odkąd spozieram bez strachu na te żelazne pojazdy.

Po upływie pół godziny Wolka, Żenia i Hassan byli w Parku Kultury i Odpoczynku przy wejściu do cyrku Szapito.

Staruszek podbiegł do kasy, żeby zobaczyć, jak wyglądają bilety, które należało okazać przy wejściu do cyrku; wkrótce też on i obaj chłopcy jakoś samo przez się stali się posiadaczami sztywnej, blad różowej kartki uprawniającej do zajęcia wolnych miejsc.

Weszli do cyrku, który tonał w blasku mnóstwa niezwykle jasnych lamp elektrycznych.

W jednej z łóż tuż przy arenie były akurat trzy wolne krzesła, Hassan jednak zdecydowanie wypowiedział się przeciw tym miejscom.

— Nie mogę na to przystać — rzekł — żeby ktokolwiek w tym lokalu siedział wyżej ode mnie i moich godnych największego szacunku przyjaciół! Uchybiałoby to naszej godności.

Prowadzenie na ten temat dyskusji ze staruszką byłoby rzeczą całkowicie bezcelową, toteż nasi chłopcy, radzi nieradzi, usadowili się wysoko „na jaskółce”, w ostatnim rzędzie amfiteatru.

Po chwili wybiegli jacyś chłopcy w malinowej, haftowanej złotem liberii i ustawili się w szpaler po obu stronach wejścia na arenę.

Konferansjer donośnym głosem obwieścił rozpoczęcie przedstawienia, po czym na arenę wjechała wołyżerka; była cała w błyskotkach jak Dziadzio Mróz na choince.

— No jak? Podoba ci się? — zapytał Wolka Hassana.

— Nie pozbawione wdzięku i miłe dla oka — ostrożnie odpowiedział staruszek.

Po wołyżerce wystąpili akrobaci, po akrobatach kłowni, po kłownach pieski, które zyskały powściągliwą pochwałę Hassana, po pieskach żonglerzy i skoczkiwie. Na tych skoczkiwach pierwsza część przedstawienia się skończyła.

Kiedy znowu zadzwonił dzwonek i wszyscy zajęli swoje miejsca, do Hassana podeszła młoda dziewczyna w kokieteryjnym białym fartuszką, z dużą tacą w ręku.

— Czy można zaproponować „eskimo”? — zwróciła się do staruszka, ten zaś z kolei rzucił pytając spojrzenie na Wolkę.

— Weź, Hassanie, to bardzo dobre! Spróbuj!

Hassan spróbował i bardzo mu smakowało. Poczęstował chłopców, dla siebie zaś kupił jeszcze jedną porcję, po chwili jeszcze jedną, aż wreszcie tak się rozochocił, że nabył od osłupiałej sprzedawczynie cały zapas „eskimo”, jaki przy sobie miała — czterdzieści trzy okrągłutkie, pokryte delikatnym szronem paczuski z lodami. Dziewczyna powiedziała, że po tacę przyjdzie później, i pobiegła na dół, oglądając się co chwila na dziwnego klienta

— Oho! — mrugnął Żenia na przyjaciela. — Staruszek się dorwał do „eskimo”.

W ciągu pięciu mniej więcej minut Hassan wykończył całe czterdzieści trzy porcje. Jadł „eskimo” jak ogórki, odgryzając na raz duże kawałki i smakowicie chrupiąc. Ostatni kawałek połknął w chwili, gdy w cyrku znowu zapaliły się wszystkie światła.

— Mistrz wszechświatowej sławy!... Numer składany! Wielka atrakcja! Artysta cyrków państwowych Afanasij Sidorelli!

Wszyscy zaczęli klaskać, orkiestra zagrała tusz i na arenę wszedł z uśmiechem, kłaniając się na wszystkie strony, artysta niewielkiego wzrostu w haftowanym w złote smoki, niebieskim jedwabnym kaftanie. Był to właśnie ów znakomity Sidorelli. W czasie gdy jego pomocnicy rozkładali na małym lakierowanym stoliku wszystko, co było potrzebne do pierwszego numeru programu, mistrz ciągle się kłaniał i uśmiechał. Gdy otwierał usta, mocno połyskiwał w nich złoty ząb.

— Zdumiewające! — z wyraźną zazdrością szepnął Hassan.

— Co jest zdumiewające? — zapytał Wolka, ze wszystkich sił bijąc brawo.

— Zdumiewającą rzeczą jest to, że człowiekowi rosną złote zęby.

— Tak sądzisz? — z roztargnieniem odpowiedział Wolka, bez reszty pochłonięty numerem, który się właśnie rozpoczynał.

— Jestem tego pewien — rzekł Hassan. — To wygląda ładnie i bogato.

Tymczasem Sidorelli skończył swój pierwszy numer.

— No i co o tym powiesz? — zapytał Wolka Żeni takim tonem, jak gdyby on sam przed chwilą to wszystko wykonał.

— Fenomenalne! — z zachwytem odpowiedział Żenia.

Wolka krzyknął ze zdumienia: okazało się, że Żenia ma w ustach same złote zęby.

— Oj, Wolka, coś ci muszę powiedzieć — szepnął do przyjaciela Żenia. — Tylko się nie przestrasz! Wszystkie zęby masz złote.

— To na pewno robota Hassana — jęknął Wolka z rozpaczą.

Tak było istotnie. Staruszek, który przysłuchiwał się ich rozmowie, kiwnął potwierdzająco głową i uśmiechnął się z rozbrajającą naiwnością, ukazując z kolei dwa rzędy równych złotych zębów.

— Nawet Sulejman syn Dauda, pokój im oby dwu, nie miał w ustach takich wspaniałości — rzekł chełpliwie. — Tylko mi nie dziękujcie! Zapewniam was, że zasłużyliście na ten skromny upominek.

— Nie mamy zamiaru dziękować — ze złością mruknął Żenia, lecz Wolka bojąc się, żeby stary znowu się nie rozgniewał, szarpnął Żenię za rękę

— Chodzi o to, Hassanie... — zaczął dyplomatycznie — że to się może zbyt rzucić w oczy, jeżeli wszyscy trzej, tak jak tu siedzimy, naraz będziemy mieli złote zęby. Ludzie będą nam się przyglądali i będziemy się czuli bardzo skrępowani.

— Ani mi się śni krępować! — odrzekł Hassan.

— Tak, ale my będziemy się jednak czuli cokolwiek nieswojo. Przepadnie cała radość z przedstawienia.

— O co zatem idzie?

— Chcielibyśmy cię właśnie prosić... Zrób tak, żebyśmy, zanim wrócimy do domu, mieli zwykle, kościane zęby.

— Zachwyca mnie wasza skromność, o młodzi przyjaciele moi! — odrzekł na to Hassan nie bez urazy.

Chłopcy uczyli z ulgą, że mają w ustach swoje dawne, naturalne zęby.

— Czy, kiedy wrócimy do domu... one znowu się zrobią złote? — zapytał Żenia szeptem.

Wolka również cicho odpowiedział:

— Wszystko w porządku... potem się zobaczy.. Może staruszek zapomniał — i z upojeniem zaczął się przyglądać zawrotnym sztukom Afanasija Sidorellego. Wraz z innymi widzami bił mu brawo, gdy ten z zupełnie pustej skrzynki wyciągnął najpierw gołębia, potem kurę, a w końcu kudłatego białego pudła.

Jeden tylko człowiek gniewnie i bez żadnych oznak uznania spoglądał na sztukmistrza. Człowiekiem tym był Hassan.

Czuł się niemal pokrzywdzony, że ci wszyscy ludzie bili tamtemu brawo za lada głupstwo, gdy tymczasem on, choć od chwili swego wyzwolenia z glinianego naczynia zrobił tyle cudów, nie usłyszał ani razu nie tylko oklasków, ale nawet jednego naprawdę szczerego słowa uznania.

Dlatego to, kiedy ponownie zabrzmiały oklaski, a Sidorelli zaczął się kłaniać na wszystkie strony, Hassan Abdurrachman ibn Chottab stęknął gorzko i nie bacząc na protesty sąsiadów ruszył niemal po ich głowach na arenę.

Pomruk pełen uznania przeleciał po cyrku; jakiś solidny obywatel rzekł do swojej sąsiadki:

— Mówiłem ci, że ten staruszek to kłown. Jest, jak widać, bardzo doświadczony. Patrz, jak się śmiesznie zachowuje. Kłowni umyślnie siadają sobie czasem wśród publiczności...

Na szczęście dla tego, kto to powiedział, Hassan tych słów nie słyszał; uwaga jego była całkowicie pochłonięta obserwowaniem Sidorellego, a Sidorelli zaczął akurat najbardziej zdumiewający ze swoich numerów.

Przed wszystkim znakomity sztukmistrz zapalił kilka bardzo długich różnokolorowych wstążek i włożył je sobie w usta. Potem wziął do ręki dużą, jaskrawo pomalowaną misę z jakąś substancją podobną do bardzo drobnych trocin drzewnych. Napchał sobie do ust tyle tych trocin, że się już więcej nie mieściło, i zaczął szybko wymachiwać przed sobą ładnym,

zielonym wachlarzem.

Trociny w ustach Sidorellego zaczęły się tlić, ukazał się niewielki dymek, wreszcie kiedy w cyrku zgaszono światło, wszyscy zobaczyli, jak w ciemnościach z ust znakomitego sztukmistrza posypały się tysiące iskier, a nawet błysnął niewielki płomień.

Wówczas to wśród huraganu oklasków i głośnych okrzyków „brawo” rozległ się nagle pełen oburzenia głos Hassana.

— Oszukują was! — krzyczał staruszek, jak mógł najgłośniej. — To nie są cuda! To najzwyczajniejsza zręczność rąk!

— A to dopiero kłown! — z zachwytem zawołał ktoś spośród publiczności. — Zdu-mie-wa-ją-cy kłown! Brawo, kłown!

Wszyscy widzowie z wyjątkiem Wolki i jego przyjaciela zgodnie zaczęli oklaskiwać Hassana.

Staruszek nie rozumiał, o jakiego kłowna krzyżującym chodziło. Cierpliwie czekał, aż się skończyły wywołane jego wystąpieniem brawa, i jadowicie ciągnął:

— I to mają być cuda? Cha, cha!

Odsunął zbitego z tropu artystę na bok i na początek wyrzucił ustami jeden po drugim piętnaście ogromnych, różnokolorowych płomienistych języków i to takich, że po cyrku rozszedł się wyraźny zapach siarki.

Z ukontentowaniem wysłuchawszy oklasków, Hassan pstryknął palcami i zamiast jednego dużego Sidorellego po niskiej barierce zaczęło biec siedemdziesięciu dwóch małych Sidorellich, podobnych do znakomitego sztukmistrza jak dwie krople wody. Przebiegłszy kilka razy wkoło, złączyli się oni znów w jednego dużego Sidorellego, jak zlewa się w dużą kroplę mnóstwo małych kropelek rtęci.

— To jeszcze nie wszystko! — grmiącym, już nieludzkim głosem krzyczał Hassan podniecony powszechnym uznaniem i zaczął wyciągać spod poły swej marynarki całe tabuny koni rozmaitej maści.

Przerażone konie rżały, biły kopytami, machały głowami, rozwiewając swoje cudowne, jedwabiste grzywy. Potem na skinienie ręki Hassana konie znikły, a spod poły marynarki wyskoczyły jeden po drugim, groźnie rycząc, cztery ogromne berberyjskie lwy i okrążywszy kilka razy arenę znikły.

Dalszym czynnościom Hassana towarzyszyły już nieustające oklaski publiczności.

Machnął ręką i nagle to, co było na arenie: i Sidorelli z pomocnikami, i jego różnorodne rekwizyty, i zuchowaci chłopcy strojni w liberię — wszystko w mgnieniu oka zakręciło się, poderwało do góry, na pożegnanie zrobiło jeszcze parę kół nad zachwyconą widownią i w jednej chwili rozplynęło się w powietrzu.

Trzydziestu trzech członków orkiestry znalazło się nagle razem, z okrzykami radości skłębiło się w jedną masę i niczym wielka kula stoczyło się z pomostu na arenę. Potem kula zaczęła się toczyć po barierce, ciągle zmniejszając swoje rozmiary, aż wreszcie osiągnęła wielkość ziarnka grochu. Wtedy Hassan podniósł ją, wsadził sobie w prawe ucho i oto zaczęły stamtąd płynąć przytłumione dźwięki marsza.

Następnie staruszek, który wskutek zbytnej emocji ledwie się trzymał na nogach, pstryknął jakoś specjalnie wszystkimi palcami obu rąk na raz i nagle widzowie zaczęli się ze świstem jeden po drugim zrywać z miejsc i ginęli gdzieś pod kopułą.

W opustoszałym cyrku zostało wreszcie tylko trzech ludzi: ogromnie wyczerpany Hassan — staruszek usiadł na chwilę na barierce otaczającej arenę — oraz Wolka i jego przyjaciel, którzy jak gruszki spadli ze swoich miejsc i potoczyli się ku staruszkowi.

— No jakże? — apatycznie zapytał Hassan, z trudem unosząc głowę i patrząc na chłopców dziwnym, zmaconym wzrokiem. — To nie jakiś tam Sidorelli? Co?

— Gdzie mu do ciebie! — odpowiedział Wolka i gniewnie mrugnął na Żenię, który się wyrывał, żeby staruszka o coś poprosić.

— A jakie były oklaski! — z upojeniem wspominał Hassan.

— Ba! Ale czy potrafisz zrobić tak, żeby wszyscy znów wrócili na swoje dawne miejsca? To jest na pewno okropnie trudna rzecz!

— Nie, trudna nie jest... to znaczy, oczywiście że dla mnie nie jest trudna... — niedo-  
słyszalnym niemal szeptem odpowiedział Hassan.

— Bo mnie się jakoś zdaje, że ten cud przerasta twoje siły — podstępnie ciągnął  
Wolka.

— Bynajmniej nie przerasta... tylko... tak się jakoś dziwnie zmęczyłem...

— Mówię właśnie, że to jest ponad twoje siły.

Hassan nie odpowiedział. Stęknął głucho, wstał, wyrwał z brody trzynaście włosów, rozdarł je na drobne kawałki, głośno wypowiedział jakieś dziwne i bardzo długie słowo i całkiem bez sił osunął się na pokrywające arenę trociny.

W jednej chwili przylecieli ze świstem spod kopuły i ulokowali się na swoich miejscach zgodnie z nabytymi biletami nieskończenie uszczęśliwieni widzowie. Na arenie wyrosli jak spod ziemi: Sidorelli, jego pomocnicy oraz rekwizyty, a także chłopcy w liberii ze swym dzielnym przodownikiem na czele.

Orkiestra pod postacią ziarenka grochu wypadła z prawego ucha Hassana, stała się ogromną masą śmiejących się ludzi i wbrew obowiązującemu na całym świecie prawu powsze-  
chnego ciężenia potoczyła się w górę na podest, rozsypała się na trzydzieści trzy osoby, które usiadły na swoich dawnych miejscach i zaczęły rżnąć tusz...

— Pozwólcie, obywatele!... Proszę mnie puścić... — mówił przepychając się ku Hassa-  
nowi przez zbity tłum otaczających go, zachwyconych widzów jakiś szczupły człowiek w  
dużych, okrągłych rogowych okularach. — Bądźcie łaskawi, towarzyszu — z głębokim  
szacunkiem zwrócił się do Hassana — nie odmawiajcie mi, wstąpcie do gabinetu dyrektora.  
Naczelnik Zarządu Cyrków Państwowych chciałby zaproponować wam szereg występów w  
Moskwie i w okolicznych cyrkach.

— Proszę dać staruszkowi spokój! — odezwał się z gniewem Wolka. — Czy nie  
widzicie, że jest chory i że ma podniesioną temperaturę?

Istotnie Hassan miał wysoką gorączkę.

Staruszek nie na żarty objadł się lodami.

## XVII. Szpital pod łóżkiem

Ten, kto się nigdy w życiu nie opiekował chorym dzinnem, nawet sobie wyobrazić nie  
może, jakie to męczące i kłopotliwe zajęcie.

Przede wszystkim nasuwa się pytanie: gdzie go ulokować? Do szpitala odesłać niespo-  
sób, a w domu na oczach wszystkich też trzymać go nie podobna.

Po drugie: jak go leczyć? Medycyna leczy ludzi, a nie czarodziejów z bajek.

Trzecie zagadnienie: czy zaraźliwe są dla ludzi choroby dzinnów?

Wszystkie te trzy pytania rozważyli chłopcy dokładnie, gdy wieźli z cyrku taksówką  
nieprzytomnie mającego Hassana. Wreszcie postanowiono, co następuje:

1. Nie odwozić Hassana do szpitala, ulokować go natomiast u Wolki pod łóżkiem,  
zapewniając mu wszystkie możliwe wygody i ewentualnie dla bezpieczeństwa zaproponować  
dzinnowi, żeby stał się niewidzialny.

2. Leczyć go tak, jak się leczy ludzi przeciw przeziębieniu. Na noc zaaplikować aspiry-  
nę i dawać do picia herbatę z konfiturami malinowymi, żeby się dobrze wypocił.

3. Choroby dzinnów prawdopodobnie ludziom się nie udzielają.

Na szczęście w domu nie było nikogo, udało się więc ułożyć Hassana na jego zwykłym miejscu pod łóżkiem. Żenia pobiegł do apteki po aspirynę, a także do „Gastronomu” po konfitury z malin, Wolka zaś udał się do kuchni, żeby zagrzać herbatę.

— Herbata gotowa! — zawołał wracając z gotującym się czajnikiem w ręku. — Napijmy się herbatki, staruszku, co?

Odpowiedzi nie było.

— Umarł! — przeraził się Wolka i nagle uczuł, że mimo przykrości, których za sprawą Hassana doświadczył, byłoby mu bardzo smutno, gdyby staruszek umarł. — Hassanie, najmilszy mój! — szepnął drżącymi wargami. Ukłękł i wsunął się pod łóżko.

Ale staruszka pod łóżkiem nie było.

— A to niemożliwy dziad! — zirytował się chłopiec zapominając w jednej chwili o swoich tkliwych uczuciach. — Dopiero co tu był, a już się zdążył gdzieś ulotnić!

Nie wiadomo, ile i jakich gorzkich słów padłoby jeszcze z ust Wolki pod adresem staruszka, gdyby w tej właśnie chwili nie wszedł do pokoju z wielkim hałasem Żeńka wlokąc za sobą Hassana. Stary opierał się mrużąc coś bez sensu pod nosem.

— A to dziwadło! No pomyśl tylko, co to za dziwadło! — mówił z oburzeniem Żenia pomagając układać chorego pod łóżkiem. — Idę sobie ulicą, patrzę, a na rogu stoi nasz Hassan z workiem złota i stara się je wtykać wszystkim przechodniom po kolei. Więc pytam go: „Czego ty tu szukasz mając taką gorączkę?” A on na to: „Czuję, widzisz, że śmierć się zbliża, i chcę z tej racji rozdać jałmużnę”. Więc mu powtarzam: „Ale kiep z ciebie, ale kiep! Komu zamierzasz rozdawać tę jałmużnę? Gdzieś ty u nas widział żebraków?” A on na to: „Wobec tego idę do domu”. No i przyprowadziłem go... Leż, staruszku miły, wracaj do zdrowia! Umrzeć zawsze zdążysz!...

Chłopcy dali Hassanowi końską dozę aspiryny, aby pokrzepić jego siły, zużyli cały słoik konfitur malinowych, okryli go jak najlepiej, żeby się w nocy wypocił, i ułożyli do snu.

Przez jakiś czas staruszek leżał spokojnie, ale potem zaczął się nagle rzucać i usiłował wstać, mówił coś o tym, że musi iść do Sulejmana ibn Dauda, aby przeprosić go za jakieś dawne uchybienia. A potem się rozplakał i zaczął prosić Wolkę, żeby biegł do Morza Śródziemnego i do Oceanu Indyjskiego i szukał na jego dnie miedzianego naczynia, w którym uwięziony został kochany braciszek Hassana Omar Jussuf ibn Chottab, żeby wyzwolił go z zamknięcia i przyprowadził.

— Mielibyśmy cudowne życie wszyscy razem! — mruczał w malignie, zalewając się gorącymi łzami.

Po upływie pół godziny staruszek odzyskał przytomność i odezwał się spod łóżka słabym głosem:

— O młodzi moi przyjaciele, nie możecie sobie nawet wyobrazić, jak głęboko wam wdzięczny jestem za przywiązanie wasze i za tak cenną waszą troskliwość! Wyświadczcie mi, proszę was, jeszcze jedną przysługę: zwiążcie mi jak najmocniej ręce, żebym przypadkiem w gorączce nie naczarował byle czego, sam bowiem potem nie dam sobie z tym rady.

Staruszek został natychmiast związany i usnął jak zabity.

Następnego dnia Hassan obudził się całkiem zdrow.

— Zabiegi lecznicze w czas zastosowane mają swoje znaczenie! — skonstatował z zadowoleniem Żenia Bogorad postanawiając stanowczo, że po ukończeniu szkoły wstąpi na medycynę.



## XVIII. Staruszek Hassan i mister \* Harry Vandendulles \*\*

— Błogosławiony Wolko — rzekł po śniadaniu Hassan grzejąc się błogo na słońku — przez cały czas robię ci prezenty, moim zdaniem, nawet kosztowne i za każdym razem nie przypadają ci one do smaku. Może byśmy zrobili tak: sam mi powiesz, co ty i twój młody przyjaciel chcielibyście ode mnie otrzymać w darze, a ja będę uważał za zaszczyt i szczęście dostarczyć wam tego, co mieć pragniecie.

— Podaruj mi, proszę cię bardzo, wielką morską lornetę — odpowiedział Wolka bez namysłu.

— Z miłą chęcią i zadowoleniem.

— I mnie też. Oczywiście, jeżeli można — dodał nieśmiało Żenia.

— Ależ nic łatwiejszego!

Całe towarzystwo udało się więc do sklepu komisowego.

W sklepie, który mieścił się przy ruchliwej i krótkiej uliczce w centrum miasta, było sporo kupujących.

Nasi przyjaciele nie bez trudności dopchali się do lady. Sprzedawano tu przedmioty tak zupełnie przypadkowe, że nie można było ich w żaden sposób posegregować i odesłać do działów specjalnych, dla każdej bowiem rzeczy należałoby stworzyć osobny dział.

— Pokaż mi, o łaskawy Wolko, jak wyglądają owe miłe waszemu sercu lornety! — wesoło rzekł do Wołki Hassan, lecz nagle zbladł i zaczął drżeć na całym ciele.

Rzucił spojrzenie pełne bólu na swoich młodych przyjaciół, zapłakał i głosem grobowym rzekł:

— Żegnajcie, o sercu mojemu najdrożsi!

Po czym skierował swoje kroki ku siwemu, dostatnio ubranemu, czerwonemu na twarzy cudzoziemcowi, rozepchnął łokciami publiczność i runął na kolana.

— Rozkazuj mi, albowiem jestem pokornym i posłusznym niewolnikiem twoim! — rzekł przez łzy do cudzoziemca usiłując ucałować poły jego marynarki.

— Nie zaczepić mi! — wrzasnął tamten łamanym rosyjskim językiem. — Nie zaczepić, bo ja wam zajechać po gęba. Wy jest złodziej! Wy chcecie ukraść moja pugilares!

— Mylisz się, o władco mój! — rzekł staruszek, wciąż jeszcze klęcząc. — Czekam na twoje rozkazy, żeby je wypełnić bez zwłoki i bez szemrania.

— Wstydziłibyście się, obywatelu, tak żebrać w dzisiejszych czasach — odezwał się z wyrzutem jeden ze sprzedawców zza lady.

— Zatem, jak wiele ja płacić za ta kiepski pierścionek? — nerwowo powrócił do prze-rwanej przez Hassana rozmowy cudzoziemiec.

— Dziesięć rubli za ledwie i do tego siedemdziesiąt jeden kopiejek — odpowiedział sprzedawca. — Przedmiot, oczywiście, zupełnie okazyjny.

Sprzedawcy ze sklepów z rzeczami okazyjnymi i komisowymi znali już dobrze mister Harry'ego Vandendullesa, który przed niedawnym czasem przyjechał w charakterze robiącego interesy turysty-spekulanta z Nowego Jorku. Gdy miał czas wolny, urządzał stale i regularnie wyprawy do sklepów komisowych z rzeczami okazyjnymi, w nadziei nabycia za bezcen jakiegoś wartościowego przedmiotu. Całkiem niedawno udało mu się kupić za cenę bardzo przystępną pół tuzina filiżanek wyrobu Fabryki Porcelany im. Łomonosowa, teraz zaś, akurat w chwili kiedy padł przed nim na kolana niepokieszony Hassan, mister Vandendulles zapytał o cenę pociemniałego od długiego używania pierścionka, który sprzedawca uważał za srebrny, a mister Harry Vandendulles — za platynowy.

\* Mister (ang.) — pan.

\*\* Harry Vandendulles — ang.; czyt: Hari Wandendales.

Otrzymawszy kupiony przedmiot Amerykanin schował go do kieszonki od kamizelki i wyszedł na ulicę. Trop w trop za nim postępował Hassan ocierając pięścią łzy rzęsiście spływające po śniadej, pomarszczonej twarzy. Gdy mijał swoich przyjaciół, rzucił im w biegu jedynie kilka słów:

— Niestety, w ręku tego cudzoziemca o siwych włosach ujrzałem przed chwilą zaczarowany pierścień Sulejmana syna Dauda, pokój im obu. Jestem niewolnikiem tego pierścienia i muszę iść za tym, kto go ma przy sobie. Żegnajcie, o przyjaciele moi, zawsze będę was wspominać tkliwie i z wdzięcznością...

Dopiero teraz, gdy nastąpiło nieodwołalne rozstanie z Hassanem, chłopcy zdali sobie sprawę, jak bardzo się do staruszka przywiązali. Opuścili sklep zasmuceni i milczący, nawet okiem nie rzucili na lornety i poszli nad rzekę; w ostatnich czasach spotykali się tam niemal codziennie i prowadzili długie, szczere rozmowy. Długo leżeli na brzegu, koło tego miejsca, gdzie tak niedawno Wolka znalazł omszałe gliniane naczynie z Hassanem; wspominali zabawne, ale tak miłe przyzwyczajenia staruszka i coraz bardziej utwierdzali się w przekonaniu, że wzięwszy wszystko pod uwagę, był on bardzo miły i dobroduszny.

— Trzeba powiedzieć sobie po prostu: niedostatecznie ceniliśmy Hassana — przyznał samokrytycznie Żenia i westchnął ze skrucą.

Wolka właśnie przewrócił się na drugi bok; chciał Żeni coś odpowiedzieć, ale nie odpowiedział, gdyż nagle zerwał się i pobiegł w głąb ogrodu.

— Hura! Hassan wrócił! Hurr-a-a!

Istotnie do chłopców zbliżał się drepcząc szybko starym kroczkiem Hassan Abdurrahman ibn Chottab. Na ramieniu jego wisiały na długich rzemykach dwa skórzane futerały z dużymi lornetami morskimi.

## XIX. Opowiadanie Hassana Abdurrahmana o tym, co się z nim działo po wyjściu ze sklepu

— Wiedźcie, o młodzi moi przyjaciele, że opowieść moja będzie dziwna, a przygody nader niezwykle; chciałbym, żebyście posiedzieli tu przy mnie, a ja opowiem wam moją historię i wyjaśnię dlaczego znów tu jestem.

Było tak: czerwonolicy cudzoziemiec wyszedł ze sklepu, kazał samochodowi swemu, żeby odjechał, sam zaś poszedł pieszo, aby choć trochę poruszyć złoża tłuszczu, tak obficie pokrywające jego mięsiste i spaśne ciało, szedł zaś tak szybko, że nie łatwo mi było dotrzymać mu kroku. Dogoniłem go tedy na innej już ulicy, padłem na kolana i zawołałem: „Każ, abym szedł za tobą, o panie mój!”

Lecz on nie usłuchał mnie i dalej poszedł swoją drogą. Osiemnaście razy dopędzałem go, osiemnaście razy padałem przed nim na twarz, ale ów cudzoziemiec osiemnaście razy pozostawiał mnie na klęczkach wołając w zawziętości swojej: „Wynoś się! Ty być stary zbój!”

Kopał mnie nogami, a ja byłem bezsilny, albowiem w jego ręku był czarodziejski pierścień Sulejmana. Więc lękałem się ściągnąć na siebie jego gniew. Nie wiedziałem, co uczynić, aby móc za nim nie iść, i postępowałem trop w trop śladami jego. A on myślał, że proszę go o pieniądze. I krzyczał, że nie ma przy sobie ani centa, a chociaż nie prosiłem go o nic, wiedziałem doskonale, że ma dużo pieniędzy. A on wiedział, że ja o tym wiem.

I zadawał mi śmiertelne ciosy za każdym razem, kiedy nikt tego nie mógł widzieć. I wtedy ogarnął mnie lęk, i wyschła mi w ustach ślina z wielkiego przestachu, i popadłem w ciężkie zwątpienie, czy będę żył. I zapłakałem takim płaczem, że od łez przemokła odzież

moja.

I szliśmy tak, dopóki nie doszliśmy do drzwi domu jego. I chciałem za nim tam wniknąć, lecz cudzoziemiec ów w złości swojej pchnął mnie ręką w pierś i zakrzyknął: „Wy nie wchodzić do mój mieszkanie, bo będę wołać milicjant”.

I wtedy zapytałem go: „Zali mam pozostać u drzwi twoich aż do wieczora?” A on odrzekł: „Choćby do Nowego Roku!”

Pozostałem tedy, aby czekać u drzwi jego, albowiem słowa człowieka, który ma w swej władzy pierścień Sulejmana, są dla mnie prawem. I stałem tak przez pewien czas, dopóki nie usłyszałem nad głową moją wielkiego hałasu i dopóki nie utworzyło się nad głową moją okno. Wtedy spojrzałem w górę i zobaczyłem, że w oknie ukazała się chuda i wysoka kobieta w zielonej jedwabnej sukni, a śmiała się ta kobieta złym i wzgardliwym śmiechem. Za jej plecami zaś zobaczyłem zmartwioną twarz czerwonolicęgo. I kobieta owa rzekła natrzęsając się zeń: „Niestety, zrobiłam wielki błąd wychodząc za pana przed czterem laty za męża! Był pan przez całe swoje życie i pozostał jedynie marnym kupcem galanteryjnym! Mój Boże! Nie umie pan nawet odróżnić tandetnego srebrnego pierścionka od platynowego! Ach, gdyby się o tym dowiedział mój biedny ojciec!...”

I cisnęła pierścień na bruk, i zatrasnęła okno, ja zaś padłem bez czucia, albowiem jeśli przychodzi do tego, że ciska się o ziemię pierścień Sulejmana, to znaczy, że mogą spaść na człowieka najbardziej wstrząsające nieszczęścia.

Ale potem otworzyłem oczy i przekonałem się, że żyję i że nie wydarzyło się żadne nieszczęście.

Wtedy uradowałem się wielką radością, albowiem wysnułem z tego wniosek, że mogę się uważać za szczęśliwego.

I zerwałem się równe nogi, błogosławiąc swój los, podniosłem bowiem pierścień i popędziłem do was, o przyjaciele moi, nabywając po drodze pożądane przez was podarunki. Oto cała moja opowieść.

— Po prostu jak w bajce! — zawołał szczerze zachwycony Żenia, kiedy staruszek skończył mówić. — Czy mógłbym wziąć do ręki ten zaczarowany pierścień?

— Z miłą chęcią i zadowoleniem. Włóż go na palec wskazujący lewej ręki, potem obróć go i powiedz głośno, jakie masz życzenie, a zostanie spełnione natychmiast.

— To rozumiem! — z zachwytem zawołał znowu Żenia, włożył pierścień na palec, pokręcił nim i rzekł: — Chcę, żebym tu, na tym miejscu, natychmiast miał rower!

Wszyscy trzej zamarli w oczekiwaniu. Niestety, rower ani rusz nie chciał się zjawić.

Żenia powtórzył jeszcze głośniejsze:

— Bezwzględnie ma się tu zjawić rower! Natychmiast!

Rower jednak uparcie się nie zjawiał.

— Pewnie coś nawaliło w pierścionku — powiedział Wolka, wziął od Żeni pierścień i zaczął go starannie oglądać. — O! Przecież tu jest w środku coś napisane! Po rosyjsku! — zawołał chłopiec i powoli sylaba po sylabie zaczął czytać: — „Noś, Katiu, na zdrowie! Wasia Kukuszkin. 2. V. 1916 r.”

## XX. Ci sami i Harry Vandendulles

— Pomylić się każdy może — wspaniałomyślnie zauważył Wolka, ze współczuciem spoglądając na zawstydzonego Hassana. — Ostatecznie to nawet lepiej, że pierścionek jest całkiem zwyczajny... A za podarunki serdecznie dziękujemy.

Chłopcy przez delikatność nie patrzyli na staruszkę, wyjęli z futerałów lornety i rozkoszowali się ich niewątpliwymi zaletami. Dalekie domy stały się bliskie i jakby się przysunęły do samej rzeki, drobne punkciki zmieniły się w idących ludzi, a samochód, który pędził z daleka, wyglądał tak, jakby miał lada chwila zwałić z nóg szczęśliwego posiadacza lornety. Nie można było marzyć o większym przybliżeniu obrazu.

— Hassanie — odezwał się Wolka po upływie paru minut — weź i zobacz, kto tu do nas idzie!

Chłopiec podał Hassanowi lornetę, lecz staruszek widział już gołym okiem zbliżającego się szybko, prawie biegnącego i potężnie sapiącego mister Harry'ego Vandendullesa we własnej jego osobie, wagi sześciu pudów.

Gdy mister spostrzegł, że jest obserwowany, natychmiast zwolnił kroku; szedł teraz nie dbale, kołyszając się na boki, tak jakby nawet przez myśl mu nie przeszło, żeby się śpieszyć; ot, po prostu wyszedł sobie na spacer i przechadza się z dala od miejskiego hałasu. Kiedy znalazł się nieco bliżej, jego purpurowa, jakby oparzona wrzątkiem fizjonomia rozplynęła się w uśmiechu pełnym słodyczy.

— Ach, Bóg mój, jaka miły, niespodziany spotkanie!...

Zanim mister Vandendulles podejdzie do naszych przyjaciół, zanim gorąco uściśnie im dłonie, postaramy się w krótkich słowach wyjaśnić, z jakiego powodu zjawił się znowu w naszym opowiadaniu.

Wszystko wynikało stąd, że mistress \* Vandendulles była owego dnia w bardzo złym humorze, i z tej to racji straciła panowanie nad sobą i cisnęła pierścionek za okno. Cisnęła i powstała jeszcze chwilę przy oknie, żeby odsapnąć.

No i wtedy właśnie licho chciało, że bardzo ją zaciekał ten staruszek, który podniósł poniewierający się na bruku pierścionek i, wzięwszy nogi za pas, zaczął uciekać.

— Widziałeś? — rzekła zwracając się do mister Vandendullesa, który wyraźnie pomarkotniał. — Pocieszny jakiś staruszek! Złapał ten głupi pierścionek, jakby był co najmniej ze szmaragdem, i w nogi!

— O, to jest bardzo dokuczliwy dziadyga! — odpowiedział mister Vandendulles i ożywił się nieco. — Przyczepił się do mnie jeszcze w sklepie, nie odstępował do samego domu i wyobraź sobie, moja kochana, co chwila padał przede mną na kolana i wołał: „Jestem twoim niewolnikiem, masz bowiem pierścień, który jest własnością Sulejmana!” Powiadam mu na to: „Sir \*\*, pan się grubo myli! Kupiłem przed chwileczką ten pierścionek, więc należy on do mnie i tylko do mnie!” Ale tamten uparł się jak osioł i wciąż swoje: „Nie, to jest pierścień Sulejmana, pierścień czarodziejski”. „Wcale nie czarodziejski, tylko platynowy!” — odpowiadam, a on na to: „Nie, o panie mój, pierścień ten nie jest wcale platynowy, jest czarodziejski!” — i robi taki gest, jakby chciał ucałować brzeg mojej marynarki. A ja w marynarce mam, jak ci wiadomo, moja kochana, pugilares. Więc powiadam do niego: „U nas w Ameryce uważano mnie za całkiem nienajgorszego boksera” — i lu! go po gębę. Takem go stłukł, takem stłukł! Nawet teraz wspomnieć miło!

Mistress Vandendulles przez minutę może patrzyła z pogardą na swego wielomównego małżonka, po czym odwróciła oczy w inną stronę, nie mogła bowiem najprawdopodobniej znieść zadowolonego z siebie wyrazu twarzy swego męża, wzrok jej padł od niechcenia na poniewierający się na kanapie tomik „Tysiąca i jednej nocy”. I nagle olśniła ją nieoczekiwana myśl. Mistress Vandendulles padła na najbliższy fotel i rzekła szeptem, z którego kapała gorączka:

— Mój Boże! Nie mam szczęścia w życiu! Co za człowiek! Gdy się ma taką wyobraźnię, jak pan, sir, powinno się zostać nie handlowcem, ale trumniarzem. Pierwszej lepszej jaszczurce mógłby pan pozazdrościć rozumu, sir!

\* Mistress (ang; czyt: missis) — pani.

\*\* Sir (ang; czyt: ser) — pan.

— Ależ o co ci idzie, moja kochana? — z niepokojem zapytał małżonek. — Wszakże, kiedy go tłukłem, nikogo w pobliżu nie było. Biłem go w bramach. Bez świadków. Bądź spokojna, moja droga!...

— Dżentelmeni! — głosem tragicznym zawołała mistress Vandendulles, chociaż w pokoju żywej duszy oprócz ich dwojga nie było. — Dżentelmeni! Ten człowiek jeszcze mnie pyta, o co chodzi. Bądź pan łaskaw, sir, niezwłocznie dopędzić staruszkę i odebrać mu pierścionek, póki jeszcze nie jest za późno!

— Po cóż nam to, moja droga? Tandetny, srebrny pierścionek, wykonany w dodatku przez jakiegoś amatora.

— Ten człowiek wpędzi mnie do grobu! Ten człowiek pyta, po co mi jest potrzebny czarodziejski pierścień sułtana Sulejmana!... Dżentelmeni, on jeszcze pyta, po co mi potrzebny pierścionek, który spełnia wszystkie życzenia, który może sprawić, że jego posiadacz stanie się najbogatszym i najpotężniejszym człowiekiem na świecie!

— Ależ, drogi skarbie, czyś ty kiedy widziała czarodziejskie pierścienie?

— A czy pan kiedy widział, sir, żeby tu, w Związku Radzieckim, ktoś przed kimś padał na kolana? I jeszcze w dodatku, żeby usiłował całować kogoś po rękach?

— Nie po rękach, kochanie moje, ale w marynarkę.

— Tym bardziej. Bądź pan łaskaw, sir, natychmiast dopędzić tego dziada i odebrać mu pierścionek! Nie chciałabym być w pańskiej skórce, jeżeli wróci pan do demu bez pierścionka!...

Takim to wydarzeniom Hassan i jego młodzi przyjaciele zawdzięczali nieoczekiwane zjawienie się czerwonołicego męża groźnej mistress Vandendulles.

Gdyby mister Vandendulles był na miejscu Hassana, za nic w świecie nie oddałby nawet zwykłego pierścionka, a tym bardziej czarodziejskiego. Dlatego też Amerykanin postanowił działać oględnie.

— Ach, mój Bóg! Jaka miły, niespodziewany spotkanie! — zawołał z tak słodziutkim uśmiechem, jakby przez całe życie o niczym innym nie marzył, tylko o tym, żeby się zaprzyjaźnić z Hassanem, Wolką i Żenią. — Jaki wspaniały pogoda! A wy jak się macie?

— Dzięki ci, o cudzoziemcze siwowłosey — uprzejmie odrzekł Hassan. — Zarówno ja jak i moi młodzi przyjaciele w dobrym jesteśmy zdrowiu. Mam nadzieję, że i tobie zdrowie służy?

— Dziękuję, dziękuję, ja... zdrów, bardzo zdrów. Och, jaki bardzo prześliczna chłopczyk! — piał dalej mister Vandendulles i nawet poklepałby Wolkę po policzku, gdyby ten nie odwrócił się od niego z obrzydzeniem. — Ja myślę — ciągnął dalej Vandendulles tak, jak gdyby nie zauważył wrogiej postawy chłopca — ja myślę, ty bardzo marzysz, żebyś był gangster? Ja mieć w Ameryka dwa syny, i oni cały dzień bawić się w bandyt i gangster. O, oni; są bardzo rozumny chłopiec, oni mają być sławni amerykańscy bankier! — Tu Amerykaninowi udało się poklepać filuternie Żenię po policzku, zanim chłopiec zdążył się odsunąć. — Miły chłopiec, chciałby ty być bankier?

— Także pomysł! — rzucił ze złością Żenia i odsunął się od Vandendullesa. — Wariat jestem, czy co? Bogu dzięki, tu nie Ameryka!

— Cha, cha, cha! — zaczął się śmiać przypochlebnie mister Vandendulles i pogroził Żeni palcem. — Ty robisz, że ja śmiać się. Ty jest bardzo wesoła figlarz... Ja ci za to będę podarować jeden bardzo praktyczny ołówek z Ameryka...

— Niepotrzebny mi pański ołówek! Proszę mnie, jeśli łaska, zostawić w spokoju! — rozgniewał się Żenia, kiedy Amerykanin po raz drugi usiłował go poklepać po policzku. — Pan ma własne dzieci, które chcą zostać bandytami, niech pan je klepie po policzkach, ile się panu podoba... A my bankierów i bandytów nie lubimy. Czy pan to rozumie?

— Cha, cha, cha! — ucieszył się usłyszawszy te słowa mister Vandendulles, tak jakby mu ktoś powiedział niezwykle miły komplement. — Ja mieć w Ameryka jeden znajomy

inżynier, on także mówić, że nie lubić bankierzy. On teraz siedzieć w bardzo ładny nowojorski więzień.

— Czy mogę postawić pewne pytanie? — rzekł niespodziewanie Wolka i z przyzwyczajenia podniósł rękę, tak jak to robił w klasie. — Dlaczego w tej waszej Ameryce linczuje się Murzynów?

— O! — wykrzyknął mister Vandendulles. — Ty jest młody amator polityka! To jest bardzo dobra!... U nas w Ameryka jest całkiem swoboda, każdy można robić, co się podoba.

— No, to i Murzyni mogą białym oddać, jeżeli im się podoba?

— Fe, jaka głupia żart! — skrzywił się mister Vandendulles. — Nie trzeba tak głupio żartować! Murzyni mają znać swoje miejsce! Murzyni!... — Tu Amerykanin uznał za stosowne zaśmiać się i przerwać dyskusję nad tym żenującym zagadnieniem.

— Pan być bardzo miła staruszek — zwrócił się teraz do Hassana, żeby zmienić temat rozmowy. — Ja mieć nadzieja, my będzie bardzo dobre przyjaciele.

Hassan ukłonił się w milczeniu.

— O! — wykrzyknął Vandendulles z udanym zdziwieniem. — Ja widzi na wasz palec jedna srebrna pierścionek. Będzie pan mi dać zobaczyć ta srebrna pierścionek?

— Z miłą chęcią i zadowoleniem — odrzekł Hassan wyciągając rękę z pierścionkiem.

Lecz mister Vandendulles wcale nie próbował przyjrzeć się pierścionkowi. Nagłym ruchem zdarł go z palca Hassana i w jednej chwili wsadził na swój mięsisty paluch, podobny do nie dogotowanej parówki.

— Dziękuję, dziękuję! — wykrzyknął ochryplym głosem, a twarz jego, czerwona sama przez się, tak napłynęła krwią, że Hassan uczuł niemałą obawę, czy mister Vandendullesa przypadkiem nie tknie apopleksja. — Gdzie pan kupić ta pierścionek?

Amerykanin był pewien, że staruszek nie powie prawdy, a w każdym razie zrobi wszystko, co tylko będzie mógł, aby nie oddać tego wszechmocnego pierścionka. Mister Vandendulles ocenił wzrokiem stojącego przed nim chudego staruszka i obu chłopców, którzy usiedli nieco opodal, i zdecydował, że gdyby doszło do bójki, da sobie z nimi radę bez trudności.

Ku jego wielkiemu zdumieniu staruszek ani myślał kłamać i odpowiedział z całym spokojem:

— Nie kupiłem tego pierścionka. Podniosłem go z jezdni przed twoim domem. To jest twój pierścionek, o siwowłosy cudzoziemcze!

— O! — z zachwytem zawołał mister Vandendulles. — Ty być bardzo rzetelna staruszek! Ty będzie zostać mój ulubiony sługa!

Gdy chłopcy usłyszeli te słowa Amerykanina, skrzywili się z niesmakiem, ale się nie odezwali. Ciekawi byli, co będzie dalej...

— Ty mnie miał niedawno powiedzieć, ten pierścionek jest czarodziejski pierścień? Jest to naprawdę? Ma on wypełnić każdy mój życzenie?

Hassan potwierdzająco kiwnął głową, a chłopcy parsknęli śmiechem. Byli pewni, że Hassan ma zamiar zażartować z tego nieznośnego Amerykanina, i obiecywali sobie wesołe widowisko.

— O! — odezwał się mister Vandendulles. — Dziękuję, dziękuję! Wy mi będzie wytłumaczyć, jak używać czarodziejska pierścionek?

— Z miłą chęcią i zadowoleniem, o najbardziej purpurowy na twarzy cudzoziemcze! — rzekł Hassan z niskim ukłonem. — Bierze się czarodziejski pierścień, wkłada na palec lewej ręki, obraca się i wypowiada jednocześnie swoje życzenie.

— I on ma koniecznie być spełniony?

— Tak jest.

— Rozmaity mój życzenie? Bardzo rozmaity?

— Każde.

— Ach, to jest tak? — z głębokim zadowoleniem zauważył Vandendulles, a twarz jego

w jednej chwili stała się chłodna i wyniosła. Szybkim i uchem obrócił pierścionek i krzyknął na Hassana:

— Ty głupi stary! Podejdz tu! Ty będziesz tu pakować dolary!

Jego arogancki ton oburzył Wolkę i Żenię. Pochylili się obaj naprzód i już otworzyli usta, żeby dać Amerykaninowi należytą odprawę, lecz Hassan zaczął na nich gniewnie machać rękami. Staruszek podszedł do Vandendullesa.

— Wybacz mi, panie — rzekł pokornie. — Nie wiem, co to są dolary. Pokaż mi choć jednego, żebym wiedział, jak to wygląda.

— Każda kulturalny człowiek powinien wiedzieć, jaka wygląda ma dolar amerykański! — pogardliwie wycodził przez zęby Vandendulles, potem z wyrazem wyższości wyciągnął z pugilaresu dziesięciodolarowy banknot, pomachał nim kilka raz przed nosem Hassana, jakby zamierzał go w ten sposób pouczyć, po czym znów schował go do pugilaresu. — Dolar to najwięcej kulturalny rzecz w Ameryka, a zatem i na cały świat. Czy wy dobrze rozumiecie?

Hassan skłonił się.

— A teraz... — rzekł Vandendulles — teraz już czas, żeby przystąpić do business \*. Niechaj mi wnet tu przyjdzie sto tysięcy dolarów!

— Szerzej nadstawiaj kieszenie! — parsknął śmiechem Wolka mrugając na Żenię. — Dorwał się mister do „czarodziejskiego” pierścionka: „Noś Katiu, na zdrowie!”

— Niech mi natychmiast przyjdzie sto tysięcy dolarów! — powtórzył mister Vandendulles.

Co za zmartwienie: pieniądze nie chciały się zjawić! Chłopcy patrzyli na niego z nieukrywaną drwiną.

— Ja nie widzieć dolarów! Gdzie moje sto tysięcy dolarów?! — ryknął nieprzytomny ze złości Amerykanin i w tejże chwili stracił przytomność, ogłuszył go bowiem worek, który spadł z impetem, nie wiadomo skąd.

W czasie gdy Hassan zajęty był cuceniem Amerykanina, chłopcy otworzyli worek.

Cała setka porządnie powiązanych kolorowych paczek rozpięła jego płócienne boki. W każdej paczce było po sto dziesięciodolarowych banknotów.

— Dziwny jakiś pierścionek — mruknął Żeńka ze złością. — Porzadnemu człowiekowi żałuje roweru, a takiemu amerykańskiemu spekulantowi ni stąd, ni zowąd, proszę — sto tysięcy dolarów! I to się ma nazywać: „Noś, Katiu, na zdrowie!”

— Rzeczywiście, nic z tego nie można zrozumieć — wzruszył ramionami Wolka.

Tymczasem mister Vandendulles otworzył oczy, zobaczył kupę rozsypanych paczek z dolarami, zerwał się na równe nogi, szybko sprawdził jedną paczkę, przekonał się, że jest w niej akurat sto dziesięciodolarowych banknotów, przeliczył paczki i upewnił się, że jest ich ni mniej, ni więcej tylko sto sztuk. Jednakże uśmiech zadowolenia krótko gościł na czerwonej twarzy Vandendullesa. Za ledwie zdążył związać drżącymi rękami drogocenny worek, już oczy jego znowu zaczęły połyskiwać! wać pożądanym ogniem.

Mocno przycisnął worek do swojej tłustej piersi, znowu obrócił pierścionek i z zacie-trzewieniem krzyknął:

— Za mało mi stu tysięcy! Żeby tu zaraz było sto milionów dolarów. A prędko!

Ledwie zdążył uskoczyć w bok, gdy na trawę z głośnym łoskotem zwałił się ogromny wór wagi dobrych dziesięciu ton. Od wstrząsu worek popękał wzdłuż wszystkich szwów i oto na trawie wzniosł się okazały pagórek stu tysięcy paczek banknotów amerykańskich. W każdej paczce było po sto sztuk.

Podobnie jak poprzednie paczki, i te również zawierały każda po sto dziesięciodolarowych banknotów; banknoty nie różniły się niczym od prawdziwych z wyjątkiem jednego szczegółu: wszystkie miały ten sam numer. Była to cyfra, którą Hassar zdążył zauważyć na

\* Business (ang; czyt: byznes) — interes.

dziesięciodolarowym banknocie, który mu pokazał oszalały z chciwości posiadacz „czarodziejskiego” pierścionka.

Nie ucieszyłby się z tego mister Vandendulles: w każdym banku zwrócono by uwagę na numery asygnacji; numery jednakowe zdarzają się jedynie na fałszywych pieniądzach. Ale mister Vandendulles co innego miał teraz do roboty niż sprawdzanie numerów. Pobladły ze wzruszenia, wygramolił się na szczyt bezcennego pagórka, wypiął pierś niczym postać na pomniku, jak wcielenie handlarskiej chciwości, która się nie zawaha przed żadną podłością, przed najbardziej nawet nieludzką zbrodnią, aby zdobyć jeszcze jedną paczkę pieniędzy, to bowiem w jego ojczyźnie jak i w całym świecie kapitalistycznym daje władzę nad ludźmi. Włosy Vandendullesa były rozwiane, oczy świeciły obłąkanym blaskiem, ręce drżały, serce szaleńczo łomotało w piersi.

— A teraz... a teraz chcę mieć dziesięć tysięcy złotych zegarków wysadzanych brylantami, dwadzieścia tysięcy złotych cygarniczek, trzydzieści..., nie, pięćdziesiąt tysięcy naszyjników z pereł i piętnaście tysięcy starych porcelanowych serwisów!... — ryczał bez przerwy, z trudem uchylając się przed ciężarem spadających na niego niezliczonych bogactw.

— Czego wy tu stać jak panowie?! — krzyknął z wściekłością na Hassana, Wolkę i Żenię; przyjaciele nasi stali opodal i patrzyli na Amerykanina z nie ukrywanym wstrętem. — Wy jest moja niewolniki, wy jest moja sługi! Wy mieć w ta chwile zbierać te rzeczy i układać w jedna kupa. Szibko! Albo ja was wszystkie będę zboksować!

— Wolnego, obywatelu, wolnego! — rozgniewał się Wolka. — Nie jesteś u siebie w Ameryce! Masz tu do czynienia nie z niewolnikami, lecz z wolnymi radzieckimi ludźmi, jeżeli chcesz wiedzieć!

Vandendulles obrócił pierścionek i ryknął wymachując w powietrzu wielkimi spotniałymi pięściami:

— Ja mam życzenie, żeby ten harda staruch i te niesforne, aroganckie radzieckie chłopaki byli mój niewolnik, żeby czyścili moim dzieciaczkom obuwie, żeby byli sługa zawsze do końca życia! Ja mieć jeszcze jeden maleńki życzenie: ja mieć życzenie, aby wszystkie fabryki, kopalnie, wszystkie zakład, wszystkie bank, wszystkie kolej żelazna, samochód i samolot, cały ziemia i wszystkie las w Związek Radziecki należeć do mnie, do moja firma „Harry Vandendulles i synowie”. Tylko do moja firma!... Czy ty mnie słyszeć, czarodziejski pierścień? Natychmiast wypełnij moja rozkaz! Ja być amerykański człowiek od interesu i ja nie mieć czasu czekać... Cała Rosja, cały świat ma należeć do amerykański człowiek interesu!...

— Czy nie wystarczy ci, o czerwonolicy cudzoziemcze, tych bogactw, któreś już otrzymał? — surowo zapytał Hassan.

— Milczeć! — wrzasnął Vandendulles i w pasji zaczął tupać nogami. — Kiedy pan robić business, sługa obowiązek jest milczeć!... Pierścień, spełniaj moja rozkaz! Szibko!... A ciebie, kolorowy dziadyga, ja tak boksować, że ty wiedzieć, jak potrzeba być posłuszna dla swój biały pan!

To powiedziawszy Amerykanin rzucił się z pięściami na Hassana. Ale Wolka i Żenka wczepili się w napastnika z taką siłą, że Vandendulles runął na trawę jak kawał drewna.

— Jak wy śmieć przeszkadzać swój pan zboksować jego niedobry sługa! — wrzeszczał i starał się wstać. — Wy teraz są mój pokorny niewolnik!...

— A wynoś ty się z powrotem do swojej Ameryki, przeklęty imperialisto! — krzyknął Wolka sapiąc głośno. — Precz z naszego kraju!... Żeby tu twoja noga więcej nie powstała! Zmiataj!...

— Niech się tak stanie! — surowo potwierdził słuszność wyrzeczonych przez Wolkę słów Hassan i wyrwał z brody cztery włoski.

W tej samej chwili jakby w ziemię zapadły się worki z dolarami, skrzynie z serwisami, zegarkami i naszyjnikami — słowem, to wszystko, co dał mister Vandendullesowi czarodziejski pierścionek. Sam zaś Amerykanin zaczął nagle bardzo szybko toczyć się po trawie, potem



po ścieżce, oddalając się w tym kierunku, skąd tak niedawno przybył, pełen najpiękniejszych nadziei. Rychło zniknął w dali, pozostawiając za sobą tylko niewielki obłoczek kurzu...

Kiedy chłopcy nieco oprzytomnieli po tym, co zaszło, Wolka odezwał się z głębokim namysłem

— Nic nie rozumiem... Jakież to jest w końcu ten pierścionek? Czarodziejski, czy taki sobie zwykły?

— Oczywiście, że zwykły — z uśmiechem odpowiedział Hassan.

— A dlaczego spełniał życzenia tego amerykańskiego zbója?

— To nie pierścionek, to ja.

— Ty? A po co?

— Przez uprzejmość, o najdociekliwszy z młodzieńców! Czułem się dość głupio wobec tego człowieka. Zaczepiłem go w sklepie, nie dałem mu spokoju, kiedy szedł do domu, dokuzyłem mu niemało, zanim zatrzasnął przede mną drzwi swego mieszkania, nie wypadało mi po prostu nie wypełnić kilku jego życzeń. Ale czarna jego dusza i chciwość sprawiły, że odwróciło się od niego moje serce.

— No chyba! — przyświadczył Wolka.

Gdy wychodzili z ogrodu na ulicę, Hassan nadepnął na jakiś mały, okrągły przedmiot. Był to pierścionczek: „Noś, Katiu, na zdrowie!” Vandendulles zgubił go, kiedy tocząc się starał uchwycić się rękoma trawy.

Staruszek podniósł pierścionek, wytarł go swoją ogromną, jaskrawą, błękitną chustką do nosa i w milczeniu włożył na serdeczny palec prawej ręki.

Wolka, Hassan, a także Żeńka Bogorad dawno już zdążyli wrócić do domu, pójść spać i obudzić się następnego dnia, a mister Harry wciąż jeszcze toczył się i toczył.

Koło godziny ósmej rano dnia następnego w odległości mniej więcej czterechset kilometrów na wschód od Paryża, dziesięcioletnią Francuzkę Jeanne Daque \* przewrócił na drodze do szkoły jakiś szybko toczący się przedmiot, podobny, jak opowiadała później, do mocno wypchanego gałganami worka.

W jakieś pięć godzin potem uwagę rybaka Gastona Charmatier \*\*, naprawiającego sieci na brzegu kanału Pas de Calais \*\*\*, zwrócił niezwykle łomot. Obróciwszy się rybak zauważył, że jakiś ciężki, podłużny przedmiot, przypominający, jaki mu się wydało, kiepsko ociosany i bardzo zakurzony kloc dębowy, skręcił z drogi pod skarpe i błyskawicznie chlupnął do wody, a następnie, przewracając się w niej, szybko począł się oddalać od brzegu. Charmatier, który potrzebował drzewa do naprawy swej chaty, zepchnął szybko na wodę łódkę, lecz mimo że bardzo się starał, w żaden sposób nie mógł dopędzić niezwyklego kłoca.

Pięć okrętów, które płynęły z Ameryki do Europy z bronią i z jajkami w proszku, a również trzy okręty wracające z Europy do Ameryki z surowcem zrabowanym zgodnie z planem Marshalla \*\*\*\*, zaznaczyły w swoich dziennikach okrętowych, że napotkano na wodach otwartego oceanu jakiś dziwny stwór, przypominający z kształtu dużego delfina. Pluł on jak wielbłąd i od czasu do czasu wył niczym zdychająca hiena. Jak wiadomo, delfiny nie plują i nie wyją, a przede wszystkim nie toczą się po falach, lecz pływają przeważnie pod wodą pyskiem do przodu, a grzbietem do góry albo sobie baraszkują..

Z tej przyczyny wszyscy stojący na wachcie oficerowie w liczbie ośmiu uznali za rzecz niezbędną sporządzenie notatki stwierdzającej, że raczej nie był to delfin, tylko jakieś inne zwierzę, dotychczas nauce nie znane.

\* Jeanne Daque (franc.; czyt.: Żan Dak) — Joanna Dak.

\*\* Charmatier franc.; czyt.: Szarmatje.

\*\*\* Pas de Calais — franc.; czyt.: Pa de Kale.

\*\*\*\* Plan Marshalla (czyt.: Marszala) — nazwany tak od nazwiska amerykańskiego ministra, mający pomóc rzekomo powojennej Europie, a w rzeczywistości dążący do podporządkowania jej politycznie i gospodarczo Stanom Zjednoczonym.

Jeden z oficerów, mający specjalną predylekcję do badań naukowych, nader trafnie, choć sam tego nie przypuszczał, nazwał ten niezwykły stwór „szakalem Atlantyku”.

Następnego dnia rano, kiedy zaniepokojona długą nieobecnością męża małżonka mister Vandendullesa zdecydowała się powiadomić władzę o jego zniknięciu, zza oceanu nadeszła nadana szyfrem depeza:

OBECNOŚĆ HARRY VANDENDULLESA STWIERDZONA DZIŚ RANO NA TYŁACH WALL STREET W STANIE NADER ZBRUKANYM STOP NIE MOŻE EWENTUALNIE NIE CHCE DAĆ WYJAŚNIEN JAK SIĘ ZJAWIŁ STOP NA PODSTAWIE DOKŁADNYCH BADAŃ USTALONO ŻE NIE PRZYBYŁ ANI SAMOLOTEM ANI STATKIEM STOP WZYWA DO BEZZWŁOCZNEGO POWROTU MISTRESS VANDENDULLES STOP.

## XXI. Do stadionu droga jest długa

Tego wesołego, słonecznego dnia, kiedy nasi przyjaciele udali się na mecz piłki nożnej, przygody zaczęły się już w poczekalni metra.

— Nie rozumiem, po co stać w kolejce do kasy, kiedy można doskonale skorzystać z automatu — rzekł Wolka i zaraz pobiegł, żeby gdzieś zmienić trzyrubłówkę.

Trzeba było mieć półtora rubla drobnymi, licząc po pięćdziesiątce na każdego z trzech przyjaciół.

W kiosku perfumeryjnym Wolce najzwyczajniej odmówiono, sprzedawczyni lodów oświadczyła, że sama musi mieć drobne, żeby wydawać resztę, ekspedient kiosku ze słodyczami był ciekaw, po co chłopcom tyle drobnych pieniędzy, a kiedy się dowiedział, o co chodzi, radził, żeby kupili bilety; w kasie, gdyż właśnie przed okienkiem nie ma nikogo. Rzeczywiście, kolejki do kasy w tym czasie nie było, Wolka jednak mimo wszystko stanął w ogonku do kiosku, w którym sprzedawano narzan, i po upływie trzech minut mniej więcej wypił szklanekę musującej wody gazowej i otrzymał resztę samymi dwudziesto- i piętnastokopiejkówkami.

— Widzicie, jakie to wszystko proste, wcale nie trzeba stać w kolejce po bilety do kasy — rzekł ochoczo do swoich towarzyszy i wręczył każdemu z nich po jednej monecie dwudziesto- i po dwie piętnastokopiejkowe.

Wolka i Żenia już od dawna trzymali w ręku podłużne czworokąty z cienkiego kartonu tak miło pachnące farbą drukarską, tylko Hassan wciąż jeszcze tkwił przy automacie. Wrzucał bezustannie monety do dziurki, lecz wracały one natychmiast z brzękiem na to miejsce, skąd powinien był wyskoczyć, a wcale nie wyskakiwał — bilet. Staruszek aż spotniał, tak gorliwie i z takim zamiłowaniem powtarzał próby, zsunąwszy kapelusz na tył głowy, skutek był jednak po dawnemu opłakany. Wreszcie Hassan stracił cierpliwość, załamał się i wyznał ze skruchą:

— Niestety, o najczcigodniejsi moi przyjaciele, będziecie musieli jechać beze mnie, albowiem bezsilny jestem wobec tej pięknej stalowej skrzynki. Jest zaczarowana i bez przerwy wypluwa z powrotem pieniądze waszego pokornego sługi. Ręczę, że są to znowu knowania mojego śmiertelnego wroga Dżirdzisa.

— Aleś się uczeplił tego Dżirdzisa! — zaśmiał się Wolka. — Daj mi te twoje monety! Wrzucę je do automatu i wszystko będzie w porządku.

To mówiąc Wolka wrzucił dwie piętnastokopiejkówki i dwudziestkę w otwór najbliższego automatu: bilet zjawił się natychmiast.

— Wielki jesteś i potężny, o Wolko! — rzekł staruszek z nabożnym podziwem. — Schylam czoło przed twoimi zaiste niepojętymi zdolnościami.

— Wcale nie jestem potężny — uczciwie przyznał się Wolka. — Po prostu należy korzystać tylko z tych automatów, które działają.

— Tak czy inaczej, jesteś wielki — z przekonaniem powtórzył Hassan. — Wielki jesteś, albowiem od razu, nie pytając nikogo, odgadłeś, która z tych szafek działa, a która nie działa.

Chłopcy o mało nie parsknęli śmiechem, gdy usłyszeli te słowa pełne naiwności, ale w sam czas sobie przypomnieli, że staruszek jest niepiśmienny, wskutek czego nie mógł przeczytać kartki z napisem, że aparat jest nieczynny.

— Powinieneś się uczyć, Hassanie, w tym sęk! — poważnie rzekł Wolka do staruszka.

## XXII. Druga przygoda w metrze

Wbrew wszelkim przewidywaniom wobec ruchomych schodów Hassan zachował się całkiem spokojnie. Z ciekawością stanął na taśmie znajdującej się w ustawicznym ruchu, nie mającej końca ani początku, która nagle zmieniła się w schody o pięknych metalowych okuciach. Dopiero na dole, na peronie Hassan odezwał się skromnie do swoich młodych towarzyszy:

— Ruchome schody są właściwie rzeczą bardzo prostą. Jeżeli ci to sprawi przyjemność, o Wolko ibn Alosza, dziś jeszcze zmienię w ruchome którekolwiek schody w twoim domu, niech będą błogosławione jego fundamenty, dach, a szczególnie drugie piętro, na którym tak szczęśliwie pędzisz życie.

— Pogadamy o tym później — rzekł Wolka wykręcając się od bezpośredniej odpowiedzi. Miał pewne wątpliwości, czy z propozycji Hassana wyniknie coś sensownego. — Zastanowię się jeszcze nad tym — dodał.

Lecz do zastanowienia się nie przyszło, gdy właśnie w tym czasie z głębi tunelu dał się słyszeć głuchy łoskot zbliżających się wagonów, zabłyśły w mroku reflektory pierwszego wozu, ryknęła ostrzegawczo syrena i na peronie zatrzymał się elegancki, rześcicie oświetlony pociąg.

— Pakujemy się do drugiego wagonu! — zakomenderował zdenerwowany Wolka i nagle zauważył, że Hassan znikł. Obaj chłopcy rzucili się w tłum ludzi, wołając z niepokojem:

— Hassanie! Gdzie się podziewasz. Hassanie?!

— Tu jestem, o przyjaciele moi! Tu jest wasz nieszczęsny sługa! — dotarł do ich uszu skądś z daleka smutny głos zaginionego staruszka.

Wkrótce go zobaczyli. Usiłował zbiec na ulicę tymi samymi schodami, które przed chwilą przywiozły ich na peron. Wysiłki Hassana nie zdały się jednak na nic: zanim postąpił osłabłymi ze strachu nogami parę kroków naprzód, schody akurat na tę samą odległość zsuwały się w dół. W ten sposób staruszek przestępował z nogi na nogę, lecz pozostawał ciągle w tym samym miejscu niczym wiewiórka w kole.

— Zejdź ze schodów! — zawołał z dołu Wolka.

Ale staruszek, widać, ani rusz nie mógł się domyślić, jak ma to zrobić, choć wystarczyło, żeby zwrócił się twarzą do peronu. Wolka musiał wbiec po schodach, które szły do góry, i następnie zjechać w dół do Hassana, wciąż drepczącego na tym samym miejscu.

Bilet Wolki stał się nieważny, na kupowanie nowego nie było czasu, siły bowiem staruszka mogły się przez ten czas wyczerpać ostatecznie.

— Dopiero co byłem na dole — rzekł Wolka do kontrolerki, z trudem chwytając oddech. — O, widzicie, tam ugrzął mój staruszek.

— Pewnie pierwszy raz w metrze? — ze zrozumieniem pokiwała głową kontrolerka i pozwoliła Wolce przejść ze starym biletem.

Po upływie kilku sekund Wolka przedostał się do Hassana, odwrócił go twarzą do peronu i pomyślnie zjechał ze staruszką w dół.

— Czemuś ty nawiał, nierozsądny człowieku? — zapytał chłopiec.

— Zobaczyłem, o władco mój, jak z podziemia z łoskotem wysunął się potwór z ognistymi oczyma, jakże więc mogłem nie uciec? Nie jestem tchórzem lecz wymień mi choć jednego dzinna, który by się nie zląkł na widok tych straszliwych oczu.

— Cóż to jest, daję słowo! — mówił przez łyzy zdesperowany Wolka. — Zaklinałeś się przecież, że się nie będziesz bał metra!

— Co do metra wcale się nie zaklinałem. Obiecałem ci, że się nie będę bał, i rzeczywiście już się nie boję: autobusów, trolejbusów, ciężarówek, tramwajów, ruchomych schodów, maszyn do pisania, patefonów, głośników radiowych, odkurzaczy, wyłączników elektrycznych, maszynek „Prymus”, ślizgaczy, wentylatorów i gumowych piszczących zabawek. O metrze nawet wzmianki nie było.

Staruszek miał słuszość. O metrze Wolka wtedy zapomniał.

— To nie żaden potwór, tylko zwykły pociąg kolejki podziemnej! Proszę cię, jeśli łaska, nie zatrzymuj nas dłużej z powodu swoich głupich strachów!

Zaczęli biec przez peron do pociągu, który przyjechał przed chwilą, i przy wydatnej pomocy łokci usiłovali dostać się do wnętrza wagonu. Ludzi było mnóstwo, pociąg przyjechał już przepełniony; kiedy z daleka dał się słyszeć okrzyk kierownika pociągu: „Odjazd!”, automatyczne drzwiczki wagonów bezszelestnie się zamknęły. Pociąg ruszył pozostawiając Hassana na opustoszałym peronie.

Staruszek spóźnił się o jedną sekundę: chciał tylko rzucić okiem, kto woła „Odjazd!”

### XXIII. Trzecia przygoda w metrze

Tego nowego nieszczęścia staruszek już nie wytrzymał. Zaczął biegać tam i z powrotem po opustoszałym peronie i, zawzięcie wrywając włosy z brody, zawodził na cały głos:

— O biada mi, biada, nieszczęśliwemu dzinnowi Hassanowi Abdurrachmanowi ibn Chottab! Co ja tu pocznę sam jeden w tym tajemniczym, podziemnym pałacu?

Przyszedł dyżurny stacji, zobaczył rozrzucone na peronie, wydarte z brody włosy i rzekł:

— Obywatelu, w metrze należy zachowywać ciszę... i czystość...

„Zgubiony jestem! — pomyślał Hassan. — Zgubiony ostatecznie!”

Przestraszył się tego uprzejmego młodego człowieka w czerwonej czapce nie mniej niż pociągu.

Nawet sam Wolka odnosił się do dyżurnego stacji z szacunkiem, więc staruszek poczuł, że marny jego los, i postanowił przynajmniej drogo sprzedać swoje życie.

Na szczęście dyżurny wrócił do zaczętej rozmowy i Hassan natychmiast zmienił decyzję.

— Obywatelu staruszku — przychylnie mówił dyżurny — całkiem niepotrzebnie się martwicie. Zaraz będzie następny pociąg i spokojniutko dojedziecie sobie tam, dokąd zamierzacie dojechać.

Hassan chciał coś na to odpowiedzieć, poskarżyć się na swój ciężki los, lecz nagle uczył, że ze strachu i z nadmiernej emocji zapomniał, jak się mówi po rosyjsku.

Zamruczał coś po arabsku; dyżurny ze smutkiem rozłożył ręce.

— Wobec tego, obywatelu, pozwólcie za mną do pokoju dyżurnego ruchu, odpoczniecie tam sobie, a ja tymczasem wykombinuję kogoś, kto umie po waszemu.

Delikatnie ujął Hassana pod rękę i chciał go zaprowadzić do pokoju dyżurnego, gdzie — kto wie, na jak długo — staruszek by ugrzązł, gdyby nie to, że z przeciwnej strony przed peron zajechał nowy pociąg i że z tego pociągu wyskoczył Wolka, a za nim Żenia, i że co sił w nogach popędzili do Hassana.

— Jest! Jest! — krzyczeli obaj. — Ale mamy kram z tobą, Hassanie!

Zjawiła się skądś sprzątaczką z miotełką. Zmiotła kłaki z Hassanowej brody i wrzuciła je do kosza na śmieci, akurat w tej chwili kiedy Hassan ze swoimi przyjaciółmi usadowił się nareszcie w jasno oświetlonym wagonie metra. Dojechali nim już pomyślnie do stacji „Dynamo”.

## XXIV. Zbywające bilety

W dniach kiedy odbywają się mecze piłki nożnej, cała ludność Moskwy dzieli się na dwa obozy, które nawzajem się nie rozumieją. W jednym obozie są entuzjaści piłki nożnej, w drugim — dziwni ludzie, którzy zachowują się całkowicie obojętnie w stosunku do tej tak bardzo pociągającej gałęzi sportu.

Pierwsi zawczasu, znacznie wyprzedzając godzinę rozpoczęcia zawodów, mkną ze wszystkich krańców miasta w kierunku wysokiej bramy stadionu „Dynamo”. Na ludzi, którzy udają się w tym czasie w stronę przeciwną, do śródmieścia, patrzą ze świadomością swojej wyższości.

Natomiast pozostali mieszkańcy Moskwy bez najmniejszego zrozumienia wzruszają ramionami na widok setek przepełnionych tramwajów, autobusów, trolejbusów oraz tysięcy samochodów osobowych wolno posuwających się wśród burzliwego i huczącego morza zdążających pieszo sympatyków sportu.

Lecz nawet pozornie jednolitym obozem entuzjastów piłki nożnej w gruncie rzeczy targają w owych dniach najgłębsze, nierozwiązalne sprzeczności. Nie widać tego, dopóki ci entuzjaści są w drodze, ale przy tajemniczej bramie stadionu sprzeczności występują od razu w całej ostrości i bezkompromisowości. Wtedy się nagle okazuje, że niektórzy obywatele mają bilety, inni znów ich nie mają. Ci, którzy bilety mają, godnie i statecznie wchodzi na stadion. Pozostali miotają się z minami zatroskanymi i na wszystkich zbliżających się obywateli rzucają się z okrzykiem, w którym brzmi żal: „Obywatelu, czy nie macie przypadkiem zbywającego biletu?”

Lecz zbywające bilety, jak to łatwo przewidzieć, zdarzają się rzadko, amatorów zaś na nie jest takie mnóstwo, że Wolka i jego przyjaciele nic by nie wskórali, gdyby Hassan nie puścił w ruch swojej sztuki.

— Z miłą chęcią i zadowoleniem — oznajmił Wolce w odpowiedzi na jego prośbę. — Za chwilę będziecie mieli biletów, ile tylko zechcecie.

Rzeczywiście, nie przebrzmiało jeszcze ostatnie wypowiedziane przez staruszkę słowo, a już w rękę jego znalazła się cała paczka zielonych, niebieskich, różowych i żółtych biletów.

— Czy ci wystarczy tyle tych różnokolorowych papierowych kartek, o wspaniały Wolko? Jeżeli jeszcze za mało, to... — Hassan machnął ręką z biletami i o mało za gest ten

nie zapłacił życiem.

— Ojej! Zbywające bilety! — krzyknął radośnie jeden z entuzjastów sportu i ze wszystkich sił rzucił się w kierunku Hassana.

W ciągu kilku sekund nie mniej niż półtora setki rozgorączkowanych obywateli przyciskało Hassana do betonowego ogrodzenia stadionu. Staruszek żywy by stamtąd nie wyszedł, gdyby nie to, że Wolka odbiegł o parę kroków w bok i ryknął z całej siły:

— Obywatele! Komu bilety zbywające, komu?

Na dźwięk tych czarodziejskich słów wszyscy ci, którzy osaczyli zdeorientowanego całkowicie Hassana, hurmem rzucili się ku Wolce, on zaś dał nura w tłum i jakby się pod ziemię zapadł. Upłynęła jeszcze minuta i oto Wolka, Żenia i Hassan, po okazaniu kontrolerowi przy północnej bramie trzech biletów, wchodzili na stadion, zostawiając poza sobą tysiące ludzi, którym mimo wszystko nie udało się tego dnia dostać na mecz.

## XXV. Znów „eskimo”

Gdy nasi przyjaciele usadowili się wreszcie na swoich miejscach, podeszła do Hassana młoda dziewczyna w białym fartuszkach, z równie białą, lakierowaną skrzynką, przewieszoną na pasku przez ramię.

— Czy można zaproponować „eskimo”? — zapytała i w tejże chwili krzyknęła z przerażenia.

Bądźmy sprawiedliwi — każdy na jej miejscu przeraziłby się tak samo.

No, bo rzeczywiście, jakiej odpowiedzi sprzedawczyni „eskimo” mogła się spodziewać? W przypadku pomyślnym: „Z przyjemnością. Poproszę o dwie porcje”. W gorszym przypadku: „Nie. Dziękuję. Na razie nie skorzystam”.

A tymczasem — czy sobie to wyobrażacie? — staruszek w sztywnym słomkowym kapeluszu, usłyszawszy uprzejme pytanie dziewczyny, nagle poczerwieniał jak pomidor, oczy mu nabiegły krwią, cały się naindyczył, groźnie pochylił naprzód i zasyczał przerażającym szeptem:

— A-a-a! Chcesz mnie zwieść swoim przeklętym „eskimo”? Otóż nie! Nie uda ci się, nędzniczo! Na całe życie mam dość tych czterdziestu sześciu porcji, które ja — stary dureń — zjadłem w cyrku, wskutek czego o mało się nie udałem do krainy ojców. Drzyj, nieszczęsna, albowiem za chwilę zmienię cię w ohydny ropuchę!

To rzekłszy Hassan wstał i uniół nieco ponad głowę swoje chude, pomarszczone ręce; lecz siedzący obok niego chłopiec o piegowatej twarzy i wypłowiałych na słońcu brwiach uwiesił się u rąk staruszka i z przerażeniem zawołał:

— To nie jej wina, żeś ty się przez łakomstwo obzałł lodów!... Usiądź, proszę cię, na miejscu i nie rób głupstw!

— Jestem posłuszny woli twojej i rozkazom, twoim — z pokorą odpowiedział staruszek. Spuścił ręce w dół, zajął swoje miejsce, zwracając się zaś do przestraszonej sprzedawczyni rzekł tonem upomnienia: — Możesz iść. Przebaczam ci. Odejdź w pokoju i bądź do końca dnia twoich wdzięczna temu chłopięciu, albowiem on ci uratował życie.

Dziewczyna aż do zakończenia rozgrywek więcej się już nie zjawiała w tym przejściu.

## XXVI. Ile powinno być piłek?

A tymczasem na stadionie musowało to szczególne, odświętne życie, które kipi tam zawsze podczas wszystkich decydujących zawodów piłki nożnej. Grzmiało radio. Osiemdziesiąt tysięcy ludzi, usadowiwszy się każdy na swoim miejscu, z zapalem rozprawiało na temat przyszłych wyników mającego nastąpić spotkania. Na skutek tych rozmów w powietrzu brzęczał nieustannie jednostajny, nie dający się z niczym porównać gwar głosów ludzkich. Wszyscy z niecierpliwością czekali na rozpoczęcie gry.

I oto wreszcie na szmaragdowozielonym boisku zjawił się sędzia, a z nim jego pomocnicy. Sędzia miał w ręku piłkę, której dnia tego sądzone było wytrzymać niemało uderzeń, a także przelecieć po ziemi i w powietrzu niejeden kilometr po to, by trafiwszy o kilka razy za wiele do czyjejs bramki, tym samym zdecydować, której z drużyn ma przypaść zwycięstwo. Sędzia położył piłkę na samym środku boiska. Obie drużyny wybiegły ze swoich szatni i ustawiły się dwoma szeregami naprzeciwko siebie. Kapitanowie wymienili uścisk dłoni, ustalono przez losowanie, która drużyna ma grać pod słońce. Ten przykry los przypadł w udziale drużynie zrzeszenia sportowego „Dłuto” ku wielkiej radości drużyny klubu „Śruba” i pewnej części „kibiców”.

— Czy nie uważasz za możliwe, o Wolko, abyś wyjaśnił twemu niegodnemu sędze, do czego będzie używało piłki tych dwudziestu dwóch tak sympatycznych młodych ludzi? — z szacunkiem poinformował się Hassan.

Ale Wolka zamiast odpowiedzi rzucił niecierpliwie:

— Zaraz wszystko sam zrozumiesz!

W tej właśnie chwili gracz drużyny „Dłuto” wyrznął czubkiem sportowego trzewika w piłkę i zawody się rozpoczęły.

— Czy tych dwudziestu dwóch sympatycznych j młodych ludzi będzie musiało biegać po tak rozległym placu, trwoniąc siły? Czy muszą się przewracać i potrać jedynie po to, by mieć możliwość przez kilka krótkich chwil poturlać tę niepozorną skórzaną piłkę? I to dlatego, że dano im tylko jedną piłkę na wszystkich? — niechętnie zapytał Hassan po upływie kilku minut.

Ale Wolka pochłonięty grą nie odpowiedział na pytanie staruszka. Nie w głowie mu był Hassan: atak „Śruby” zawładnął piłką i zbliżał się coraz bardziej ku bramce „Dłuta”.

— Wiesz co, Wolka? — szepnął Żenia do przyjaciela. — To prawdziwe szczęście, że z Hassana jest zupełny tuman, jeżeli chodzi o piłkę nożną. Inaczej narobiłby nam tu takiego bigosu, że retyle!

— Mnie się też tak zdaje — zgodził się Wolka ze zdaniem przyjaciela, lecz nagle jęknął z przerażenia i zerwał się ze swego miejsca.

Jednocześnie z Wolka skoczyli na równe nogi wszyscy pozostali widzowie — całe osiemdziesiąt tysięcy ludzi — a po stadionie przebiegł niespokojny szmer. Potem odezwał się przenikliwy gwizdek sędziego: gracze zresztą i bez tego znieruchomieli na swoich miejscach.

Wydarzyła się rzecz niesłychana w historii piłki nożnej, a z punktu widzenia praw przyrody niewytłumaczalna: skądś z góry, po prostu z nieba, spadły i zaczęły toczyć się po boisku dwadzieścia dwie piłki o niezwykle żywych barwach. Wszystkie ze wspaniałego safianu.

— To skandal! To niebywały wybryk! Któż to pozwoli! sobie na tak niewłaściwe żarty! — ze wzburzeniem wołano na trybunach.

Oczywiście, winowajcę należało natychmiast usunąć ze stadionu, a nawet oddać w ręce milicji, Lecz nie było nikogo, kto by go potrafił wykryć. Tylko trzy osoby spośród osiemdziesięciu tysięcy widzów — a mianowicie Hassan i dwaj jego młodzi przyjaciele — wiedzieli,

kto był tym winowajcą.

— Coś ty narobił?! — szepnął Hassanowi do ucha Wolka. — Przerwałeś całą grę i pozbawiłeś graczy „Śruby” murowanego gola!

Co się tyczy nieszczęścia „Śruby” — to, mówiąc nawiasem, Wolka stwierdził ten fakt bez szczególnego żalu: sprzyjał bowiem drużynie „Dłuto”.

— Chciałem, żeby było jak najlepiej — również szeptem tłumaczył się zakłopotany Hassan. — Myślałem, że wygodniej będzie, jeżeli każdy z graczy będzie miał możliwość bez potrącania innych i bez tego zwariowanego ganiańca po olbrzymim placu grać sobie, ile dusza zapagnie, własną piłką.

— No, sam powiedz, Hassanie, co ja mam z tobą począć! — bezradnie rozłożył ręce Wolka i, usadowiwszy staruszka na dawnym miejscu, zaczął mu pośpiesznie wyklądać podstawowe zasady gry w piłkę nożną. — Szkoda tylko — dodał — że drużynie „Dłuto” wypa-  
dło grać pod słońce, bo w drugiej połowie gry, kiedy drużyny zamieniają się miejscami, słońce nie będzie już nikomu przeszkadzało. W ten sposób „Śruba”, nie wiadomo z jakiej racji, znalazła się w warunkach znacznie dogodniejszych — z naciskiem zauważył Wolka na zakończenie. Miał nadzieję, że Hassan słowa jego weźmie pod uwagę.

— Rzeczywiście, to nie jest sprawiedliwe — uznał słuszność tej uwagi Hassan i w tejże chwili; słońce schowało się za małą chmurką i nie wypłynęło już aż do końca gry.

Tymczasem z boiska uprzątnięto zbędne piłki, sędzia zaprotokołował czas, który upłynął na próżno, i gra potoczyła się dalej.

Dzięki wskazówkom Wolki Hassan zaczął się przyglądać zawodom z coraz większym zainteresowaniem. Gracze „Śruby”, którzy w wyniku dziwnej historii z dwudziestu dwiema piłkami stracili murowanego gola, grali teraz nerwowo i często „sypali”. Staruszek czuł się wobec nich winny i dręczyły go wyrzuty sumienia.

## XXVII. Hassan bierze udział w grze

Tak to w fatalny sposób sympatie Wolki Kostylkowa rozeszły się z sympatiami Hassana Abdurrachmana ibn Chottab. Kiedy pierwszy z nich promieniał z radości (co działo się za każdym razem, gdy jakiś gracz z drużyny „Śruba” nie trafiał piłką w bramkę przeciwnika), staruszek siedział ponury jak gradowa chmura. Za to kiedy atak „Dłuto” strzelał mimo bramki „Śruby”, obraz wyraźnie się zmieniał: Hassan był uszczęśliwiony i śmiał się wesoło, a Wolka okropnie się złościł.

— Nie rozumiem, Hassanie, co ty w tym widzisz zabawnego? O mały włos, a mieliby gola.

— „Mały włos” się nie liczy, o najdroższy z drogich! — odrzekł Hassan powtarzając zasłyszane gdzieś powiedzonko.

Staruszek, który po raz pierwszy w swoim życiu zetknął się z grą w piłkę nożną, nie wiedział jeszcze, że bywają tak zwani „kibice”. Zmartwienie Wolki z tej racji, że słońce świeciło w oczy drużynie „Dłuto”, potraktował jako prostą troskę chłopca o sprawiedliwość. Tego zaś, że sam stał się „kibicem” sprzyjającym jednej ze stron, nie podejrzewał, rzecz prosta, wcale; nie miał co do tego żadnych podejrzeń również i Wolka. Był bowiem bez reszty pochłonięty tym, co się działo na boisku i na nic więcej nie zwracał uwagi. To właśnie stało się bezpośrednią przyczyną niezwykłych wypadków, które rozegrały się dnia tego na stadionie.

Zaczęło się od tego, że w pewnej chwili, kiedy napięcie było po prostu wyjątkowe, jako



że atak „Dłuta” zbliżał się do bramki „Śruby”, Wolka pochylał się do ucha Hassana i namiętnym szeptem; zaczął go błagać:

— Hassanie najdroższy, rozszerz z łaski swojej choćby o tyciutko bramkę „Śruby”, kiedy „dłutowcy” zaczną w nią walić.

Staruszek nastroszył się.

— Jakież by gracze „Śruby” mieli stąd pożytek?

— Niech się „Śruba” obejdzie smakiem. Pożytek będą mieli tamci z „Dłuta”.

Staruszek nie odpowiedział. „Dłutowcy” znowu „sypnęli” się. A po upływie dwóch czy trzech minut jakiś dryblas z ataku „Śruby” przy akompaniamencie przychylnych wrzasków widowni strzelił klasycznego gola w bramkę „Dłuta”.

— Ty! Jegoruszka! Proszę cię, nie kpij ze mnie — rzekł półgłosem bramkarz drużyny „Dłuto” do jednego z rezerwowych, kiedy gra na krótki czas przeszła na stronę „Śruby” — gotów jestem przysiąc, że słupek mojej bramki podgrywa na korzyść „Śruby”.

— Cooo?

— Wyobraź sobie, kiedy wbili nam tego gola, prawy słupek bramki — ręczę rzetelnym słowem uczciwości — prawy słupek... odsunął się o jakies... no, chyba z pięćdziesiąt centymetrów w bok, aby wpuścić piłkę... Na własne oczy widziałem.

— Temperaturę mierzyłeś?

— Komu? Bramce?

— Nie, sobie. Musisz mieć wysoką gorączkę.

— Tfu! — splunął ze złością bramkarz i z furią poderwał się w obronie zagrożonej bramki.

Tymczasem gracze „Śruby”, sprytnie wymijając obronę, w błyskawicznym tempie zbliżali się do bramki „Dłuta”.

Trach! Nowy gol w ciągu trzech minut. Trzeba dodać, że oba razy nie z winy bramkarza drużyny „Dłuto”. Bramkarz walczył jak lew. Ale czyż mógł coś na to poradzić? W chwili strzału poprzeczka bramki podniosła się sama przez się akurat o tyle żeby piłka mogła przejść, zaczepiwszy nieznacznie o koniuszki jego palców.

Komu by tu o tym donieść? I kto w taką rzecz uwierzy? Bramkarz uczuł, że robi mu się strasznie smutno na duszy, jakby był małym chłopczkiem który znalazł się nagle sam jeden w nocy w dzikim lesie.

— Widziałeś? — rzucił pytanie Jegoruszce głosem beznadziejnym.

— Coś... coś... mi się... zda-zda-je, że widziałem. — odpowiedział zacinając się rezerwowy gracz. Ale... n-nie trze-ba gadać. I tak nikt nie uwierzy.

— Otóż to właśnie: nikt nie uwierzy — westchnął żałośnie bramkarz „Dłuta”.

W tym samym czasie na północnej trybunie dojrzewiała powoli awantura.

Rzecz przedstawiała się tak: na sekundę przed drugim golem Wolka zauważył, że staruszek wydarł sobie ukradkiem z brody jeden włos.

„Po co on to robi?” — z niepokojem pomyślał chłopiec, wciąż jeszcze nie uświadamiając sobie, co za wydarzenia dojrzewają na boisku.

Ale i ta myśl nie przyszła mu od razu.

Zbyt niepomysłny obrót dla „Dłuta” przybierały dzisiejsze zawody. Nie w głowie mu był teraz staruszek.

Za to trzeci gol wbity w bramkę „Dłuta” rzucił od razu właściwe światło na towarzyszące grze okoliczności.

Sytuacja była taka: zbliżał się koniec pierwszej połowy meczu i szczęście nareszcie jak gdyby uśmiechnęło się do drużyny „Dłuto”. Gra przeszła na stronę „Śruby”. Drużyna „Dłuto” dosłownie wychodziła ze skóry i wkrótce najlepszy gracz z ich ataku z nieprawdopodobną siłą strzelił piłką w górny róg bramki „Śruby”. Wszyscy widzowie, jak ich było osiemdziesiąt tysięcy ludzi, rozgorączkowani do najwyższego stopnia, zerwali się ze swoich miejsc. Tak

całkowicie pewny gol powinien był przechylić grę na korzyść „Dłuta”. Wolka i Żenia, obaj sympatyzujący z drużyną „Dłuta”, radośnie do siebie mrugnęli, lecz w tejże chwili musieli westchnąć z głębokim rozczarowaniem: cios był celny, a jednak piłka odbiła się o poprzeczkę bramki i to z taką siłą, że echo rozległo się po całym stadionie.

Odgłos uderzenia złał się z okrzykiem, który wydarł się z piersi bramkarza „Śruby”; poprzeczka bramki obniżając się oszczędziła mu gola, za to wyrznęła go boleśnie w głowę. I oto Wolka naraz zrozumiał wszystko. Ogarnęło go przerażenie.

— Hassanie Abdurrachmanie ibn Chottab — rzekł drżącym głosem — co to znaczy? Wszak wiesz, że my obaj — ja i Żenka — sympatyzujemy z drużyną „Dłuto”! A ty, jak widać, wprost przeciwnie, sprzyjasz „Śrubie”?

— Niestety, o błogosławiony, jest tak, jak powiedziałeś — odrzekł staruszek. W głosie jego brzmiała udręka.

— Czyż nie wyzwoliłem cię, gdyś siedział uwięziony w glinianym garnku? — z goryczą ciągnął Wolka.

— Słowa twoje są tak prawdziwe, jak to, że teraz jest dzień, i nie mniej prawdziwe niż to, że czeka cię wielka przyszłość — odpowiedział Hassan tak cicho, że słów jego prawie nie było słychać.

— Więc dlaczego podgrywasz na rzecz „Śruby”, a nie na korzyść „Dłuta”?

— Niestety, nie mam władzy nad moimi postępkami — ze skrucłą wyznał Hassan i wielkie jaki groch łzy zaczęły płynąć po jego pomarszczonej twarzy. — Strasznie bym chciał, żeby wygrała „Śruba”.

## XXVIII. Sytuacja się zaostrza

— Zobaczysz — rzekł na to Wolka — zobaczysz! To się skończy skandalem.

— Niech będzie, co być musi.

W tym momencie bramkarz „Dłuta” pośliznął się na całkiem suchym miejscu i po raz trzeci pozwolił piłce trafić w bramkę.

— Ach, tak? — zgrzytnął zębami Wolka. — To znaczy, że nie rozumiesz, Hassanie, gdy mówię do ciebie po dobroci? Ślicznie!

Mówiąc to skoczył na ławkę, wyciągnął palec w stronę siedzącego tuż przy jego nogach Hassana i zawołał:

— Obywatele! On podgrywa przez, cały czas na korzyść „Śruby”.

— Kto podgrywa?... Sędzia podgrywa? Co wy mówicie? — pytali wokół wzburzeni widzowie.

— Ależ nie! Wcale nie sędzia! Co ma do tego sędzia?... O, ten stary podgrywa! Nie zawracaj mi głowy, bardzo cię proszę!

Ostatnie słowa Wolki zwrócone były do Żeni, który z przestachem szarpał przyjaciela za rękaw. Żenia rozumiał, że kłótnia z Hassanem na nic się nie zda.

Ale Wolka wciąż jeszcze nie dawał za wygraną, chociaż nikt jego słów nie brał poważnie.

— Utrzymujesz zatem — odezwał się do Wolki któryś z widzów, a wszyscy dookoła aż pokładali się ze śmiechu — utrzymujesz zatem, że ten starowina stąd, z północnej trybuny, nie wiadomo po co, całkiem bez sensu przesuwają bramki? Hi hi-hi! Na pewno ma w kieszeni specjalny przyrząd. Naciska go i przestawia w ten sposób bramki nawet na odległość. A może to ten sam staruszek, co narzucał przedtem piłek na boisko?

— A pewnie! Ten sam! — z całym okrucieństwem oznajmił Wołka, lecz słowa jego wywołały jedynie nowy wybuch śmiechu.

— To i trzęsienie ziemi w Chile jest zapewne sprawką tego staruszka? Ho-ho-ho! Cha-cha-cha! Hi-hi-hi!

— Nie, w Chile, to nie on winien — uczciwa stwierdził Wołka.— Trzęsienie ziemi jest skutkiem katastroficznych ruchów skorupy ziemskiej. Tym bardziej że w Chile... A on, on się bardzo niedawno wydostał z glinianej butelki.

— Wiesz co, przyjacielu — rzekł życzliwie do chłopca jakiś niemłody już „kibic”, kiedy śmiech się nieco uciszył — sam się lepiej nie dawaj nabijać w butelkę. Nie ośmieszaj się przed ludźmi, nie gadaj głupstw i nie przeszkadzaj innym przyglądać się grze. Tam się zresztą, bracie, taki mętnik zrobił, że i bez wysłuchiwania twoich bzdur niedobrze się robi. (Obywatel, który to mówił, również sprzyjał drużynie „Dłuto”).

Rzeczywiście do przerwy pozostało jeszcze jednaście minut, a wynik był 14 : 0 na korzyść „Śruby”.

Z drużyną „Dłuto” przez cały czas działy się jakieś dziwne historie. Jak gdyby wszyscy gracze raptem oduczuli się grać: prowadzili piłkę zdumiewająco bezradnie i bezmyślnie. Przy tym co chwila się przewracali, jakby dopiero co nauczyli się chodzić.

A w dodatku całkiem bez pojęcia zachowywała się też obrona. Starzy, wypróbowani mistrze na sam widok piłki z przestachem uskakiwali na bok, jakby to była co najmniej bomba, która lada moment może wybuchnąć.

15 : 0!

16 : 0!

18 : 0!

23 : 0!

Przeciętnie co czterdzieści sekund piłka strzelała w bramkę drużyny „Dłuto”.

Co się stało bramkarzowi? Dlaczego przyłgął twarzą do słupka i kiedy tamci walą w jego bramkę, wykrzykuje tylko: „Oj mamusiu!”?

Czemu nagle ni z tego, ni z owego spogląda wkoło rozmarzonymi oczyma i opuszcza swoją bramkę w chwili najbardziej decydującej, kiedy walka wre tuż koło pola karnego?

— Hańba! — krzyczano z trybun.

— Skandal! Jak ty grasz?

A on — słynny bramkarz pierwszej klasy — mimo to wciąż usuwał się niepewnym krokiem w bok od bramki na sam widok zbliżających się graczy „Śruby”.

— Co się z tobą dzieje? — pytał rezerwowy, któremu aż się słabo robiło, gdy na to patrzył. — Czyś ty na głowę upadł?

— Naprawdę — odpowiadał mu z jękiem bramkarz — chyba upadłem na głowę. Takie mam uczucie, jak gdyby mnie ktoś trzymał za kark i ciągnął. Ja się nie daję, a ten ktoś mnie wypycha z bramki. Ja do piłki, a tamten przyciska mnie do słupka, i to tak, że oderwać się nie mogę.

— Oj, coś niedobrze z tobą, Grisza!

— Lepiej nie gadaj!...

Lecz gracze „Dłuta” przerwali wreszcie linię ataku i pomocy „Śruby” i zaczęli szybko prowadzić piłkę w kierunku bramki.

Obrona „Śruby” wskutek długiej beczynności rozkleiła się i nie potrafiła szybko zmobilizować się do walki z nieoczekiwanym niebezpieczeństwem. A bramkarz? Bramkarz najspokojniej w świecie siedział sobie na trawce i łuskał pestki.

Zanim krztusząc się nie dogryzionymi ziarnkami zerwał się z miejsca, gracze „Dłuta” strzelili w nie bronioną bramkę, trafiając w sam jej środek.

— Hassanie, drogi, kochany, pozwól, żeby się „dłutowcy” chociaż jako tako odegrali! — wołał błagalnie Wołka.

Ale Hassan udawał, że nie słyszy, i piłka, wymierzona prościuteńko w środek bramki, nagle skręciła w lewo, po czym uderzyła z taką siłą w słupek, że odbiła się i poleciała z powrotem jak żywa przez boisko, oględnie ominęła wszystkich napotkanych po drodze „dłutowców”, aż wreszcie miękko wtoczyła się do bramki „Dłuta”, które dnia tego doświadczyło już tylu porażek.

24 : 0! Wobec wyrównanego poziomu obu drużyn taki stosunek wydawał się po prostu czymś niepojętym.

Wtedy to Wolka całkiem stracił panowanie nad sobą.

— Żądam, rozkazuję ci wreszcie, żebyś bezzwłocznie położył kres temu naigrawaniu się! — syknął głośnym szeptem do Hassana. — A jeżeli nie, to na zawsze zrywam z tobą przyjazne stosunki. Wybieraj: ja albo „Śruba”. Sam przecież jesteś miłośnikiem gry w piłkę nożną, tedy czyż naprawdę nie możesz mnie zrozumieć?

Wyraz twarzy Wolki wskazywał aż nazbyt wyraźnie, że tym razem może przyjść do zerwania jego przyjaźni z Hassanem, co widząc staruszek jęknął:

— Z pokorą czekam rozkazów twoich.

— Chłopcy z „Dłuta” nie są temu winni, że ty masz większą sympatię dla „Śruby”. Okryłeś ich hańbą w oczach całego kraju. Zrób więc tak, aby dla wszystkich było oczywiste, że „dłutowcy” przegrali nie z własnej winy.

— Jestem posłuszny woli twojej i rozkazom twoim, o młody bramkarzu duszy mojej!

Nie umilkł jeszcze ogłaszający przerwę gwizdek sędziego, kiedy nagle wszyscy gracze zrzeszenia sportowego „Dłuto”, jak ich było jedenastu, zaczęli jak na komendę kichać i kaszleć.

Ustawili się byle jak jeden za drugim i, ospale powłócząc nogami, ruszyli znużonym truchcikiem do szatni, kichając i kaszląc bez przerwy.

Po upływie minuty wezwano lekarza, gdyż cała drużyna czuła się dziwnie słabo. Doktor zbadał wszystkim puls, zażądał, aby zdjęli sportowe koszulki, obejrzał gardła, po czym z kolei wezwał do szatni sędziego.

— Cała rzecz w tym — rzekł — że trzeba będzie mecz odłożyć, a wyniki gry uznać za nieważne...

— Jak to?... I właściwie... dlaczego?

— Dlatego, że drużynie „Dłuto” — odpowiedział mocno zakłopotany lekarz — nie wolno będzie przychodzić na boisko co najmniej przez siedem dni. Wszyscy bez wyjątku są chorzy.

— Chorzy? Ale na jaką chorobę?

— Przypadek bardzo dziwny z medycznego punktu widzenia. Wszyscy, jedenastu całkiem dorosłych ludzi zachorowało na taką chorobę dziecięcą, jak odra. Nigdy bym sam w to nie uwierzył, gdybym ich przed chwilą jak najdokładniej nie zbadał.

Tak się skończyły jedyne w dziejach piłki nożnej zawody, podczas których „kibic” miał możliwość wywrzeć bezpośredni wpływ na przebieg rozgrywek. Jak widzicie, nie wyszło z tego nic dobrego.

Nader rzadki fakt, że dorośli sportowcy po raz drugi w swoim życiu i w dodatku wszyscy jednocześnie dostali odry, a dnia następnego obudzili się zupełnie zdrowi — był szczegółowo opisany w artykule znanego profesora L. I. Koklusza i ogłoszony w lekarskim czasopiśmie naukowym „Odra i jej objawy, miesięcznik nader ciekawy”. Artykuł nosił tytuł: „A to ci heca!” i miał tak duże powodzenie, że absolutnie w żadnej bibliotece nie można było potem dostać numeru pisma, w którym został ogłoszony. Ustawicznie jest on w czytaniu. Wobec tego nie szukajcie go, drodzy czytelnicy. Znaleźć go — nie znajdziecie, a waszego czasu przecie szkoda.

## XXIX. Pojednanie

Chmurka, która zasłoniła słońce, po wykonaniu swego zadania odplynęła za horyzont. Znowu zrobiło się gorąco. Osiemdziesiąt tysięcy ludzi opuszczało stadion, przesączaając się wolno przez stosunkowo wąskie betonowe przejścia.

Ludziom się nie śpieszyło — każdy czuł potrzebę wypowiedzenia swoich uwag na temat niezwykłych okoliczności tak dziwnie zakończonej gry. Wysuwano najrozmaitsze przypuszczenia, jedne bardziej nieprawdopodobne od drugich. Lecz nawet głowy najbardziej zapalone nie mogły wymyślić nic takiego, co by chociaż w przybliżeniu było podobne do prawdziwej przyczyny przerwania zawodów.

Trzech tylko ludzi nie brało udziału w dyskusji. Opuścili oni trybunę północną zachowując całkowite milczenie. Bez słowa weszli do przepełnionego trolejbusu, bez słowa wysiedli przy ulicy Ochotnyj Riad i rozeszli się do domów. Wreszcie Hassan pierwszy zdobył się na odwagę i przerwał milczenie.

— Piłka nożna jest grą bardzo piękną — rzekł.

— T-tak... — burknął w odpowiedzi Wolka.

— Jakże rozkoszna, wedle mego wyobrażenia, musi być chwila, kiedy człowiek strzeli piłką w bramkę przeciwnika! — ciągnął niepewnie staruszek. — Wszak prawdę mówię, o Wolko?

— T-tak... — znowu burknął Wolka.

— Czy wciąż jeszcze gniewasz się na mnie, o bramkarzu mojego serca? Umrę, jeżeli mi nie odpowiesz od razu.

Staruszek biegł drobnymi kroczkami za swoim zagniewanym przyjacielem, wzdychał żałośnie i przeklinał tę godzinę, w której zdecydował się pójść na stadion.

— Jeszcze się pytasz? — ostro odpowiedział Wolka, dalej jednak mówił już znacznie łagodniej: — Aleś ty nawarzył piwa, staruszkule! Przez całe życie będę to pamiętał. Widzieliście, ludzie, jaki się znalazł entuzjasta sportu! O nie! Więcej cię już ze sobą na mecz nie zabiorę! Obejdę się bez twoich biletów.

— Słowo twoje jest dla mnie rozkazem — rzekł Hassan z pośpiechem. Rad był, że załatwił sprawę tanim kosztem. — Zupełnie mi wystarczy, jeżeli od czasu do czasu opowiesz mi to lub owo o zawodach piłki nożnej.

## XXX. Gdzie szukać Omara?

Nikt by nawet nie przypuszczał patrząc na kwitnące oblicze Hassana, że tak jeszcze niedawno staruszek był ciężko chory.

Niezbyt żywe, lecz równomierne rumieńce właściwe ludziom starszym zabarwiały jego śniade policzki, chód po dawnemu był lekki i szybki, miły uśmiech opromieniał szczerą i nieco naiwną twarz. Jedynie Wolka, który znał Hassana na wylot, zauważył, że starego dzinna dręczy ustawicznie jakiś głęboko ukryty niepokój. Staruszek często wzdychał i, pogrążony w zadumie, targał brodę. Na pozór niby nic, lecz od czasu do czasu ciężka łza kręciła się w jego uczciwych, łagodnych oczach.

Wolka udawał, że tego nie spostrzega, i nie męczył starego nietaktownymi pytaniami. Był pewien, że kiedyś Hassan sam zacznie o tym mówić. Tak też się stało.

— Stare moje serce smutek dręczy i tęsknota, o szlachetny wybawco džinnów — cicho wyznał chłopcu któregoś dnia, kiedy wspaniały zachód słońca nasycił jednolitą różową barwą ciche o wieczornej godzinie wody rzeki Moskwy. — Nie dają mi spokoju myśli o moim biednym, zaginionym bracie, o okrutnym, beznadziejnym jego losie. A im dłużej myślę, tym bardziej się skłaniam ku temu, żeby możliwie jak najprędzej udać się na poszukiwanie brata. Jak się na to zapatrujesz, o mądry Wolko ibn Alosza? Gdybyś się do mojej decyzji odniósł życzliwie, to czy nie byłbyś skłonny mnie uszczęśliwić dzieląc ze mną zarówno powodzenia, jak i niepowodzenia tych poszukiwań?

— A gdzie właściwie zamierzasz szukać twego brata? — rzeczowo poinformował się Wolka; chłopiec bowiem przyzwyczał się już przyjmować jako rzecz naturalną wszystkie, nawet najbardziej nieoczekiwane propozycje Hassana.

— Nie wiem, czy pamiętasz, o Wolko, to, co ci opowiadałem w dniach, które były świtem taki szczęśliwej naszej znajomości, że džinny będące na usługach Sulejmana zamknęły mego brata w miedzianym naczyniu i wrzuciły do jednego z mórz południowych. Tam właśnie, koło wybrzeży gorących krajów, należy, rzecz prosta, szukać Omara Jussufa.

Perspektywa wyprawy przez morza południowe ogromnie przypadła Wolce do gustu.

— No cóż — rzekł do Hassana — zgadzam się. Pojadę z tobą na pewno. Dokąd ty, tam, jak to się mówi, i ja. Dobrze byłoby jeszcze... — w tym miejscu Wolka się zaciął.

Ale szczerze uradowany Hassan natychmiast mu podpowiedział:

— ...zabrać ze sobą po drodze naszego wspaniałego przyjaciela Żenię ibn Kola. Czy trafnie pojąłem twoją myśl, o mój najlepszy Wolko ibn Alosza?

— Aha!

— Nie może co do tego być nawet cienia wątpliwości — rzekł Hassan.

Postanowili od razu, że wyprawa w celu odnalezienia nieszczęsnego brata starego Hassana wyruszy w drogę nie później niż za dwa dni.

Ale gdy sprawa ustalenia terminu wyjazdu nie wywołała sporów, zaznaczyła się całkiem niespodziewanie dość poważna rozbieżność zdań, gdy przyszło do wyboru środków lokomocji.

— Wyruszymy na dywanie latającym — zaproponował Hassan. — Zmieścimy się na nim wygodnie wszyscy trzej.

— O nie! Na to już nie dam się nabrać! Dzięki unizone! Mam powyżej uszu naszego lotu do Indii. Ani mi się śni marznąć znowu jak pies...

— Zaopatrzę was w ciepłe ubrania, o błogosławiony Wolko! A gdybyście sobie tego życzyli, na samym środku dywanu może się palić przez cały czas duże, nigdy nie gasnące ognisko, przy którym będziemy mogli się grzać podczas lotu.

— Nie, nie i jeszcze raz nie! — uciął dyskusję Wolka. — Nawet mowy być nie może o latającym dywanie. Jedźmy lepiej pociągiem do Odessy, a potem...

Wolka rozwinął swój plan wyprawy. Projekt został przyjęty bez sprzeciwu przez Hassana, spotkał się też z pełnym zachwytem poparciem ze strony Żeni, któremu w przeciągu pół godziny wyłożono go ze wszystkimi szczegółami.

### XXXI. „A może byśmy tak zostali?”

Na stację przybyli nasi podróżni prawie bez przygód. Gdyby się nie wzięło w rachubę tego, co zaszło przy wsiadaniu do autobusu, to nawet — całkiem bez przygód.

Przy wsiadaniu do autobusu zdarzyła się jednak rzecz taka: Wolka i Żenia choć nie bez

trudności wcisnęli się do przepełnionego wozu, a Hassan postawił nogę na stopniu i miał już razem, z nimi wsiąść, kiedy przez otwarte okno wysunął się konduktor i oznajmił władczym głosem:

— Obywatele, nie ma miejsc! Autobus rusza!

Ponieważ słowa te nie wywarły żadnego wrażenia na staruszkę w sztywnym słonkowym kapeluszu, konduktor dodał specjalnie pod jego adresem:

— A może byśmy tak zostali, obywatelu?

Staruszek spojrział na konduktora ze zdumieniem, cofnął nogę ze stopnia i odezwał się rozrzewniony:

— Jeżeli ci to sprawi przyjemność, o panie mój, będę to uważał za wielki zaszczyt, jakkolwiek śpieszę się bardzo na poszukiwanie mego nieszczęsnego brata.

Konduktor zdążył tymczasem dać sygnał odjazdu, lecz nagle w zupełnie niepojęty dla siebie sposób znalazł się na jezdni obok witającego go uprzejmym ukłonem staruszkę w sztywnym słonkowym kapeluszu i z miną oszołomioną odprowadzał oczyma autobus, który szybko zniknął za zakrętem ulicy.

— Ośmielam się wyrazić moje najgłębsze przekonanie, o czcigodny, nie znany mi panie, że zanim przybędzie następny autobus, spędzimy razem czas nader miło — uprzejmie zwrócił się Hassan do osłupiałego konduktora. Ale konduktor nagle się opamiętał i z przeraźliwym krzykiem rzucił się śladem swojego osieroconego wozu.

— Proszę zatrzymać! — wołał, żwawo przebierając nogami i przytrzymując ręką brzęczącą srebrem i miedziakami, ciężką torbę. — Proszę zatrzymać autobus, obywatele!

Hassan, uderzony dziwnym zachowaniem się konduktora, z zainteresowaniem odprowadzał go oczyma, a gdy konduktor zniknął za rogiem, gdzie stał zatrzymany przez Wolkę autobus, star uszek z łatwością dopędził wóz, a nawet zdążył wejść do niego wcześniej niż konduktor.

Wkrótce autobus ruszył w dalszą drogę; Hassan pochylił się ku przyjaciółom i rzekł do nich szeptem, patrząc okiem niechętnym na konduktora, który wciąż jeszcze nie mógł się połapać w sytuacji:

— Dziwny, bardzo dziwny człowiek! Przecież go za język nie ciągnąłem. Sam z własnej woli mi to zaproponował. Powiedział: „A może byśmy tak zostali?” Ucieszyła mnie, a nawet uderzyła serdeczna dobroć człowieka, który zaproponował mi swoje towarzystwo po to tylko, by mi prędzej minął czas do następnego autobusu. Ale wystarczyło, że wóz odjechał i że on się znalazł obok mnie na jezdni, aby natychmiast zmienił zdanie i, zostawiając mnie w samotności, rzucił się w pogoń za autobusem. Dziwny, bardzo dziwny człowiek! — powtórzył na zakończenie Hassan i nie bez żalu spojrział na konduktora.

— On wcale nie miał zamiaru zostawać z tobą na jezdni — próbował tłumaczyć staruszkę Wolka. — Powiedział ci: „A może byśmy tak zostali?”, mając na myśli, że ty zostaniesz, a on pojedzie.

Lecz Hassan zrozumiał wyjaśnienie Wolki na swój sposób. Spojrział nieprzyjaźnie na konduktora i powiedział szorstko:

— Teraz wszystko jest dla mnie zupełnie zrozumiałe. To nie tylko dziwny, ale i bardzo nieszczęry człowiek.

## XXXII. Opowiadanie konduktora międzynarodowego wagonu pociągu pośpiesznego Moskwa — Odessa o tym, co zaszło na odcinku Nary — Mały Jarosławiec

(Opowiada konduktor mającemu następną zmianę koledze, który spał, gdy się to wszystko działo)

— Obudziłem cię dlatego, Kuźma Jegorycz, że przed chwilą zaszedł w naszym wagonie dziwny i całkiem niepojęty wypadek. Wyobraź sobie, przygotowałem jak należy wszystkim na noc pośłania. I w przedziale numer 7 też poślałem. Układam pościel, ale uwagę moją zaprzęta to, że w tym przedziale jedzie jakiś brodaty staruszek w kapeluszu słomkowym z czasów jeszcze przedrewolucyjnych, a z nim dwóch chłopców. Tak myślę, że chyba jednych lat. No i wyobraź sobie, całkiem bez bagaży. Żeby chociaż o, tyle mieli — a to nic!

Przy tym jeden z tych chłopców, taki piegowaty blondasek, pyta:

„Towarzyszu konduktorze, w jaki sposób mógłbym przejść do wagonu restauracyjnego?”

Więc mu tłumaczę:

„Zmuszony jestem z przykrością zakomunikować, że nie mamy w naszym pociągu wagonu restauracyjnego, ale jutro raniuteńko będę mógł wam przynieść herbatki z sucharkami”.

Na to chłopiec popatrzył na staruszkę, a ten stary na niego mruga. No i wtedy chłopiec powiada tak:

„Dobra jest! Damy sobie radę bez waszej herbaty, skoro nie ma wagonu restauracyjnego”.

„Ciekawa rzecz — myślę sobie — w jaki to sposób dacie sobie radę aż do Odessy bez mojej herbaty?” Poszedłem do naszego przedziału, ale drzwi nie domknąłem, została szpareczka.

W całym wagonie już wszyscy się od dawna pokładli, we wszystkich przedziałach pasażerom już trzecie sny zaczynają się śnić, tylko w przedziale numer 7 ciągle szu-szu szu-szu — słyszać rozmowę.

Wtem otwierają się drzwi i wysuwa się przez nie ten sam staruszek. Nie zauważył, że mu się przyglądam, zdjął z głowy swój kapelusz z czasów przedrewolucyjnych... No i jak myślisz, Kuźma Jegorycz, co ten staruszek zaczął robić? Daję słowo, że nie kłamię! Wydarł sobie z brody garść włosów! Żeby tu, na tym miejscu skołał, jeżeli kłamię!

„Rety — myślę sobie — wariat! To się nazywa mieć pecha! Akurat na moim dyżurze musiał się wariat nadarzyć”. Nic nie mówię, czekam, co będzie dalej.

No i przyglądam się, a ten stary drze wydarte włosy na drobne kawałki, rzuca to paskudztwo na podłogę i coś mruczy sam do siebie. Więc coraz bardziej się upewniam, że ten w podeszłym wieku pasażer jest człowiekiem nienormalnym i że się nie da uniknąć, żeby go w Briańsku nie wysadzić. „Uch — myślę sobie — co to będzie za awantura! A może od razu zacznie się rzucać na ludzi i szyby tłuc?...”

Patrzę — ale nie, na nic się nie rzuca, stoi spokojnie i coś mruczy. Pomamrotał trochę i wraca do przedziału.

Wtem słyszę, że ktoś po korytarzu szura bosymi nogami. Tylko tym razem nie przede mną, ale za mną. Więc się zorientowałem, że ktoś z platformy przeszedł do wagonu, i dziwi mnie to bardzo, bo wyjście na platformę zawsze w czasie ruchu pociągu zamykam.

Spojrzałem poza siebie i słowo honoru ci daję, Kuźma Jegorycz, uczciwe słowo, że nie łżę... widzę, że idzie z pomostu czterech młodych zuchów. Opalone to niczym ci twoi kuracjusze i do tego całkiem gołe. Tyle tylko na nich odzienia, co ten marny gałganek na biodrach. Bose to...



Wychodzę zatem z naszego przedziału i mówię do nich tak:

„Obywatele, pewnieście pomylili wagony. To jest, obywatele, wagon międzynarodowy; wszystkie przedziały mamy zajęte”.

A oni do mnie wszyscy razem:

„Milcz, niewierny! Wiemy sami, dokąd mamy iść. Tu właśnie idziemy, bo tu iść musimy”.

Wtedy ja powiadam do nich:

„Wobec tego proszę was, obywatele, o okazanie biletów”.

A oni znowu do mnie chórem:

„Nie zwracaj nam głowy, cudzoziemcze, albowiem podążamy do naszego pana i władcy”.

Więc ja na to:

„Nadziwić się nie mogę, że nazywacie mnie cudzoziemcem. Jestem obywatelem radzieckim we własnym swoim kraju. To raz. A w ogóle panów u nas nie ma od czasów Rewolucji Październikowej. To — powiadam — dwa”.

Na to ich starszy mówi:

„Powinieneś się wstydić, o niewierny! Wykorzystujesz to, że ręce mamy zajęte i że wskutek tego nie możemy cię zabić za twoją szaleńczą zuchwałość. To — powiada — nieuczciwość z twojej strony, że z tego korzystasz”.

Wtedy nagle widzę, że ci wszyscy czterej obywatele, te golasy, ponad wszelką miarę obciążone są wszelakim jadłem. Jeden trzyma półmisek, a na tym półmisku jagnię pieczone z ryżem. Drugi dźwiga olbrzymi kosz z jabłkami, gruszkami, brzoskwiniami i winogronami, mimo że — zwróc na to uwagę, Kuźma Jegorycz — do sezonu owocowego mamy jeszcze nie mniej niż miesiąc. Trzeci na głowie niesie jakieś naczynie, coś jakby dzbanek, a w tym dzbanku coś chlupie. Po zapachu czuję, że wino. Z gatunku Riesling. Czwarty trzyma w każdej ręce po półmisku ze słodkimi pierogami i ciastkami. Przyznam, ci się, że aż gębę szeroko otworzyłem. Ale ten ich starszy mówi do mnie tak:

„Lepiej byś zrobił, niewierny, gdybyś nam wskazał, gdzie tu jest przedział numer 7, musimy wiesz jak najprędzej wykonać nasze zadanie”.

Wtedy zaczynam już się domyślać, co w trawie piszczy, i pytam:

„Jak ten wasz pan wygląda? Czy to nie taki staruszek z brodą?”

„Tak, to on. To ten, któremu służymy”. Prowadzę ich do przedziału numer 7, a po drodze mówię:

„Będę musiał ściągnąć karę od waszego pana to, że jeździcie bez biletu”.

A ten ich starszy powiada:

„Służymy mu już trzy tysiące pięćset lat”. Przyznam ci się, myślałem, zem się przestyszał. Więc pytam drugi raz:

„Jak mówicie? Ile?”

A tamten na to:

„Tyle, ile powiedziałem. Trzy tysiące pięćset lat”.

Pozostali trzej tylko głowami kiwają, że niby to, co ten ich starszy powiedział, to prawda.

„Rety! — myślę sobie. — Mało było jednego wariata, a tu jeszcze czterech lichy przyniosło!” Ale podtrzymuję rozmowę, tak jakby to byli normalni pasażerowie.

„Czy to nie skandal? — mówię do nich. — Służycie mu tyle lat, a wasz pan nawet zwykłego roboczego kombinezonu wam nie sprawi. Chodźcie, wybaczone mi, obywatele, na golasa!”

A ten starszy powiada:

„Niepotrzebne nam żadne kombinezony. Nie wiemy nawet, co to jest”.

Wtedy ja im mówię:

„Aż dziw, kiedy słyszymy taką rzecz z ust ludzi o tak długim stażu pracowniczym. Zapewne jesteście nietutejsi. Gdzież to zamieszkujecie na stałe?”

Na to tamten mi odpowiada:

„Przybyliśmy przed chwilą z Arabii”.

„Jeżeli tak, to wszystko już rozumiem. Oto jest przedział numer 7. Proszę zapukać”.

Wtem wychodzi ten staruszek, a tu wszyscy jego współpracownicy bęc! przed nim na kolana i jak nie zaczną podawać mu potrawy i napoje. Więc odwołuję staruszka na bok i mówię:

„Proszę obywatela pasażera, czy to są wasi współpracownicy?”

A staruszek na to:

„Tak, to moi ludzie”.

Więc ja mu powiadam:

„Jadą bez biletów, a za to się płaci karę. Czy jesteście skłonni zapłacić?”

Na to stary powiada do mnie tak:

„Skłonny jestem, choćby i zaraz. Powiedz mi tylko, co to znaczy: zapłacić karę?”

Widzę, że staruszek wygląda dość rozsądnie, więc mówię mu szeptem:

„Jednemu z tych waszych współpracowników rozum się pomieszał. Twierdzi, że pracuje u was trzy i pół tysiąca lat. Trudno chyba zaprzeczyć, że ten człowiek zwariował”.

A stary na to:

„Muszę temu zaprzeczyć, albowiem nie ma kłamstwa w jego słowach. Tak właśnie jest: trzy i pół tysiąca lat. Nawet trochę więcej, jako że miałem — mówi — chyba ze dwieście lub może z dwieście trzydzieści lat, kiedy objąłem nad nim władztwo”.

Powiedziałem wtedy staremu po prostu:

„Proszę sobie ze mnie nie robić kpin! W waszym wieku to całkiem nie przystoi. Proszę natychmiast zapłacić karę, a jeżeli nie, to wysadzę ich na najbliższej stacji! I w ogóle to jest podejrzane, że udajecie się bez żadnego bagażu w tak daleką drogę”. A stary na to:

„Co to jest bagaż?”

Na to ja mu powiadam:

„Różne tłumoki, walizy i tak dalej”.

A stary w śmiech:

„Co też ty, o konduktorze, zmyślasz, że nie ma bagażu? Popatrz na półki!”

Patrzę — a na półkach pełnusięko rzeczy. Przed chwilą zaglądałem i nie było nic. A tu nagle mnóstwo waliz i cała kupa tobołów.

No, to wtedy powiadam do niego tak:

„Proszę obywatela pasażera, coś mi się tu wydaje nie w porządku. Płaćcie prędziutko karę. Na następnym postoju przyprowadzę kierownika pociągu — niech on z wami dochodzi do ładu. Bo ja nic... ale to nic nie rozumiem”.

A stary w śmiech:

„Jaka znowu kara? Za kogo mam płacić karę?”

Rozgniewało mnie to wszystko na dobre, odwracam się i wskazuję palcem na korytarz. A tam nikogo nie ma! Obleciałem umyślnie cały wagon, wszystko wszędzie obejrzałem. Ani śladu po moich pasażerach „na gapę”.

A ten stary do mnie powiada:

„Konduktorze, idź do swego przedziału”.

No i cóż? Poszedłem.

Rozumiesz teraz, Kuźma Jegorycz, dlaczego cię obudziłem. Nie wierzysz mi? Jeżeli chcesz, to chuchnę, przekonasz się, że jestem całkiem trzeźwy. Nie, pozwól, koniecznie... Co? Że wódką pachnie? Co też ty, Kuźma Jegorycz! Czy kiedykolwiek pozwoliłem sobie na to podczas jazdy! Jednego marnego kieliszeczka od wczoraj nie miałem w ustach! Powiadasz: kieliszeczka może i nie wypił, ale za to ze dwie szklaneczki wytrąbił. Oj-oj-oj, Kuźma Jego-

rycz! Cha-cha-cha! Alem się uśmieł! Cha-cha-cha! Hi-hi-hi! Wiesz co? Zaśpiewajmy piose-  
nkę! Co? Boisz się, że pobudzimy pasażerów? Będziemy śpiewali cichutko.

*Bywały dni wesole, hej,  
Młodemu śmiał się świat...*

Dobrze, debrze, pójdę spać. Jestem, bracie, Kuźma Jegorycz, człowiekiem spokojnym. Mam iść spać? Proszę bardzo, położę się z przyjemnością. Dobranoc, Kuźma Jegorycz!...

Dopiero na godzinę przed przybyciem pociągu do Odessy konduktor zjawił się w przedziale numer 7, aby sprzątać pościel. Hassan poczęstował go jabłkami.

— W Moskwie pewnieście kupili? W „Gastronomie”? — z szacunkiem rzekł konduktor i schował jabłka do kieszeni dla swego synka, którego zostawił w domu. — Rzadka to rzecz o tej porze — ciągnął. — Pięknie wam dziękuję, obywatelu!

Było zupełnie oczywiste, że konduktor nie pamiętał ani krzty z tego, co się działo na odcinku drogi Nary—Mały Jarosławiec.

Kiedy wreszcie opuścił przedział, Żenia mruknął i z zachwytem:

— Mimo wszystko z naszego Wolki chłopak do , rzeczy!

— Dlaczego użyłeś słów „mimo wszystko”? — rzekł Hassan. — Są zupełnie zbędne. Wolka ibn i Alosza jest pod każdym względem całkiem do rzeczy i nie ulega najmniejszej wątpliwości, że propozycja jego godna jest pochwały.

Zważywszy, że może dla czytelników naszego opowiadania sens przytoczonej przed chwilą krótkiej rozmowy niezupełnie jest zrozumiała, postaram się tę rzecz zaraz wyjaśnić.

W nocy, kiedy konduktor opuścił przedział numer 7, mając głowę całkowicie skotłowaną, Wolka zapytał Hassana:

— Czy można by zrobić tak, żeby konduktor o tym wszystkim zapomniał?

— To dla mnie zupełna drobnostka, o Wolko!

— W takim razie zrób to jak najprędzej. Niech idzie spać, a jak się jutro obudzi, niech nic nie pamięta.

— Doskonale, o skarbnico rozsądku! — zawołał z zachwytem Hassan; potem machnął ręką i oto nagle konduktor stał się zalany w pestkę.

Zaszło to akurat w tym momencie, kiedy chuchnął w twarz swemu zmianowemu, Kuźmie Jegoryczowi.

### XXXIII. Nieznany żaglowiec

Na pokładzie spacerowym motorowca „Kolchida”, który odbywał swój kolejny rejs z Odessy do Batumi, stało kilku pasażerów. Oparci o barierę, rozmawiali sobie spokojnie, bez pośpiechu. Słysząc było stłumiony huk potężnych silników dieslowskich, umieszczonych gdzieś w głębi statku, rozkosznie szemrała woda, w górze ponad głowami cichutko popiskiwała zafrasowana okrętowa stacja radiowa.

— Szkoda wielka, powiadam wam — rzekł jeden z pasażerów — że nie ma już wielkich żaglowych statków! Przepiękne były jak ptaki o białych skrzydłach. Z jaką radością znalazłbym się w tej chwili na prawdziwym żaglowcu, na fregacie, dajmy na to... Co to za rozkosz upajać się widokiem mocno wydętych śnieżnych żagli, słuchać skrzypienia potężnych, a tak wytwornych strzelistych masztów, przyglądać się z zachwytem, jak na rozkaz szypra cała załoga rozbiega się w gnieniu oka, ten na maszt, ten na reje... czy jak się to tam

nazywa! Gdybyż choć jeden raz udało mi się zobaczyć prawdziwy statek żaglowy. Ale żeby to był żaglowiec jak się patrzy! No, bo w obecnych czasach byle jakie czółenko już sobie, wiecie, przysposobi silniczek, a mimo to — zwróćcie uwagę — pretenduje do miana łodzi żaglowej.

— Żaglowo-motorowej — wtrącił poprawkę jakiś obywatel w mundurze marynarki handlowej.

Zapanowało milczenie. Wszyscy oprócz marynarza przeszli na lewą burtę, żeby się przyjrzeć, jak całkiem blisko pluska się i przewraca koziółki w łagodnym południowym morzu wesołe stadko zawsze ruchliwych delfinów. Dla marynarza delfiny już od wielu lat przestały być nowością, toteż usadowił się na leżaku możliwie najwygodniej i zaczął przerzucać jakiś tygodnik. Jednakże słońce wkrótce go rozmarzyło, złożył więc pismo i zaczął się nim wachlować.

Lecz nagle coś niezwykłego przykuło jego uwagę: przestał się wachlować, zerwał się z miejsca i podbiegł do bariery. Daleko, prawie na samym horyzoncie zauważył mknący szybko, bardzo nawet szybko, piękny, choć straszliwie staroświecki statek żaglowy. Wyglądało to na obraz ze starej czarodziejskiej baśni.

— Towarzysze! — zawołał marynarz do swoich niedawnych rozmówców. — Towarzysze, chodźcie tu prędzej! Spójrzcie tylko, co za interesujący żaglowiec! Ależ stare pudło! Oho, coś się tam stało z grotmasztem! Już po grotmaszcie! Jakby go krowa językiem zlizwała! Rety! Spójrzcie no, przecież on ma żagle nastawione w przeciwną stronę!... Wedle wszelkich zasad fokmaszt powinien był już dawno wylecieć za burtę! Cuda, cudeńka!

Ale zanim słowa te dotarły do uszu pasażerów i zanim ci zdążyli przejść z powrotem na prawą stronę, nieznany statek zniknął z pola widzenia.

Mówimy „nieznany”, gdyż marynarz gotów był przysiąc, że żaden z portów radzieckich na Morzu Czarnym nie był portem macierzystym tego przepięknego żaglowca.

Istotnie, zauważony z pokładu statek nie wypłynął z żadnego radzieckiego portu macierzystego na Morzu Czarnym. Nie należał też do żadnego z portów cudzoziemskich. Nie miał on w ogóle żadnej przynależności nigdzie i do niczego, a to z tej prostej przyczyny, że ujrzał światło dzienne i został spuszczonej na wodę zaledwie przed kilku godzinami.

Żaglowiec nosił nazwę „Omar Najmilejszy” ku czci nieszczęsnego brata naszego starego znajomego — Hassana Abdurrachmana ibn Chottab.

#### XXXIV. Na „Omarze Najmilejszym”

Gdyby znajomy nasz, konduktor międzynarodowego wagonu w pociągu pośpiesznym Moskwa — Odessa, jakimś cudem znalazł się na pokładzie dwumasztowego żaglowca „Omar Najmilejszy”, uderzyłoby go najbardziej nie to, że ni stąd, ni zowąd trafił na statek żeglugi morskiej, i nawet nie to, że ten statek jest całkiem niepodobny do wszystkich zwykłych statków, które prują fale naszych mórz i rzek. Najbardziej by go uderzył fakt, że zna wszystkich pasażerów tudzież całą załogę „Omara Najmilejszego”.

Staruszek i jego dwaj towarzysze dopiero dziś rano opuścili przedział numer 7 międzynarodowego wagonu, a tymczasem załoga żaglowca składała się właśnie z tych samych czterech ciemnoskórych obywateli, których staż pracowniczy sięgał XVI wieku przed naszą erą.

Należy sądzić, że ponowne spotkanie na długi czas wpędziłoby naszego tak wrażliwego konduktora w obłożną chorobę.

Nawet Wolkę i Żenię po prostu zatkało, gdy spotkali na statku swoich nowych znajo-

mych, którzy w dodatku okazali się bardzo zręcznymi i doświadczonymi żeglarzami. A przecież chłopcy przyzwyczaili się w ostatnich dniach do wszelkiego rodzaju niespodzianek.

Przyglądali się z zachwytem sprawnym ruchom nad wyraz skromnej liczebnie załogi „Omara Najmilejszego”, napatrzyli się do syta marynarzom poruszającym się wysoko nad pokładem wśród olinowania z takim spokojem, jakby stąpali po równej posadzce, w końcu zaś udali się na oględziny statku. Żaglowiec był bardzo ładny, choć nieduży, nie większy niż moskiewski tramwaj rzeczny.

Nawiasem mówiąc, Hassan zapewniał chłopców, że nawet Sulejman ibn Daud nie miał okrętu taki olbrzymiego, jak „Omar Najmilejszy”.

Wszystko tu lśniło zdumiewającą czystością i bogactwem. Burty żaglowca, jego wysoki rzeźbiony dziób i rufa inkrustowane były złotem i kością słoniową. Pokład z bezcennego, różanego drzewa pokryty był dywanami nie ustępującymi prawie wspaniałością tym, które zdobiły kajutę Hassana i jego przyjaciół.

Tym bardziej zdumiewającą rzeczą wydało się Wolce to, że na dziobie statku wykrył zupełnie niespodziewanie jakąś ciemną, brudną norę, gdzie na pryzkach poniewierały się kupy wszelkiej starzyzny.

Zanim, opanowując uczucie obrzydzenia, zapoznał się z nędznym urządzeniem tej małej izdebki, nadszedł Żenia. Po dokonaniu dokładnych oględzin Żenia doszedł do wniosku, że ta niepozorna nora przeznaczona jest pewnie dla korsarzy, jeśliby tacy zostali złapani po drodze.

— Nic podobnego — utrzymywał Wolka broniąc swego punktu widzenia. — Zostało to po prostu po przeprowadzeniu kapitalnego remontu. Po remoncie pozostaje czasem jakiś zapomniany kącik, gdzie leżą różne szmaty i najrozmaitsze inne rupiecie.

— Czyż może być mowa o remoncie kapitalnym, skoro jeszcze dziś rano statek naprawdę wcale nie istniał? — zauważył Żenia.

Na pytanie to Wolka nie mógł dać zadowolającej odpowiedzi, wobec czego chłopcy udali się do Hassana, aby rozstrzygnąć ich wątpliwości.

Okazało się jednak, że staruszek poszedł się zdrzemnąć; chłopcy zobaczyli się z nim dopiero po upływie półtorej godziny, podczas obiadu.

Niezręcznie podkurczyli pod siebie nogi i usadowili się na puszystym, mieniącym się zdumiewająco żywymi barwami dywanie. Krzesel i stołów nie było ani w tej komnacie, ani gdziekolwiek indziej na statku.

Jeden marynarz został na górze przy sterze, inni wnosili i rozstawiali na dywanie całe mnóstwo najrozmaitszych potraw, przystawek, owoców i napoi.

Gdy się odwrócili i mieli zamiar opuścić pokój, Wolka i Żenia zatrzymali ich pytaniem:

— Dokąd śpieszycie, towarzysze?

Po czym Wolka uprzejmie zapytał:

— Cóż to? Nie będziecie jedli obiadu?

Słudzy odpowiedzieli tylko gestem rąk, który oznaczał przeczenie.

Hassan się zmieszał.

— Nie dość uważnie słuchałem zapewne słów waszych, o młodzi moi przyjaciele! Wydało mi się, żeście zaprosili na naszą ucztę tych, którzy nas obsługują...

— A tak, zaprosiliśmy. Cóż w tym dziwnego?

— To są przecież prości marynarze — rzeki Hassan takim tonem, jakby ta okoliczność rozstrzygała sprawę.

Ale ku jego wielkiemu zdziwieniu chłopcy nie zmienili zdania.

— Właśnie tym bardziej że to marynarze! — rzekł Wolka. — Nie jacyś tam kapitaliści, tylko, co się zowie, ludzie pracy, swoi ludzie.

Żenia zaś dodał:

— Trzeba wziąć pod uwagę również i to, że są to, jak się zdaje, Murzyni, a więc rasa

uciśniona. Należy się do nich odnosić z wielką delikatnością.

— Zachodzi tu jakieś przykre nieporozumienie — z niepokojem odezwał się Hassan zbity z tropu zgodnym natarciem obu chłopców. — Po raz drugi proszę, żebyście wzięli pod rozwagę, że są to prości majtkowie. Nie godzi się, abyście siedzieli z nimi razem przy uczcie. To pomniejszy nas zarówno w ich oczach, jak i w naszych własnych.

— Mnie wcale nie pomniejszy — energicznie zaprzeczył Wolka.

— Mnie również nie pomniejszy. Przeciwnie, będzie nawet bardzo zajmujące — z kolei zapewnił Hassana Żenia, pożądliwie spoglądając na gorącą parę unoszącą się z pieczonej indyczki. — Wołaj czym prędzej marynarzy, póki indyczka nie ostygła.

— Jakoś nie mam apetytu, o młodzi przyjaciele moi! — mruknął niechętnie Hassan, potem klasnął w dłonie trzy razy i zawołał: — Hej, słudzy!

Marynarze zjawili się w jednej chwili.

— Ci oto miłościwi młodzi panowie wyrazili życzenie spożycia razem z wami obiadu, o niegodni słudzy moi!

— O wielki i potężny władco! — odezwał się najstarszy z marynarzy i padł na twarz przed Hassanem dotykając czołem cennego, puszystego dywanu. — Nam się wcale jeść nie chce. Jesteśmy bardzo, bardzo syci. Syci jesteśmy do tego stopnia, że wystarczyłaby nóżka kurczęcia, aby żołądki nasze popękały na kawałki i abyśmy pomarli w okropnych męczarniach.

— Kłamią — szepnął z przekonaniem Wolka do ucha Żeni. — Głowę daję, że kłamią... Nic nie mieliby przeciwko temu, żeby wsunąć obiad, ale się boją Hassana... Mówicie, żeście niegłodni? — rzekł zwracając się do marynarzy. — No, to może mi powiecie, kiedyście zdążyli zjeść obiad?

— Niech będzie ci wiadome, o młody i szlachetny panie, że potrafimy przez rok, a nawet jeszcze dłużej powstrzymać się od jedzenia nie uczuwając głodu — wymijająco odpowiedział w imieniu pozostałych najstarszy spośród marynarzy.

— Za nic w świecie się nie zgodzą — rzekł głęboko zawiedziony Żenia. — Boją się Hassana.

Marynarze zaczęli się pomału cofać ku wyjściu, aż wreszcie zniknęli za drzwiami.

— Jakoś czuję ku wielkiemu memu zadowoleniu nowy przypływ apetytu — rześko odezwał się Hassan. — Siadajmy tedy jak najprędzej do uczyty.

— E, nie! Sam sobie ucztuj, Hassanie, a na nasze towarzystwo nie licz! Chodź, Wolka! Już nas tu nie ma! — gniewnie burknął Żenia podnosząc się z dywanu. — Zabierajmy się. Nic tu po nas. Do licha! Starasz się, bracie, wychować człowieka na przeróżne sposoby, a okazuje się, że nic z tego nie 1 wychodzi.

Staruszek został sam, a przed nim — nietknięty obiad. Siedział tak na skrzyżowanych nogach, wyprostowany, wyniosły, uroczysty niczym jakieś wschodnie bóstwo. Lecz zaledwie chłopcy zniknęli za kotarą, oddzielającą kajutę od pokładu, ze wszystkich sił zaczął się bić w głowę swymi małymi, chudymi, lecz mocnymi jak żelazo pięściami.

— Biada mi, biada nieszczęsnemu Hassanowi Abdurrachmanowi ibn Chottab! Znowu wyszło całkiem inaczej, niżby się chciało. A przecież tak pięknie się rozpoczęła podróż na „Omarze Najmilejszym”! Jak szczerze unosili się chłopcy nad jego wyglądem, jak chwalili żagle mieniające się w słońcu barwami tęczy, mięciutkie dywany, w których boscie stopy tonęły aż po kostki, kosztowne poręcze z hebanu i kości słoniowej, potężne, strzeliste maszty, ozdobione inkrustacją z przepięknych a tak rzadkich kamieni! Skąd przysła im do głowy nagle ta dziwna fantazja? A może to nie jest fantazja, może to nie jest kaprys, a coś zupełnie, ale to zupełnie innego? Jakże dziwni są ci młodzieńcy... Oto wyrzekają się uczyty, mimo że są głodni, dlatego tylko, że sługom nie wolno zjeść w ich towarzystwie obiadu, tak jak ludziom im równym!

Ach, jakież nie zrozumiany, smutny i głodny — tak, w dodatku bardzo głodny — czuł

się Hassan!

W tym samym czasie, kiedy uczucie głębokiego przywiązania do Wolki i Żeni toczyło w sercu staruszka walkę z tkwiącymi w nim od tysięcy lat przesądami, nasi młodzi podróżnicy prowadzili gorącą dyskusję na temat sytuacji, która się ostatnio wytworzyła. Słudzy Hassana usiłowali zniknąć zupełnie z oczu chłopców, wszelako jeden z Murzynów — czy to przez nieuwagę, czy może przez nieopatrność — wysunął się niespodziewanie z nory, którą Wolka uważał za pomieszczenie przeznaczone dla wziętych do niewoli korsarzy.

A więc ta nędzna dziura służyła na zbytkownym „Omarze Najmilejszym” za kubryk dla załogi!

— Nie-e — stwierdził do najwyższego stopnia zgorzony Wolka. — Na takim statku nie zostaniemy za nic w świecie! Albo Hassan niezwłocznie, nie czekając ani chwili zmieni te wszystkie porządki, albo musi zrobić tak, żebyśmy wrócili do domu i koniec z naszą przyjaźnią!

Wtem postłyszeli tuż za sobą głos Hassana.

— O żagle mojego serca — mówił chytrze staruszek, jak gdyby nie zaszło zgoła nic wyjątkowego — po co marnotrawicie czas na pokładzie, kiedy czeka was obiad nader wyszukany i pożywny? Indyczka jeszcze jest gorąca, a przecież może ostygnąć, czego nieuniknionym skutkiem będzie znaczne pogorszenie się jej smaku. Chodźmy tedy z powrotem do kajuty, albowiem zarówno umiłowani moi marynarze, jak i ja sam, pokorny wasz niewolnik, omdlewamy z głodu i pragnienia.

Chłopcy zajrzeli do kajuty, którą przed chwilą opuścili, i przekonali się, że marynarze siedzą grzecznie na dywanie i czekają na ich powrót.

— Niech i tak będzie! — odezwał się chłodno, Wolka. — Będziemy musieli jeszcze bardzo poważnie z tobą porozmawiać, Hassanie. Tymczasem jednak zabierzmy się do obiadu.

Uczta nie dobiegła jeszcze końca, kiedy morze zaczęło silnie falować: mały stateczek to wznosił się aż na sam grzebień wysokiej fali, to zapadał w otchłań między dwa potężne bałwany, które z hukiem i wściekłym sykiem przelewały się przez pokład — pokrywające go dywany od dawna zmyło już morze. Strumienie wody co chwila wdzierały się do wnętrza kajut. Zrobiło się chłodno, gdyż piecyk z gorącymi węglami, którym ustawicznie rzucało z kąta w kąt, z obawy przed pożarem wyrzucono za burtę. Posiniali z zimna słudzy-marynarze, których jedynym przyodziewkiem były opaski na biodrach, uwijali się zawzięcie przy złowieszczo plaskających żaglach.

Jeszcze pół godziny i po „Omarze Najmilejszym” nie zostałoby nic, tylko wspomnienie. Ale falowanie ustało tak samo nieoczekiwanie, jak się zaczęło.

Wyjrzało słońce. Zrobiło się znowu ciepło. Nastąpiła absolutna cisza. Żagle zwiśły bezsilnie, statek kołysał się na coraz spokojniejszej fali, nie posuwając się naprzód ani na krok.

Hassan uznał, że trafia się pomyślna okazja, aby naprawić nadwerżone nieco stosunki pomiędzy nim a jego towarzyszami. Odezwał się więc zacierając z uciechą ręce:

— Cisza morska? Niechże będzie wam wiadomo, o szlachetni i sprawiedliwi młodzieńcy, że to dla nas zupełne głupstwo. Damy sobie świetnie radę i bez wiatru. Za chwilę „Omar Najmilejszy” pomknie jeszcze szybciej niż dotychczas... Niechże się stanie tak, jak rzekłem.

I Hassan pstryknął palcami lewej ręki.

W jednej chwili „Omar Najmilejszy” z wściekłą szybkością zaczął wrywać naprzód, żagle złapały wiatr i w naturalny sposób wyduły się w kierunku przeciwnym do tego, w jakim płynął statek.

Odkąd istnieje żeglarstwo, nikt nigdy nie widział tak zdumiewającego zjawiska. Lecz ani Wolka, ani Żenia, ani Hassan, którzy stali wtedy na rufie, nie zdążyli nacieszyć nim oczu, pchnięci bowiem siłą bezwładności, nagle spadli z rufy do morza. Niemal bezpośrednio potem grotmaszt, nie wytrzymawszy potwornego naporu powietrza, ze straszliwym hukiem runął akurat na to miejsce, gdzie dopiero co stali nasi podróżnicy.

„Omar Najmilejszy” w jednej chwili zniknął im z oczu.

„Przydałaby się teraz jakaś szalupa albo w najgorszym razie chociażby koło ratunkowe — pomyślał Wolka bijąc rękami i nogami o wodę i parszcząc jak koń. — Brzegu wcale nie widać”.

Istotnie, kędy okiem sięgnąć, wszędzie rozpościerało się tylko spokojne, bezbrzeżne morze.

### XXXV. Dywan-hydroplan „WK-I”

— Dokąd?! — zawołał Wolka zwracając głowę ku Żeni, który szybko odpływał gdzieś w bok. — Tak czy siak, do brzegu nie dopłyniemy. Nie zużywaj sił, płyn lepiej na wznak!

Żenia usłuchał. Położył się na plecach także i Hassan, w prawej ręce unosząc uważnie ponad wodą swój kapelusz.

Taki początek miała jedyna w historii żeglugi morskiej narada, podczas której ofiary katastrofy zabierały głos wypowiadając się w pozycji leżącej i to na plecach.

— Ulegliśmy oto katastrofie okrętowej! —omalże nie z satysfakcją oznajmił Wolka, który samorzutnie objął obowiązki przewodniczącego. — Co ty tam kombinujesz? — spytał Hassana, widząc, że staruszek wydziera wolną, to znaczy lewą ręką wioski ze swojej brody.

— Chcę, żeby znowu zjawił się nasz statek.

— Masz czas! — powstrzymał Wolka Hassana i dodał oschle: — To jeszcze pytanie, czy zechcemy na ten statek wrócić. Co do mnie, to nie mam najmniejszej chęci. Mówmy tak, jak jest: panują tam nieludzkie, nieradzieckie zwyczaje! Na samo wspomnienie obrzydliwość człowieka bierze.

— Ja też tak uważam. „Omar Najmilejszy” nie wchodzi w rachubę. Ale o jednej rzeczy pomyśl, Hassanie: należy jak najprędzej uratować marynarzy. Żeby przypadkiem nie utonęli wraz z żaglowcem.

Hassan się zasępił.

— Niech was zbytnio nie martwi los moich niegodnych sług. Już od pięciu minut co najmniej są w Arabii, gdzie stale mieszkają. Tam też czekają teraz na dalsze moje rozkazy. Lecz wytłumaczcie mi, o maszty mojego serca, czemu byśmy nie mieli kontynuować naszej podróży na „Omarze Najmilejszym”?

— Zdawać by się mogło, żeśmy powiedzieli to wyraźnie — rzekł Wolka.

— Zresztą żaglowce — zauważył Żenia — są zbyt niepewne i zbyt powolne, jest się na nich zależnym od każdej zmiany pogody... Nie, „Omar Najmilejszy” ostatecznie nie wchodzi w rachubę.

— O kotwico mojego szczęścia! — żałośnie lamentował Hassan. — Uczynię wszystko, żeby...

— Bezapelacyjnie nie wchodzi w rachubę — przerwał mu Wolka po raz drugi i wstrząsnął się z zimna. Bardzo było nieprzyjemnie leżeć w wodzie w ubraniu i w butach. — Pozostaje do wyjaśnienia, co jeszcze mógłby nam zaproponować Hassan.

— Mogę was wziąć pod pachę i tak polecimy.

— Nie wchodzi w rachubę! — uciął Wolka. — Sługa uniżony! Miałbym latać u kogoś pod pachą!

— Nie u kogoś, tylko u mnie! — obraził się Hassan.

— Choćby nawet u ciebie.

— Wobec tego odważę się polecić najświetlejszej waszej uwadze latający dywan.



Doskonały środek komunikacji, o nader wybredni przyjaciele moi!

— Nie powiedziałbym, że taki znów doskonały! Można na nim zmarznąć na kość! W dodatku leci się zbyt wolno i nie ma się żadnych wygod — rzekł Wolka i pograżył się w głębokiej zadumie. Lecz po chwili już zawołał: — To jest myśl! Uczciwe słowo pioniera, to jest myśl!

W tej samej chwili jak kamień poszedł pod wodę, gdyż, w przystępie zachwytu, nie miał nic mądrzejszego do zrobienia, jak bić brawo samemu sobie. Wynurzył się sapiąc i pluając, znowu położył się na plecach i jakby nigdy nic ciągnął dalej:

— Latający dywan trzeba udoskonalić przez nadanie mu kształtu opływowego, ogrzanie, zaopatrzenie w miejsca do spania i ustawienie na pływakach.

Najtrudniej było wytłumaczyć Hassanowi, na czym polega propozycja Wolki. Po pierwsze, staruszek nie wiedział, co to jest „kształt opływowy”, po drugie, pojęcia nie miał o pływakach.

Zdawałoby się, że to rzecz bardzo prosta — „kształt opływowy”, a tymczasem mówić o tym trzeba było bardzo długo, zanim chłopcy nie wpadli na dobry pomysł: powiedzieli, że opływowy dywan samolot powinien być podobny do ogórka, oczywiście gdy się z niego wydłubie ziarnka.

Jako tako i również z niemałym mozolem wytłumaczyli staruszkowi, co to są pływaki.

I oto wreszcie uniósł się w powietrze i wziął kurs na SSW opływowy dywan-hydroplan „WK-I”. Gdy się przełożyło treść tego skrótu z języka używanego przez lotników i konstruktorów na zwykłą, potoczną mowę, okazało się, że „WK-I” oznacza: „Władimir Kostylkow, model pierwszy”.

Podobny do olbrzymiego ogórka z niewielkim ogonkiem — jakie miewają ogórki świeżo zerwane z grządki — hydroplan miał dach, trzy miejsca do spania i z każdej strony po dwa okienka wycięte w grubej kosmatej tkaninie dywanu.

Okazało się, że aerodynamiczne właściwości tej konstrukcji Wolczynego pomysłu bez porównania przewyższają zwykły dywan latający.

Szybko przesunęło się pod naszymi podróżnikami Morze Czarne, Bosfor, Dardanele, Azja Mniejsza i wysuszone palącym słońcem płaskowzgórza Półwyspu Arabskiego. Potem, głęboko w dole, ukazały się piaski Pustyni Synajskiej. Wąska pręga Kanału Sueskiego dzieliła ją od takich samych żółtych piasków Pustyni Arabskiej; to była już Afryka, Egipt.

Stąd Hassan zamierzał rozpocząć poszukiwania Omara Jussufa w Morzu Śródziemnym, od najbardziej wysuniętego na wschód jego punktu aż do najbardziej wysuniętego na zachód. Ale nie zdążył jeszcze „WK-I” zniżyć się do dwustu metrów, gdy Hassan z wielką irytacją nazwał siebie starym durniem, dywan-hydroplan zaś znowu zaczął wznosić się w górę i wziął kierunek na zachód. Przez czas swego uwięzienia w glinianej butelce Hassanowi wyszło z pamięci, że w tych okolicach do Morza Śródziemnego wpada Nil i że woda jest tu zawsze mętna od mułu i piasku, który ta potężna, bogata w wodę rzeka niesie daleko w głąb morza. Czy możliwe są poszukiwania w tych gęstych, żółtych odmętach? Człowiek sobie tylko oczy zmęczy i tyle.

Hassan postanowił odłożyć badanie tych nader nieprzejrzystych terenów i ewentualnie wszcząć je dopiero wtedy, gdy się okaże, że Omara Jussufa nie ma w pozostałej części Morza Śródziemnego.

Upłynęło jeszcze nieco czasu i oto hydroplan zaczął zniżać lot nad błękitną, niewielką zatoką w pobliżu włoskiego miasta Genui.

## XXXVI. Wywiad z młodym genueńczykiem

— Ostrożność przede wszystkim! No i... za wiele nie gadać! — pouczał Wolka, gdy wszyscy trzej wydostali się na brzeg, a dywan-hydroplan na skinienie ręki Hassana znikł. — Nie wiadomo jeszcze, gdzieśmy trafili.

— Zorientujemy się według samolotu — rzekł Żenia. — O, według tego.

Skądś z zachodu leciał duży samolot. Trzeba wam wiedzieć, że w całej Szkole numer 245 nie było lepszego od Żeni Bogorada znawcy spraw lotniczych. Bez najmniejszej trudności mógł określić na oko przynależność państwową każdego samolotu. Znał chyba ze czterdzieści znaków rozpoznawczych.

Samolot zahuczał niziutko nad głowami naszych podróżników i zniknął za najbliższym wzgórzem.

— Amerykański — rzekł zdecydowanie Żenia. — Ma białą gwiazdę. To znak rozpoznawczy lotnictwa amerykańskiego.

Za chwilę przeleciał i także zniknął za tym samym wzgórzem jeszcze jeden samolot. Miał również na kadłubie białą gwiazdę amerykańską.

— Jedno z trojga — rzekł Wolka — albośmy trafili do Grecji, albo do Jugosławii, albo do Włoch.

— Signore \* Umberto-o-o! — rozległ się w oddali wysoki chłopięcy głos. — Signore Umberto-o-o! Gospodarz pana woła!

— Skoro mówią „signore” — to znaczy, że to są Włochy — rzekł Wolka. — A zatem jesteśmy we Włoszech!

— Rzecz podziwu godna! Ci Amerykanie latają sobie nad Włochami jakby na swoim własnym amerykańskim terytorium! Bezcelność po prostu wyjątkowa — rzekł pogrążony w swoich domysłach Wolka. — Gdybym był Włochem, to...

Jakże bardzo byliby zdumieni nasi bohaterowie, gdyby wiedzieli, kto właśnie przed chwilą przyleciał do Włoch pierwszym z tych samolotów! W tym samym czasie, kiedy obaj chłopcy wyrażali zdumienie i oburzenie z racji tego, że Amerykanie rządzą się jak szare gęsi w tym pięknym kraju, na lotnisku za pagórkem podjechały już do zniżającego się samolotu wysokie schodki z lekkiego metalu, po których zstępował dostojnie, spoglądając na wszystko z góry wytrzeszczonymi świńskimi oczkami, mister Harry Vandendulles we własnej osobie.

Na jego spotkanie przybył prefekt Genui oraz miejscowy biskup z ciężkim, złotym krzyżem na tłustej piersi. Wsadzili Amerykanina do luksusowego samochodu i pojechali z nim do miasta.

Ale chłopcy i Hassan nic jeszcze o tym nie wiedzieli. Żenia nie wytrzymał i krzyknął:

— Włochy! Jesteśmy we Włoszech! To rozumiem! Rano w Odessie, przed godziną nad Kanałem Sueskim, a po paru minutach we Włoszech! Wspaniałe, co?

Wolka zaczął machać rękami, dając przyjacielowi do zrozumienia, żeby się ciszej zachowywał.

— Powinniśmy być teraz tacy czujni, że nie wiem! — rzekł. — A przed wszystkim nie trzeba za dużo gadać.

— Nikt nas tu i tak nie zrozumie. Przecież my po włosku ani be, ani me! — parsknął śmiechem Żenia.

— Z tego jeszcze nie wynika, że nas nikt nie zrozumie. Kto wie, może to nawet gorzej, że nas nie rozumieją.

— Czemuż to, o młodzi przyjaciele moi, mają was nie rozumieć? — obruszył się

\* Signore (wł. czyt: siniore) — pan.

Hassan. — Skoro z wami jestem, to zarówno was rozumieją, jak i wy będziecie rozumieli mowę, której ludzie używają w tych okolicach, podobnie jak ja ją rozumiem.

— Tym bardziej trzeba być czujnym — z naciskiem powtórzył Wolka.

Hassan najchętniej udałby się natychmiast na poszukiwanie Omara Jussufa, lecz obaj chłopcy namówili go, aby poszedł z nimi obejrzeć miasto.

Piękną, szeroka drogą, która biegła ponad brzegiem morza, z rzadka tylko z cichym szmerem przemykały samochody i ostrożnie stawiając kopyto za kopytem wlokły się ciężko obciążone osiołki.

Wkrótce ukazała się rozległa plaża. Prócz kilku żołnierzy i oficerów amerykańskich nikogo tu nie było.

Nasi podróżnicy poszli dalej, nie zatrzymując się, i wkrótce znaleźli się w mieście.

Wysokie, wielopiętrowe staroświeckie domy sąsiadowały tu z niemniej starymi parterowymi ruderami. Było gorąco i parno. Wąskimi, brudnymi uliczkami przesuwano się mnóstwo ludzi; wszyscy biednie ubrani, wynędzniali, lecz weseli. Dyskutowali nad czymś z wielkim przejęciem, żywo wymachując rękami, śpiewali pieśni, zatrzymywali się koło otwartych okien i, oparci o ich parapety, opowiadali o czymś z zapałem innym, którzy przez te okna wyglądali.

„Jak widać, ludzie tu dziś mają dzień wolny o! pracy” — pomyślał Wolka i po chwili zwrócił się do jakiegoś chłopczyka, który siedząc na wyszczerbionym progu przed szeroko otwartymi drzwiami ponurego i wilgotnego dwupiętrowego domu usiłował ze starego zniszczonego pudełka od cygar zrobić sobie okręcik.

— Słuchaj no, chłopcze, czy macie tu dziś wolny dzień?

Młody genueńczyk spojrział na Wolkę i na jego towarzyszy ze zdziwieniem.

— Sam przecież wiesz, że dziś jest piątek — odrzekł z wyraźną drwiną.

— No, to pewnie jest jakieś święto?

— Skąd ci to przyszło do głowy? — zdziwił się chłopiec. — Przecież gdyby było święto, to by dzwoniły dzwony.

— Czemuż wobec tego tyle ludzi chodzi po ulicach w godzinach pracy?

— Na pewno jesteś nietutejszy — szorstko odpowiedział chłopczyk. — Jedno z dwójga: albo jesteś nietutejszy, albo masz bzika.

— Jestem nietutejszy — odpowiedział Wolka z pośpiechem. — Mam całkiem dobrze w głowie, ale jestem nietutejszy. Przyjechałem tu z... z Neapolu.

— Jak to? Czyż w Neapolu robotnicy nie strajkują protestując przeciw rządowi i tym amerykańskim szczyrom? — rzekł z gniewem genueńczyk. — Wiesz, co ci powiem? Zabieraj się stąd, pókiś cały! U nas w Genui chłopcy nie lubią, gdy ich nudzą takimi głupimi pytaniami! Czekaj no, czekaj! A może ci się włoski rząd i jego amerykańscy panowie podobają?! — wołał za Wolką, który już się oddalił. — Przyznaj się uczciwie! Może ci się podobają?

— Coś ty? — obruszył się Wolka. — I nie wstyd ci tak obrażać nieznajomych chłopców? Przecież ja włoskich zdrajców i tych Amerykanów po prostu nienawidzę!

— Ja też ich nienawidzę — wtrącił się do rozmowy Żenia. — I żebyś wiedział jak! Myśmy się właśnie przed chwilą dziwili, że wy ich tu znosicie...

— My? Kto to my? Genueńczycy?

— Nie, Włosi! Wspaniały, dzielny naród!...

— Jak to? Co to ma znaczyć — Włosi? A tyś kto? Babilończyk? Chłopaki-i-i! — wrzasnął przeraźliwie młody genueńczyk na chłopców z sąsiednich domów. — Chłopaki-i-i! Do mnie!

— Zrób tak, żebyśmy czym prędzej stąd zniknęli, Hassanie. Ale już!

I wszyscy trzej natychmiast zniknęli ku największemu zdziwieniu młodego genueńczyka, który wskutek tej nieprzewidzianej i niczym nie dającej się wytłumaczyć okoliczności znalazł się w bardzo trudnej sytuacji wobec gromady zwołanych przez siebie przyjaciół.

— Czy ci nie mówiłem, żebyś trzymał język za zębami? — wyrzucał przyjacielowi zirytowany Wolka. Żenia zresztą całkowicie poczuwał się do winy i ze wstydu nie wiedział, gdzie ma oczy schować.

— Diabli wiedzą, ile złego można narobić, gdy się gada wszystko, co ślina na język przyniesie! Przez ciebie nie zobaczyliśmy miasta! I to w dodatku jakiego miasta! Genui!

— Mam niepłonną nadzieję, o najrozważniejszy spośród uczniów Szkoły numer 245 (była to wyraźna złośliwość pod adresem Żeni), że dane nam jeszcze będzie obejrzeć te ulice, place i domy — starał się uspokoić Wolkę Hassan. — Jeżeli zaś trapi cię obawa, abyś się nie spotkał z tym krnąbrnym chłopcem, który was tak nastraszył, to wystarczy, byś wyrzekł jedno słowo, a przeniosę go do Indii czy do Egiptu.

— Spróbuj no tylko! — zawołał Wolka i cały aż się zaczerwienił. — To po prostu wspaniały chłopiec! Gdybym był na jego miejscu, postąpiłbym tak, jak on.

— Ja też — dodał Żenia, który tak był zawstydzony, że odwrócił oczy w inną stronę. — Wiesz co, Wolko? Pogódźmy się! Chcesz? Moja wina, więcej już nigdy nie będę. Zgoda?

— Zgoda — wspaniałomyślnie przystał na to Wolka i uściskał wyciągniętą nieśmiało dłoń Żeni Bogorada. — Jak pokój, to pokój!...

— Chodźmy prędzej na brzeg morza — zaproponował Hassan targany niecierpliwością. — Chodźmy, abym bez zwłoki mógł wszcząć poszukiwania mego nieszczęśliwego brata.

Przytoczona tu rozmowa prowadzona była na szosie, którą jeszcze kilka minut temu maszerowali w kierunku Genui nasi przyjaciele, przejęci planami turystycznymi. Teraz zaś udali się w stronę przeciwną, rozglądając się za jakimś spokojnym miejscem, możliwie jak najdalszym od szosy i domostw ludzkich.

### XXXVII. Hassan znika i znajduje się znowu

— Życzcie mi jak najszybszego odnalezienia mego brata! — rzekł głośno Hassan do swoich przyjaciół, po czym zmienił się w rybę i plusnął do wody.

Woda była przejrzysta, zupełnie inna niż w pobliżu delty Nilu, widać też było doskonale, jak staruszek, szybko pracując płetwami, skierował się ku otwartemu morzu.

Oczekując na jego powrót, chłopcy wykapali się chyba z dziesięć razy z rzędu, nurkowali długo, aż wreszcie mieli już tego dość, smażyli się na słońcu aż do obłędu; w końcu poczuli porządny głód i zaczęli się niepokoić o Hassana. Nie wracał jakoś podejrzanie długo, chociaż obiecywał, że najdalej za godzinę będzie na brzegu.

Słońce zaszło już dawno, lecz blask jego opromieniał horyzont nasycając toń morską barwami niezwyklej piękności. W oddali błyskało już tysiącem światła miasto, a staruszka jak nie było, tak nie było.

— Czyżby miał zginąć? — posepnie odezwał się Żenia.

— On zginąć nie może — odpowiedział Wolka. — Tacy staruszkowie, bracie, nie giną nigdy.

— Mógł go przecież połknąć rekin.

— W tych okolicach nie ma rekinów — odrzekł Wolka, choć właściwie nie miał całkowitej pewności, czy tak jest w istocie.

— Wiesz, jeść mi się chce — szczerze przyznał się Żenia pomilczawszy chwilę.

Niedaleko z cichym pluskiem przybijała właśnie do brzegu jakaś łódź. Wyskoczyło z niej trzech rybaków. Jeden zabrał się do rozpalania ogniska z suchych gałęzi, dwaj pozostali zaczęli wybierać co mniejsze rybki, następnie wzięli się do ich skrobania, po czym wrzucali

je do kociołka wypełnionego wodą.

— Chodź, poprosimy, żeby nam dali coś przegryźć — zaproponował Wolce Żenia. — To przecież swoi ludzie, pracujący. Na pewno nam nie odmówią.

Wolka się zgodził. Żenia uprzejmie skłonił się rybakom i rzekł:

— Dobry wieczór, signori!

— Strach pomyśleć, ile jest teraz dzieci bezdomnych w naszych nieszczęsnych Włoszech! — odezwał się jeden z rybaków, człowiek siwy i bardzo chudy. — Giovanni \*, daj im coś do zjedzenia,

— Chleba nie bardzo wystarczy, za to cebuli mamy dość, a soli jest nawet więcej niż trzeba! — wesoło zawołał kędzierzawy, przysadzisty młodzieniec, liczący może ze dwadzieścia lat, zajęty w tej chwili skrobaniem ryb na wieczrę. — Siadajcie z nami, chłopaki! Zaraz się ugotuje najpyszniejsza z zup, jakie kiedykolwiek upitraszone zostały w Genui i w jej okolicach.

Czy wesoły Giovanni miał w istocie wrodzone zdolności kucharskie, czy też był to skutek rzetelnego przegłodzenia się, lecz chłopcom się wydało, że póki życia, nie jedli jeszcze nic tak smacznego. Wcinali zupę, aż im się uszy trzęsły; z wielkiego ukontentowania tak przy tym mlaskali, że aż rybacy patrzyli na nich i od czasu do czasu się uśmiechali.

Giovanni przeciągnął się i rzekł:

— Jeżeli chcecie jeszcze, to ugotujcie sobie sami. Niewielka to sztuka. A my tymczasem położymy się na chwilkę i odpoczniemy. Tylko dużych ryb nie bierzcie. Duże ryby jutro się sprzedają, żebyśmy mieli z czego zapłacić podatek panu ministrowi finansów. Słyszeliście zapewne o tym panu, który przez cały czas troszczy się o to, żeby w naszych portmonetkach nie było zbyt wiele pieniędzy, jako że pan minister spraw wojskowych nie miałby za co kupować broni amerykańskiej.

Żenia od razu zakrzętała się koło ogniska, Wolka zaś zawinał spodnie i poczłapał przez wodę do łodzi pełnej śniętych ryb.

Wziął tyle, ile było trzeba, i już zamierzał wracać na brzeg, gdy przypadkiem spojrzenie jego zatrzymało się na złożonej obok masztu sieci rybackiej. Rzuciła się w niej samotna rybka; chwilami zdawało się, że zamiera, lecz potem znów ze świeżymi siłami wznawiała daremne próby odzyskania wolności.

„Przyda się na zupę” — pomyślał Wolka i wyplątał rybkę z oczek sieci. Ale w rękę chłopca rybka zaczęła się rzucać z taką siłą, a przy tym Wólce niespodziewanie tak się zrobiło jej żal, że obejrzawszy się, czy rybacy na niego nie patrzą, cisnął rybkę za burtę.

Rybka cichuteńko plusnęła w ciemną toń zatoki i zmieniła się w promieniejącego radością Hassana.

— Niech błogosławiony będzie dzień twoich urodzin, młodzieńcze o sercu tkliwym, synu Aloszy — rzekł z czułością staruszek stojąc pas w wodzie. — Znowu uratowałeś mi życie. Jeszcze kilka krótkich chwil, a udusiłbym się w sieci, do której tak nieopatrznie wpadłem podczas poszukiwań mego nieszczęsnego brata.

— Hassanie, drogi mój, jaki z ciebie zuch, że jednak żyjesz! — zawołał uszczęśliwiony Wolka. — Takeśmy się już o ciebie niepokoiли!

— A mnie bez ustanku dręczyła myśl, żeście obaj — i ty, o dwukrotny mój wybawco, i twój młody przyjaciel — zostali opuszczeni przeze mnie, głodni i samotni w obcym dla was kraju.

— Wcale nie jesteśmy głodni, rybacy nas tu nas karmili i to wcale nawet niezgorzej.

— Niech błogosławieni będą ci zacni ludzie — z przejęciem rzekł Hassan. — Czy to bogacze?

— Moim zdaniem, to są kompletni biedacy.

\* Giovanni (wł. czyt: Dżiowanni) — Jan.

— Chodźmyż do nich jak najprędzej, abym mógł się im za to godnie wywdzięczyć.

— Myślę, że nie należy tego robić — rzeki Wolka po chwili namysłu. — Wyobraź sobie, że jesteś na ich miejscu: ciemna noc, a tu ni stąd, ni zowąd wyłazi z wody jakiś mokry stary dziad... Nie, tak nie można...

— Masz słuszność jak i zazwyczaj — zgodził się ze zdaniem Wolki Hassan. — Wróć tedy na brzeg, a ja za chwilę do was przyjdę.

Nie upłynęło wiele czasu, kiedy nagle zbliżający się tętent kopyt końskich zbudził rybaków, którzy ucieli sobie krótką drzemkę. Niebawem koło dogasającego ogniska zatrzymał konia niezwykle jeździec.

Był to stary człowiek odziany w niedrogie płócienne ubranie, w sztywnym słomkowym kapeluszu na głowie. Majestatyczną jego brodę rozwiewał wiatr, co pozwalało dojrzeć pod nią wyszywaną ukraińską koszulę. Stopy staruszka, obute w wymyślne, haftowane złotem i srebrem różowe pantofle z cudacznie zagiętymi do góry czubkami, wspierały się o złote strzemiona, wysadzone diamentami i szmaragdami. Siodło, na którym siedział, było tak wspaniałe, że już samo w sobie stanowiło cały majątek, pod siodłem siedł rumak nieopisanej piękności. W obu rękach staruszek trzymał spore skórzane walizy.

— Czy wolno mi będzie ujrzeć szlachetnych rybaków, którzy tak wspaniałomyślnie przygarnęli i nakarmili dwóch głodnych i samotnych młodzieńców? — rzekł do Giovanniego, który wyszedł na jego spotkanie.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, zsiadł z konia, postawił walizy na piasku i odetchnął z ulgą.

— O co chodzi? — odezwał się ostrożnie Giovanni. — Znacie ich?

— Jakże miałbym nie znać moich młodych przyjaciół! — zawołał Hassan ściskając po kolei Wolkę i Żenię, gdy ci do niego podbiegli.

Potem zwrócił się do rybaków, którzy patrzyli na niego zdziwieni i zakłopotani.

— Wierzcie mi, o najbardziej czcigodni spośród rybaków, że nie wiem, jak się mam wam odwdzięczyć za tak cenną gościnność waszą i tkliwość serca!

— Za co nam się macie odwdzięczać? — zdumiał się siwy rybak. — Czy aby nie za tę chudą zupkę? Drogo nas to przecież nie kosztowało, możecie mi wierzyć, signore.

— Słowa, które słyszę, są słowami męża zaiste nader bezinteresownego. Tym głębszą wdzięczność dla was żywię. Pozwólcie mi się odwzajemnić chociaż tymi oto skromnymi darami — rzekł Hassan podając stropionemu Giovanniemu obie walizy.

— Zapewne zaszła jakaś pomyłka, czcigodny signore — rzekł Giovanni rzucając zdumione spojrzenie na swych towarzyszy. — Za te dwie walizy można kupić co najmniej tysiąc takich zupek jak ta, którą poczęstowaliśmy chłopców. Nie myślcie, że to była jakaś niezwykła zupa. Jesteśmy biedni...

— To ty się mylisz, o najbardziej bezinteresowny spośród wspaniałomyślnych! W tych doskonałych skrzynkach zwanych „wa-li-za-mi” zamknięte są bogactwa, tysiące tysięcy razy przewyższające koszt waszej zupki, a jednak nie mogą jej one okupić, albowiem — takie jest moje zdanie — nie ma na świecie nic cenniejszego niż bezinteresowna gościnność.

Hassan otworzył walizy i oto wszyscy ujrzeli, że wypełnione są po brzegi wspaniałymi żywymi rybami, mieniącymi się srebrną i złotą łuską.

Nie zdążyli się jeszcze rybacy należycie zorientować, jaki sens miało ofiarowanie im ryb, gdy Hassan zabrał się do roboty i wysypał na trawę szamocącą się zawartość waliz. Wtedy to rybacy wydali okrzyk zachwytu i zdumienia: nie wiadomo, w jaki sposób obie walizy znów były pełne. Hassan opróżnił je po raz drugi i znowu walizy napełniły się wspaniałymi darami Morza Śródziemnego. To samo powtórzyło się po raz trzeci, czwarty i piąty...

— A teraz — rzekł Hassan, z rozkoszą patrząc, jak wielkie wrażenie zrobiły jego podarunki — jeśli chcecie, możecie sami wypróbować cudowne właściwości tych waliz. Nie będziecie musieli drzeć z zimna podczas niepogody i mgły porannej na pokładzie waszej

nędziej łódeczki. Nie będziecie potrzebowali błagać Allacha o udany połów. Nie będziecie dźwigali na rynek ciężkich kosztów z rybami. Wystarczy, że weźmiecie ze sobą jedną walizkę, a będziecie z niej mieli dla waszych klientów akurat tyle ryb, ile ich będzie potrzeba... O jedno was proszę, nie sprzeciwiajcie się — zakończył Hassan, wiedział bowiem, co rybacy chcą mu powiedzieć. — Zapewniam was, że nie zachodzi tu żadna pomyłka. Oby życie wasze, o najszlachetniejsi z rybaków, upływało bez trosk! Żegnajcie!... Za mną, przyjaciele moi!

Przy pomocy Giovanniego chłopcy wgramolili się na konia i usadowili za plecami Hassana.

— Żegnajcie, signore! Żegnajcie, dzieci! — odpowiedzieli oszołomieni rybacy spoglądając za oddalającymi się szybko, dziwnymi nieznanymi.

— Jeżeli nawet są to zwyczajne walizy, a nie żadne cudowne — rzekł w zamyśleniu Giovanni, to i tak można by za nie dostać niemało lirów...

— Teraz chyba będziemy mogli podreperować trochę nasze sprawy — powiedział Pietro, najstarszy spośród rybaków, człowiek już siwy, wyglądający na sześćdziesiątkę, o ogorzalej i pomarszczonej twarzy i suchych, żyłastych rękach. — Zapłacimy signorowi ministrowi finansów (żeby się ośmi dławiał dwadzieścia pięć razy dziennie!) wszystkie nasze zaległości, podleczymy trochę ten mój przeklęty reumatyzm, a tobie, Giovanni, sprawimy ubranie, kapelusz, buty i palto. Bądź co bądź, jesteś człowiekiem młodym, masz narzeczoną... Trzeba, żebyś był przywoicie ubrany... W ogóle nieco się przyodziejemy... Czy dobrze mówię, chłopaki?

— „Przyodziejemy się” — gniewnie przedrzeźniał go Giovanni. — A tyle biedy i nędzy dokoła! Przede wszystkim trzeba pomóc wdowie po Giacomo \*, tym, co utonął w zeszłym roku. Prócz niej zostawił jeszcze troje małych dzieci i starą matkę.

— Masz słuszność, Giovanni — zgodził się Pietro. — Trzeba pomóc wdowie po Giacomo. Był z niego dobry i wierny towarzysz.

Do rozmowy wtrącił się drugi rybak. Miał lat około trzydziestu. Nazywał się Cristoforo \*\*.

— A Luigi? \*\*\* Trzeba by jemu podrzucić trochę grosza. Umiera biedak na gruźlicę.

— Racja — potwierdził Giovanni. — I jeszcze tej Sybilli Capella \*\*\*\*. Syn jej już drugi rok siedzi w więzieniu za organizowanie strajku.

— I staremu Giuliano Gargero \*\*\*\*\*. Syna jego zabili karabinierzy podczas demonstracji. Nie chciał im oddać sztandaru. Zastrzelili go na miejscu. Zapewne go pamiętacie; wesoly chłopak, mechanik z elektrowni... — dodał Pietro.

— Pomyślcie, ilu to ludziom będziemy mogli teraz pomóc! — zawołał z zachwytem Giovanni.

Tak to ci trzej zacni ludzie do późna w noc naradzali się nad tym, komu jeszcze powinni pomóc, skoro mają tak niezwykle walizy. Byli to uczciwi i szlachetni ludzie pracy, toteż żadnemu z nich nawet przez myśl nie przeszło, że mógłby inaczej wykorzystać dar Hassana, zdobyć dla siebie bogactwa, stać się zamożnym kupcem rybnym, kapitalistą. Bardzo mi przyjemnie zakomunikować o tym czytelnikom — niech cieszą się wraz ze mną, że dar Hassana dostał się w dobre ręce. Jestem pewien, że żaden z moich czytelników, będąc na miejscu tych genueńskich rybaków, inaczej by nie postąpił.

\* Giacomo (wł.; czyt.: Dziakomo) — Jakub.

\*\* Cristoforo (wł.; czyt.: Cristoforo) — Krzysztof.

\*\*\* Luigi (wł.; czyt.: Luidzi) — Ludwik.

\*\*\*\* Capella — wł.; czyt.: Kapella

\*\*\*\*\* Giuliano Gargero (wł.; czyt.: Dzuliano) — Julian Gardzero.

## XXXVIII. Fatalna waliza

Tego letniego, czarującego ranka o tak wczesnej godzinie obudziło się w Genui przynajmniej pięciu ludzi, których nie trapiła troska o chleb powszedni.

Jednym z nich był Hassan. Rześko zerwał się z posłania i obudził swych młodych przyjaciół (macie więc dalszych dwóch z tych pięciu); spali oni na szerokich drewnianych łózkach. Sam Hassan, według swego zwyczaju, spędził noc na podłodze koło progu, chociaż w hotelu było wolnych pokoi i wolnych łóżek, ile dusza zapragnie.

— Przyjaciele moi — rzekł Hassan do chłopców, którzy słodko ziewali — darujcie, że przerwałem wasz młody, mocny sen, lecz po raz drugi wyjeżdżam na morze na poszukiwanie mego kochanego, a tak nieszczęśliwego brata Omara Jussufa. Nie martwcie się o mnie. Będę ostrożny i zapewniam was, że nie dam się więcej złapać żadnej sieci. Wracam za dwie lub trzy godziny. Przez ten czas zdążę obszukać to całe morze, które nazywacie Śródziemnym. Śpijcie, przyjaciele moi, obudzę was, i kiedy stopy moje znowu staną na nędznych dywanach tego pokoju.

— Nieee! — odpowiedział staruszkowi Wolka. — Nie zgadzamy się na to, żebyśmy mieli zbijać baki w tak poważnej chwili. Będziemy na ciebie czekali na brzegu. Czy dobrze mówię, Żenia?

— Uhm — potwierdził Żenia przeciągając się. — W ostatecznym razie zdrzemniemy się na piaseczku...

Na tej decyzji stanęło. Nasi podróżnicy ubrali się szybko, umyli, zjedli śniadanie i udali się do znanej nam już zatoczki, którą tak niedawno opuścili gościnni rybacy.

Czwartym człowiekiem, który się obudził o tak wczesnej porze, był mister Harry Vandendulles. Korciło go, by jak najszybciej rozpocząć zakupy. Niezależnie od tego, czy oficjalnie przyjeżdżał do jakiegoś kraju lub miasta z tym czy innym poleceniem, myślał przede wszystkim o tym, czy nie dałoby się tam przy okazji kupić czegoś, co by można było z zyskiem odprzedać po powrocie do Ameryki. A że był człowiekiem wyjątkowo chciwym, postanowił przed godziną otwarcia sklepów przejść się nieco na wszelki wypadek po miejscowym targowisku.

Ale mister Vandendulles wiedział doskonale, że porządni Włosi nie czują nadmiernego szacunku dla amerykańskich okupantów i dyplomatów, toteż zabrał ze sobą na targ „opiekuna”. Ten rudy typ o bardzo nieprzyjemnej, dziobatej twarzy był to „człowiek pewny” — pracował w tajnej policji jeszcze za czasów Mussoliniego. Naczelnik policji genueńskiej oświadczył poprzedniego dnia Amerykaninowi, że jeżeli chodzi o Cesare \* Santoretti, to mister Vandendulles może polegać na nim jak na własnym bracie. Ten zwrot nie był zresztą zbyt udany, gdyż bracia Vandendullesowie, jako prawdziwi businessmen \*\*, byli raczej skłonni za każdego dodatkowego dolara utopić się wzajemnie w łyżce wody. Ale naczelnik policji genueńskiej widocznie nie miał braci. Cesare Santoretti był piątym z tych, o których mówiliśmy na początku rozdziału.

Vandendulles nie zrobił nawet kilku kroków na targowisku, kiedy się upewnił, że nie na próżno wstał o tak wczesnej porze. Wprost ku niemu szedł młody, ubogo ubrany człowiek o kędzierzawych włosach trzymając w ręku wspaniałą, skórzaną walizę. Możecie mi wierzyć, że mister Harry Vandendulles znał się na walizach!

Była to pod każdym względem piękna i oryginalna waliza. Niepospolity wytwór produkcji chałupniczej: skóra wspaniale wyprawiona, wyłaczana, w subtelnych kolorach, śliczna rączka przybita gwoździkami o łebkach, których nie można było odróżnić od złotych, gdyż

\* Cesare (wł.; czyt.: Cezare) — Cezar.

\*\* Businessmeni — ang.; czyt.: byznesmeni.



naprawdę były złote. Okucia cieszyły oczy piękną sztuką grawerską: wyryte tam były rybki, ptaszki i jakieś arabskie napisy.

Nie myślcie tylko przypadkiem, że Giovanni (zgadliście już zapewne, że tym kędzierzawym chłopcem był właśnie Giovanni) poszedł na targ poniechawszy koniecznych środków ostrożności., Waliza jego miała na sobie pokrowiec ze starych łąchów. Lecz Vandendulles należał do ludzi, którym wystarczyło zobaczyć mały skraweczek czegoś, żeby się od razu zorientować, że rzecz warta i jest, aby ją zyskownie kupić, a potem jeszcze zyskowniej odprzedać.

— Zapytaj go — z pośpiechem rzekł do Cesarego Santoretti — zapytaj, ile chce za walizę.

— Słuchaj no, ty szczeniaku! — zawołał Cesare na młodego rybaka. — Mój Amerykanin pyta, ile chcesz za to twoje obdarte pudło.

— Sam jesteś szczeniak — odpowiedział Giovanni. — Walizy nie sprzedam. Jest mi potrzebna.

— Czy nie wybierasz się czasem z tą walizą do Nicei? — drwiąco spytał Cesare. — Stęsknili się i tam za takimi, jak ty, wszyscy książęta i hrabiowie Europy.

— To im powiedz, żeby nie tęsknili. Jak się tylko trafi pierwsza okazja, na pewno wybiorę się do Nicei — burknął w odpowiedzi Giovanni i przyśpieszył kroku. — Przyjdzie czas, że wszyscy tam pojedziemy, a tamci będą się musieli trochę ścieśnić.

— O, coś mi się widzi, żeś czerwony!

— Skądże znów? Jestem niebieski w groszki i zielony w kropki... A nie ruszać mi walizy! — krzyknął Giovanni i zdzielił po łapie Cesarego Santoretti. — Nie ruszać, słyszysz!...

— Co? Do bicia się bierzesz? — zasyczał Santoretti rozcierając uderzoną rękę. — Mów prędko, ile chcesz za ten twój oblaźły kufer, bo będziesz żałował... Wiesz ty, kim jest ten Amerykanin? To jest gość jego ekscelencji biskupa genueńskiego i naszego signora prefekta.

— Tak? To niech oni sprzedadzą mu swoje walizy. I tak sprzedali już Amerykanom całe Włochy.

— Aha! Taki z ciebie ptaszek? — krzyknął Cesare Santoretti. — Hej! Karabinierzy!

— Podbiegli dwaj karabinierzy, co chwila oglądając się tchórzliwie na gromadzący się tłum. Z tłumy już odzywały się oburzone głosy. Wielu znało Giovanniego jako dobrego i uczciwego chłopaka; bardziej jeszcze znany był Cesare jako szpicel z czasów Mussoliniego; nikt też nie żywił uczuć przyjaznych dla tego czerwonego na gębie Amerykanina, z którego przyczyny zrobił się ten cały galimatias.

— Na policję go! — zawołał Cesare. — Ten drań ukradł walizę signorowi Amerykaninowi!

Mówiąc to wydarł walizę z rąk pobladłego z oburzenia Giovanniego i zerwał z niej nędzny, uszyty z łąchmana pokrowiec.

— Niech powie, skąd ma tę wspaniałą walizę! — wrzasnął Cesare zwracając się w stronę zgęszczającego się dokoła nich tłumy.

— Podarowano mi ją, panowie... Słowo honoru, że mi ją podarowano! — zawołał Giovanni, lecz zauważył, że nikt mu nie wierzy. — Przysięgam na honor!...

Przykre to było bardzo, ale wyglądało na to, że tym razem przeklęty szpicel mówi prawdę. T-a-a-k! Całkiem kiepskie czasy nastały, skoro biedak Giovanni — taki uczciwy chłopiec — zaczął się parać złodziejstwem.

Tłum się powoli rozproszył, a karabinierzy odprowadzili Giovanniego do komendy genueńskiej policji.

W odległości kilku kroków postępował mister Vandendulles, a z nim oddany mu Cesare. „Opiekun” niósł fatalną walizę...

— Skąd to masz? — spytał Giovanniego inspektor policji otwierając walizę, żeby zoba-

czyć, jak wygląda wewnątrz.

Giovanni struchlał: oto za chwilę wypadnie pół setki ryb! A potem jeszcze i jeszcze!.. Zmarnuje się bez najmniejszego sensu wczorajszy podarunek dziwnego staruszka.

Ale wbrew oczekiwaniu waliza była pusta. Czytelnicy domyślili się zapewne, że ryby zjawiały się w niej tylko wtedy, gdy walizę otwierał Giovanni, Pietro lub Cristoforo. Dla innych ludzi była to najzwyczajniejsza w świecie waliza, tyle że wyjątkowo pięknej roboty.

— Podarowano mi ją — powiedział Giovanni i westchnął z ulgą.

— Ach, tak! Podarowano?! — powtórzył inspektor tonem szyderczym. — Tak po prostu: podarowano i nic więcej?

— A tak — odpowiedział z prostotą Giovanni.

— Kiedy ci ją podarowano?

— Wczoraj wieczorem.

— Kto ci ją dał?

— Jeden staruszek.

— Staruszek? Jak się nazywa ten hojny staruszek?

— Nie wiem.

— I gdzie mieszka, też nie wiesz?

— Nie, nie wiem.

— I czym się trudni, też nie wiesz?

— Nie, nie wiem.

— Od jak dawna znasz tego twego tajemniczego staruszka?

— Poznałem go wczoraj wieczorem, signore.

— I od razu podarował ci tę cenną walizkę, to cudowne dzieło sztuki rękodzielniczej?

— Od razu, panie inspektorze. Ale on mi nie tylko tę jedną walizkę podarował, lecz jeszcze...

Młody rybak nagle zrozumiał, że wygadał się całkiem niepotrzebnie, i umilkł. Mimo wszelkich usiłowań inspektorowi nie udało się zmusić Giovanniego do dalszych zeznań.

— Wszystko jest jasne — powiedział wreszcie inspektor wycierając pot z tłustej twarzy (twarz jego miała niezdrową, żółtą barwę, a gęste siwe brwi sterczały jak wąsy). — Nikt ci tej walizy nie podarował. Ukradłeś ją po prostu naszemu szanownemu gościowi.

Inspektor skinął z uszanowaniem głową w stronę mister Vandendullesa, który rozsiadł się na aksamitnej kanapie. Amerykanin sapał głośno i szklanekę po szklance wlewał w siebie wodę z dużej karafki, po którą sięgał co chwilę.

— Jak pan śmie nazywać mnie złodziejem! — zawołał Giovanni i ruszył z pięściami w stronę inspektora. — Nigdy w życiu nie tknąłem palcem cudzej własności!

— Ach, tak! Jak widać, nie tylko złodziej z ciebie, ale i nie lada łobuz! — z satysfakcją zauważył inspektor.

Po czym kazał zaraz odprowadzić Giovanniego do więzienia i zasiadł do sporządzenia protokołu.

### XXXIX. Naczynie znalezione przy Słupach Herkulesa \*

Tym razem Hassan był punktualny. Obiecał wrócić za dwie, najwyżej za trzy godziny i rzeczywiście — za kwadrans dziewiąta jego promienne oblicze wynurzyło się z wody.

\* Słupami Herkulesa nazywali starożytni Grecy Cieśninę Gibraltarską.

Starzec był uszczęśliwiony.

Szybko wyskoczył na brzeg i głośno krzyczał machając wysoko ponad głową czymś w rodzaju metalowej, obrosłej wodorostami butli rozmiarów tak dużych, że sięgała mu niemal do pasa.

— Znalazłem go, przyjaciele! Znalazłem naczynie, w którym przez tyle wieków męczy się mój nieszczęsny brat Omar Jussuf ibn Chottab, niech słońce nigdy nie zagaśnie nad głową jego! Obszukałem całe morze i byłem już niemal w rozpacz, gdy w pobliżu Słupów Herkulesa zauważyłem w zielonej toni to zaczarowane naczynie.

— No, to czego marudzisz? Otwieraj co prędzej! — krzyknął w uniesieniu Żenia i pierwszy podbiegł do omdlewającego ze szczęścia Hassana.

— Nie śmiem otworzyć, albowiem to naczynie zamknięte jest pieczęcią Sulejmana. Niech Wolka ibn Alosza, który mnie wyzwolił, wyzwoli również z więzienia i mego umęczonego braciszka. Oto jest to naczynie, o którym marzyłem przez tyle bezsennych nocy! — mówił dalej Hassan potrząsając znaną butlą. — Weź to, o Wolko, i otwórz ku radości mojej i brata mego Omara!

Staruszek przysłuchiwał się przez chwilę, potem zaśmiał się i rzekł radośnie:

— Oho-ho, przyjaciele moi! Omar daje mi znaki z wnętrza naczynia.

Żenia nie bez zazdrości przyglądał się, jak staruszek wręczał butlę, ściślej mówiąc, jak położył ją na piasku przed Wolką, który był tym wyraźnie pochlebiony. Okazało się, że naczynie jest bardzo ciężkie.

— Mówiłeś, Hassanie, że Omar został zamknięty w naczyniu miedzianym, a przecież to naczynie jest zrobione z żelaza. Dobrze, już dobrze!... Gdzież jest pieczęć? A, już ją mam! — zawołał Wolka po obejrzeniu butli ze wszystkich stron.

Nagle chłopiec zbladł i wrzasnął ze wszystkich sił:

— Padnij!... Żeńka, padnij!... Hassanie, rzuć natychmiast to naczynie z powrotem do morza i również padnij!

— Czyś ty zwariował?! — obruszył się Hassan. — Tyle lat marzyłem o spotkaniu z Omarem i teraz, gdy go znalazłem, miałbym z powrotem oddać go falom morskim?...

— Ciśnij to jak najdalej!... Nie ma tam twego Omara! Rzucaj że prędzej, bo zginiemy wszyscy! — wołał błagalnie Wolka, a widząc, że staruszek ciągle się jeszcze waha, rozpaczliwie wrzasnął:

— Rozkazuję ci! Słyszysz?!

Hassan w najwyższym zdumieniu wrzucił ramionami, wziął ciężki przedmiot i z rozmachem rzucił go na odległość jakich dwudziestu metrów od brzegu.

Nie zdążył się jeszcze odwrócić ku stojącemu obok niego Wolce, gdy w tym miejscu, gdzie wpadło do morza naczynie, rozległ się straszliwy huk; nad głęboką tonią zatoki nagle wzniósł się w górę potężny słup wody i rozprysnął z wielkim hałasem.

Na powierzchnię wypłynęło z brzuskami do góry mnóstwo ogłuszonych i zabitych rybek.

Skądś biegli już na brzeg ludzie zaciekawieni wybuchem.

— Uciekajmy stąd i to jak najprędzej! — krzyknął Wolka.

Nasi przyjaciele wydostali się szybko na drogę i skierowali się ku miastu.

Na samym końcu szedł Hassan: staruszek był bardzo zdenerwowany i wciąż się oglądał poza siebie. Nie miał jeszcze pewności, czy słusznie postąpił usłuchawszy rozkazu Wolki...

Żenia tymczasem dopędził Wolkę, który znacznie wysforował się naprzód.

— Coś ty na tym wyczytał? — zagadnął go.

— „Made In USA” \*! Tyle wyczytałem!

— To bomba amerykańska, ten cały gips?

\* Made in USA (ang.; czyi.: mejd in ju-es-ej) — wykonano w USA.

— Mina, a nie bomba — skorygował Wolka, — Te rzeczy powinno się wiedzieć! Mina podwodna!

Staruszek Hassan westchnął ze smutkiem.

## XL. „To jest ten stary signor!”

— Możemy zatem uważać, że wszystko jest w porządku — podsumował Wolka wyniki wyprawy. — Z jednej strony nie znaleźliśmy Omara. To przykre, oczywiście. Z drugiej, o mały włos bylibyśmy zginęli, a jednak uratowaliśmy się. To jest już plus!

— Teraz w sam raz przydałoby się śniadanko — zauważył Żenia zdyszany od szybkiego marszu.

Propozycja została uznana za jak najbardziej rozsądną.

Gdy mijali posępny budynek policji, zobaczyli swego wczorajszego znajomego, wesołego rybaka Giovanniego; prowadziło go pod strażą dwóch karabinierów.

Giovanni również ich poznał, wskazał na Hassana i zawołał:

— To jest ten stary signor, który mi podarował walizę! Na pewno zaświadczy, gdzie tylko chcecie, że jestem uczciwym rybakiem, a nie złodziejem!

— O co chodzi, o Giovanni? — spytał Hassan rybaka, w chwili gdy ten, mocno trzymany za ręce przez policjantów, przechodził obok naszych przyjaciół.

— Signore — odpowiedział rybak niemal z płaczem — nie wierzą mi, że mam od pana tę walizę! Odebrali mi ją i nazwali mnie złodziejem! Teraz prowadzą do więzienia. Pomóżcie mi, signore, wytłumaczyć inspektorowi, że nic nie ukradłem!

— Kto śmiał oskarżyć tego szlachetnego rybaka o kradzież? Gdzie jest ten niegodziwiec, który śmiał odebrać mu przedmiot, ofiarowany przeze mnie, Hassana Abdurrachmana ibn Chottab... Chodźmy do tego niegodnego człowieka, a powiem mu to w oczy. W kaprawe jego ślepia mu to powiem!

Inspektor, który nie zdążył jeszcze napisać protokołu śledztwa, ze zdumieniem podniósł głowę usłyszawszy, że ktoś wszedł do gabinetu. Nie lubił, gdy mu przeszkadzano. Nawet Vandendullesa, którego bezgranicznie szanował i któremu był bardzo oddany, wyprosił na czas pisania protokołu, do sąsiedniego pokoju, gdzie na Amerykanina czekał miękki fotel i filiżanka kawy.

— A to co?! — zasyczał na widok zaaresztowanego rybaka oraz jego konwojentów, gdy znowu zjawili się przed jego biurkiem. — Aresztowany powinien być już o tej porze odprowadzony przez was do więzienia!

— Panie inspektorze! Oto jest starzec, który mi wczoraj podarował walizę! — z triumfem zawołał Giovanni wskazując na wchodzącego za nim Hassana. — Może potwierdzić to, co mówiłem.

— Ciekawe, bardzo ciekawe! — rzekł inspektor cedząc słowa i obrzucając Hassana badawczym wzrokiem. Chytry uśmiech wypełził jak żmija na jego żółtą, źle ogoloną twarz. — Znaczyłoby to, że ten... jak go tam... Giovanni Sapegno \* nie kłamie? Pan mu istotnie podarował tę walizę? Ze skromnego ubrania pańskiego wnoszę, że nie jest pan na tyle zamożny, żeby rozdawać na prawo i lewo tak kosztowne przedmioty.

— Mądrość poucza, że kto sądzi człowieka wedle odzieży jego, często się myli! Tak, to ja podarowałem wczoraj temu szlachetnemu rybakowi walizę, którą mu całkiem bezpodsta-

\* Sapegno — wł.; czyt.: Sapenio.

wnie odebrałeś, a także jeszcze jedną, której ci się nie udało i nie uda nigdy odebrać. Podarowałbym mu jeszcze dziesięć, dwadzieścia, sto, dziesięć tysięcy takich, a nawet wielokroć droższych waliz, gdyby się tylko zgodził przyjmując je ode mnie! — chętnie oświadczył Hassan; staruszek zdawał się nie widzieć znaków ostrzegawczych, które mu przesyłał wielce zaniepokojony Giovanni.

Ale było już za późno. Inspektor z uciechą zacierał ręce.

— Proszę wybaczyć, drogi signore — rzekł nie, spuszczać oczu ze swego sędziwego rozmówcy — proszę wybaczyć, ale mimo głębokiego szacunku, jaki mam dla pana, nie mogę uwierzyć pańskimi słowom.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, o przewrotny inspektorze, że jestem kłamcą?! — krzyknął Hassan, a twarz jego oblała się szkarłatem.

— Zważ pan sam, signore: strój pański jest nader skromny, a mimo to powiadasz, że ot tak sobie po prostu, że tak powiem, na piękne oczy, podarowałeś rybakowi, człowiekowi prawie nieznanemu — walizę, która kosztuje co najmniej tysiąc dolarów, jeśli chcemy wyrazić jej wartość w mniej więcej stałej walucie.

— Dwie walizy! Lecz nie na „piękne oczy” tylko za to, że nakarmił moich młodych przyjaciół! — poprawił gderliwie Hassan.

— Dwa tysiące dolarów za jeden obiad!

— Za kolację — znowu skorygował Hassan.

— W tym wypadku to wszystko jedno. Dwa tysiące dolarów za kolację! Czy nie uważasz pan, że to jest nieco wygórowana cena? — zachichotał inspektor.

— Nie, nie uważam — odpowiedział porywczo Hassan. — Za szlachetny postępek, za bezinteresowną usługę zawsze płacę hojnie.

Inspektor zrozumiał ostatnie słowa jako aluzję wskazującą na możliwość łapówki. W oczach błysnęła mu chciwość.

— Czy ma pan dużo takich waliz? — zapytał.

— Nie mam ani jednej, ale mogę podarować, ile chcę.

— To może i pieniędzy ma pan tyle, ile pan chce? — podstępnie wypytywał Hassana inspektor.

Staruszek uśmiechnął się pogardliwie.

— Może pan posiada klejnoty albo złoto?

— Nie mam ani odrobiny, ale mogę mieć tyle, ile będę uważał za stosowne.

— Czy ma pan własne kopalnie złota? Gdzie? Może w Ameryce Południowej?... Może w Kalifornii?...

— W mojej kieszeni. Jeżeli zechcę, mogę napełnić złotem cały dom — rzekł Hassan skubiąc brodę.

— Trudno w to uwierzyć — odpowiedział inspektor.

— A to? Cóż to jest?! — zawołał Hassan i zaczął z kieszeni swoich płóciennych spodni garściami wyciągać złote monety.

Na stole oszołomionego inspektora już leżała spora górką złota, gdy wreszcie staruszek zauważył znaki, które mu dawał Giovanni. Przestał więc wyciągać złoto z kieszeni i z naiwną prostotą odezwał się do inspektora:

— Już się, mam nadzieję, przekonał, że ten szlachetny rybak nie jest ani kłamcą, ani tym bardziej złodziejem! Natychmiast więc pozwól, aby odszedł ciesząc się wolnością i spokojem.

— Niestety, signore. Przekonałem się wprawdzie, że Giovanni Sapegno złodziejem nie jest — rzekł inspektor ze smutkiem, w którym czuło się obłudę — ale dlatego właśnie nie mogę go zwolnić.

— Co? — groźnie spytał Hassan.

— Proszę mi darować, lecz pewien signor, którego imienia nie mam prawa tu wymie-

nić, a który, jeśli idzie o przyzwoitość, jest poza wszelkimi podejrzeniami, zgłosił swoje prawa do tej walizy, którą pan — chętnie w to wierzę! — podarował wczoraj temu... jak mu tam... Giovanniemu Sapegno. Odbędzie się więc rozprawa sądowa, a przed rozprawą śledztwo. Walizę musimy na razie zatrzymać jako dowód rzeczowy, signora Giovanniego zaś jako... e-e-e... świadka, a może nawet jako oskarżonego... Wszystko wyjaśni śledztwo, signore...

— Jak długo będzie trwało owo śledztwo?

— Będziemy je prowadzili w trybie jak najbardziej przyspieszonym, signore. To znaczy, że za dwa lata lub za dwa i pół roku, jak sądzę, będzie już zakończone. Trzeba dorzucić jeszcze najwyżej jakieś pół roku — i odbędzie się rozprawa sądowa.

— Jak to? Przez trzy lata chcesz dręczyć w więzieniu tego zacnego rybaka, a potem będziesz jeszcze rozważał — winien, czy nie winien?

— Prawo jest prawem! Mamy teraz w toku tak dużo spraw, że boję się obiecywać bliższy termin... Zresztą... — tu inspektor zaciął się na chwilę, nieznacznym ruchem głowy dał do zrozumienia konwojentom, że mają wyjść z pokoju, potem ciągnął dalej głosem przyciszonym, lecz stanowczym: — Jest zresztą inne, znacznie przyjemniejsze wyjście z tej wielce nieprzyjemnej sytuacji...

— Jakie? — spytali jednocześnie Hassan i rybak.

— Drobną ofiarą, szanowni panowie. Jeżeli wolicie, można to nazwać bezzwrotną pożyczką. Rodzinę mam tak liczną, a pobory moje są tak niewielkie...

— Ani słowa więcej, przekupny nędzniku! Nie mogę bez wstrętu słuchać tego, co mówisz! Pojdę i powiem o tym zaraz twemu głównemu szefowi! — zawołał Hassan z niewypowiedzianą pogardą.

— Nie robi pan tego z dwóch powodów, szanowny signore — odpowiedział inspektor, ani na chwilę nie podnosząc głosu. — Po pierwsze, będzie pan musiał w tym wypadku jemu również dać łapówkę, po drugie — i to jest najważniejsze — nie wyjdzie pan z mego gabinetu inaczej, jak pod strażą.

— Dlaczego?

— Dlatego że jestem zmuszony aresztować również i pana.

— Mnie?! Aresztować?! Za co?! Chyba się przesłyszałem?

— Za to, że nie wykonał pan zarządzenia władz i nie oddał do skarbu państwa włoskiego całego złota, jakie pan posiada. Powinien pan zrozumieć, że nie mając złota, państwo włoskie nie może skutecznie walczyć w obronie cywilizacji zachodniej.

— Z jakiej to racji miałbym przekazywać złoto do skarbu obcego państwa?

— Czy mam przez to rozumieć, że pan nie jest Włochem, signore?

— Masz tak rozumieć i wcale nie jesteś w błędzie.

— Pan jest cudzoziemcem?

— Oczywiście.

— I nie jest pan Amerykaninem?

— Co do tego też się nie mylisz.

— Czy dawno pan przybył do Włoch?

— Wczoraj przed wieczorem.

— Gdzie pan ma swój paszport zagraniczny, drogi signore?

— Co rozumiesz przez to nie znane mi słowo „paszport zagraniczny”, o po trzykroć pogardy godny, przekupny nędzniku?

— Paszport zagraniczny to dokument, bez którego żaden cudzoziemiec, z wyjątkiem Amerykanów, nie ma prawa wjeżdżać do Włoch i wyjeżdżać stąd za granicę.

— Potężny dzinn, Hassan Abdurrachman ibn Chottab, nie potrzebuje niczyich zezwoleń. Przybywa do tych krajów, które podoba mu się nawiedzić, nie poniżając się do wypraszenia zezwoleń zarówno od władz ziemskich, jak i od niebieskich, z wyjątkiem, oczywiście,

Allacha.

— To znaczy, że przyjechał pan do Włoch nie mając wizy naszego ministerstwa spraw zagranicznych i że przewiózł pan jakąś dość znaczną ilość złota? Za to właśnie, drogi signore, zmuszony jestem pana aresztować. Zresztą, jest jeszcze inne, przyjemniejsze wyjście z sytuacji.

— Łapówka? — domyślił się Hassan.

Inspektor kiwnął potwierdzająco głową, nie zauważywszy, że staruszek wyrwał z brody kilka włosów.

— Chciałbym zwrócić pańską uwagę na to — rzekł inspektor przerywając ciszę, która zapanowała po jego słowach — że w więzieniu będzie panu bardzo ciężko. Jedzenie dadzą słone, a pić nie dadzą. Codziennie będę pana odwiedzał i pokazywał mu tę oto karafkę pełną chłodnej wody, a pan będzie cierpiał tak wielkie pragnienie, że wreszcie odda mi pan całe swoje złoto i wszystkie pański« walizy. W końcu będzie pan jeszcze uważał za wielkie szczęście, żeśmy pana nie pozbawili życia.

— Ale czemu ukradłeś walizę, którą odebrałeś Giovanniemu? — zapytał Hassan rzucając na podłogę kilka podartych na kawałki włosów.

— Nigdy nie kradnę dowodów rzeczowych — obraził się inspektor — waliza jest tu...

Jeszcze przed chwilą waliza leżała na krześle po prawej stronie inspektora i nagle jakby się zapadła pod ziemię. Znikł również stos złotych monet, niepokojący w sposób tak przyjemny wyobraźnię inspektora, lecz najbardziej zadziwiające było to, że wprost spod jego rąk, nie wiadomo gdzie i jak, przepadł również protokół zeznań Giovanniego.

— Ukradłeś, staruchu przeklęty! Ty i ta trusia, Giovanni! Ale to nic! Postaram się, żebyście jak najprędzej zrozumieli, gdzie jesteście! — wrzasnął inspektor i nacisnął dzwonek. Natychmiast weszło czterech żandarmów o niezwykle tępych i okrutnych twarzach.

— Zrewidować ich! — zawołał inspektor.

Ale rewizja nie dała żadnych wyników.

— Gdzie się podziało złoto? Gdzie jest waliza i protokół?! — ryczał inspektor.

Hassan milczał. Giovanni bezradnie rozłożył ręce i rzekł:

— Nie wiem, panie inspektorze.

Wtem otworzyły się drzwi i do gabinetu zajrzał mister Vandendulles. Twarz jego była wyraźnie zatroskana. Spoza jego pleców wyglądał Cesare, który jako tłumacz Vandendullesa zgłosił oświadczenie natury oficjalnej.

— Panie inspektorze, mój Amerykanin prosi, abym panu powiedział, że jest mu bardzo pilno, gdyż za chwilę otwarte zostaną sklepy. Czyby się nie dało porozmawiać z nim prędzej?

W charakterze akompaniamentu do tych słów Vandendulles majestatycznie kiwał głową. I oto nagle spostrzegł Hassana, który stał sobie skromnie na uboczu.

— O-o-o-o-o! — zawołał Amerykanin. — Panie inspektorze, niech pan zatrzyma w areszcie tego starogo.

— Signor Amerykanin prosi, aby signor inspektor zatrzymał w areszcie tego starca — szybko zaczął pyłować Cesare Santoretti tłumacząc na język włoski słowa Vandendullesa. — Signor Amerykanin oskarża go, że przed kilku dniami zrabował mu sto milionów i sto tysięcy dolarów gotówką w paczkach po sto dziesięciodolarowych banknotów, a także dziesięć tysięcy złotych zegarków wysadzanych brylantami, dwadzieścia tysięcy złotych cygarniczek, pięćdziesiąt tysięcy naszyjników z pereł, piętnaście tysięcy starych porcelanowych serwisów oraz jeden bezcennej wartości srebrny pierścień, który signor Vandendulles otrzymał w spadku po jego wysokości zmarłym królu Salomonie, synu Dawida...

— Tu! Tu jest ten pierścień! — ryknął mister Vandendulles, gdyż zauważył na ręku Hassana mały pierścionek z napisem: „Noś, Katiu, na zdrowie!”

— Oddaj pierścionek!

— Zabierzcie no się do starogo, niech się odezwie — wydał rozkaz inspektor i zawcza-

su się ucieszył obiecując sobie przyjemne widowisko; w związku z tym jak najwygodniej rozsiadł się w fotelu.

Żandarmi zasalutowali w milczeniu, po czym... zupełnie nieoczekiwanie i dla inspektora, i dla samych siebie, gwałtownie wyrwali spod swego zwierzchnika fotel, przewrócili inspektora na dywan i zaczęli go tłuc.

— Co robicie, szelmy?! — wrzeszczał inspektor. — Kazałem wam przecież, żebyście pogadali z tym staruszkim, nie ze mną.

— Tak jest, panie inspektorze! — odpowiedzieli ochoczo żandarmi, nie przestając spuszczać naczelnikowi lania.

— Czego stoisz jak słup?! — wrzasnął inspektor na Cesarego, który całkiem zdębiał ze zdziwienia. — Na pomoc, Cesare, na pomoc!

Opiekun i obrońca Vandendullesa zbliżył się do odbierającego cięgi inspektora jakimś dziwnym, jak gdyby drewnianym krokiem i walnął go kilka razy tak, że tamten od razu ucichł, stracił bowiem przytomność.

Gdy się żandarmi przekonali, że ich inspektor jest już gotów, jak na komendę westchnęli ciężko, podobnie jak Cesare, i zaczęli się nawzajem okładać pięściami, dopóki jeden po drugim nie popadali na podłogę całkiem wykończeni. Ostatni przewrócił się Cesare Santoret-ti. Ale padając, ostatkiem sił tak jeszcze zdzielił Vandendullesa, że ten gruchnął na dywan niczym worek z kartoflami.

— Znacie tego Amerykanina? — zapytał Giovanni Hassana. — To właśnie on powiedział, że ukradłem mu walizę...

— Czy znam tego nikczemnego człowieka? — rzekł z ironicznym uśmiechem Hassan. — Tak, zdarzało mi się go spotykać... No, mój zacny Giovanni, teraz wszystko, jak się zdaje, jest w należytym porządku. Porzućmyż jak najprędzej ten niegościnnie dom.

To rzekłszy wziął Giovanniego za rękę i najspokojniej w świecie, zupełnie tak, jak przez drzwi, wyszedł z nim na ulicę bezpośrednio przez grubą marmurową ścianę, za którą czekali Wolka i Żenią targani niepokojem z powodu ich długiej nieobecności.

— Zabierz, Giovanni, z powrotem twoją walizę — rzekł staruszek do młodego rybaka, wręczając mu niepozorną walizę, która zasługiwała jedynie na to, aby ją wyrzucić na śmietnik.

Giovanni gotów był przysiąc, że jeszcze przed sekundą w ręku Hassana nie było żadnej walizy. Waliza, podarowana mu w tej chwili, nie miała nic wspólnego z tamtą, kosztowną, za którą o mały włos nie zapłacił utratą wolności.

— Niech cię nie zraża wygląd zewnętrzny tej walizy — rzekł Hassan widząc malujące się na twarzy Giovanniego zdziwienie. — Zgodzisz się chyba ze mną, że wobec jej cudownych właściwości piękny wygląd zewnętrzny nie tylko jest całkiem zbędny, ale wręcz szkodliwy.

Pożegnali się bardzo serdecznie. Giovanni pobiegł do domu, aby uspokoić swoich towarzyszy, którzy nie wiedzieli, co mają myśleć o tak długiej jego nieobecności. Wieści o areztowaniu Giovanniego zdążyły już do nich dotrzeć, nie mieli więc, rzecz prosta, nadziei, by mu się udało prędko wydostać z drapieżnych łap sprzedajnej genueńskiej policji. Możecie sobie wyobrazić, z jaką radością ściskali Giovanniego, gdy zobaczyli, że jest żywy, zdrowy i wolny, jak się cieszyli słysząc z własnych jego ust niezwykłą historię jego przygód.

A Hassan tymczasem wrócił do swoich młodych przyjaciół. Sami rozumiecie, że przede wszystkim opowiedział ze szczegółami o tym, co przed chwilą zaszło w gabinecie inspektora policji.

— Och! — krzyknął Wolka w pasji. — Ja bym tego drania tak na pożegnanie urządził, że popamiętałby na całe życie!

— Jak zawsze masz słuszność, o Wolko ibn Alosza — z głęboką powagą, sentencjonalnie wyrzekł Hassan.



W tym samym czasie w odległości czterech kilometrów od zgodnie maszerujących naszych przyjaciół, w znanym nam już gabinecie wydarzyło się coś tak zdumiewającego, że żandarm, który pierwszy odzyskał przytomność, w jednej chwili padł bez zmysłów po raz drugi: oto inspektor, który wciąż jeszcze leżał na podłodze, nagle skurczył się w swoich rozmiarach i znalazł się nie wiadomo jakim sposobem w szklanej karafce; była to ta sama karafka, którą opróżnił do ostatniej kropelki mister Vandendulles.

I tak siedzi inspektor policji do dnia dzisiejszego w tej karafce. Liczne próby wyzwolenia go stamtąd nie odniosły żadnego skutku, karafka bowiem stała się nagle twardsza niż diament i rozbicie jej lub rozpiłowanie jest absolutną niemożliwością.

Oczywiście, musiano wobec tego zwolnić inspektora z zajmowanej przez niego posady i jego rodzina znalazłaby się całkiem bez środków do życia, gdyby nie to, że małżonka byłego urzędnika wpadła na pomysł ustawienia na ulicy małego stoliczka. Stoi na nim karafka z dymisjonowanym inspektorem.

Za prawo popatrzenia na jej małżonka przedsiębiorcza signora inkasuje tylko jednego lira, utrzymuje się z tego jednak wcale nienajgorzej. Każdy porządny Wioch chętnie wyda lira, by mieć za to przyjemność oglądania bezczelnego łapownika i wiernego fagasa kapitalistów, uwięzionego w karafce.

Niemniej godne uwagi są koleje losu mister Vandendullesa. Zapomnieliśmy wam zakomunikować, że kara dosięgła go jednocześnie z inspektorem. Hassan zmienił go w psa. Cesare Santoretti osiwił w ciągu minuty, kiedy zobaczył, jak w jego oczach chciwy Amerykanin przeistoczył się w wyleniałego rudego kundla.

Vandendulles mieszka tak do dnia dzisiejszego w swoim mieszkaniu w Nowym Jorku, pozostając w psim stanie.

Bogaci panowie z Wall Street —przysyłają mu stale najlepsze kości z własnego stołu. Za to raz na tydzień Vandendulles występuje w audycjach radiowych „Głos Ameryki”, gdzie przez dwadzieścia minut szczeka.

Co się tyczy naszych przyjaciół, to Hassan przekonawszy się, że nie znajdzie Omara w wodach Morza Śródziemnego, zaproponował wyprawę do wybrzeży Oceanu Atlantyckiego. Propozycja ta była do najwyższego stopnia ponętna. Jednakże całkiem nieoczekiwanie wystąpił przeciw niej Wolka. Oznajmił stanowczo, że musi koniecznie już następnego dnia być w Moskwie, ale przyczyny wyjazdu ujawnić nie może. Przyczyna ta miała być pono ogromnie ważna.

Wobec tego Hassan odłożył na jakiś czas poszukiwania Omara Jussufa, jakkolwiek uczynił to z ciężkim sercem.

Zanim jeszcze wszyscy poturbowani żandarmi zdążyli wrócić do przytomności, hydroplan „WK-I” szybko wzniósł się do góry i po krótkiej chwili skrył się za górami, unosząc na sobie Hassana Abdurrachmana ibn Chottab, Władimira Kostylkowa i Jewgienija Bogorada.

Po upływie dziesięciu godzin z minutami „WK-I” pomyślnie schodził w dół nad łagodną pochyłością brzegu rzeki Moskwy.

## XLI. Najkrótszy ze wszystkich rozdziałów

W pewne gorące lipcowe południe od Czerwonej Przystani w porcie archangielskim odbijał łamacz lodów „Ładoga”. Na pokładzie jego jechała liczna wycieczka stachanowców. Na przystani orkiestra dęta bez przerwy grała marsze, a odprowadzający powiewali chusteczkami i wołali: „Pomyślnych wiatrów!”

Łamacz lodów ostrożnie wypłynął na środek Dwiny i, pozostawiając za sobą białe jak śnieg smugi pary, minął mnóstwo radzieckich i zagranicznych statków, po czym wziął kurs na ujście rzeki do Morza Białego. Nieskończona ilość motorówek, barek, szkunerów, trawlerów, kajaków i nieruchawych, niekształtnych tratw maciła spokojną toń tej wielkiej rosyjskiej rzeki.

Słóczeni na górnym pokładzie wycieczkowicze żegnali na cały miesiąc Archangielsk i wybrzeża naszego kontynentu.

— Wolka! — zawołał jeden z uczestników wycieczki do drugiego, który z zatroskaną miną zaglądał we wszystkie kąty w pobliżu mostka kapitańskiego. — Gdzie się podział Hassan?

Słowa te pozwolą uważnym czytelnikom 1ej opowieści wyciągnąć nieomylny wniosek, że wśród gromadki wycieczkowiczów znaleźli się również starzy nasi znajomi.

## XLII. Marzenie o „Ładodze”

W tym miejscu musimy koniecznie zrobić małą dygresję i opowiedzieć, w jaki sposób przyjaciele nasi znaleźli się na „Ładodze”.

Czytelnicy na pewno jeszcze nie zapomnieli, że Wolka, w znacznym stopniu z własnej winy (nie powinien był liczyć na podpowiadanie!), haniebnie oblał egzamin z geografii. Takich wydarzeń się nie zapomina. Oczywiście pamiętał o tym także i Wolka; pamiętał i uczył się bardzo sumiennie, żeby zdać poprawkowy egzamin. Powiedział sobie, że stanowczo musi dostać piątkę.

Lecz mimo najszczerzych chęci, żeby się jak najlepiej przygotować do egzaminu, okazało się, że nie była to sprawa zupełnie prosta.

Przeszkadzał Hassan. Wolka bowiem nie zdobył się na to, by wytłumaczyć staruszkowi, jak fatalne skutki pociągnęło za sobą jego podpowiadanie. Bał się, żeby Hassan nie ścigał swoim gniewem nauczycieli za oblany przez Wolkę egzamin.

Wyjątkowo nieprzyjemnie było zwłaszcza tego dnia, kiedy w sposób tak niezwykle skończył się mecz między drużynami „Śruba” i „Dłuto”.

Przejęty skruchą z powodu przykrości, jakie Wolka miał dzięki niemu na stadionie, Hassan dnia tego nie odstępował chłopca ani na krok, przypochlebiał mu się, jak tylko mógł, rozpląwał się w komplementach i przez cały czas narzucał się wysuwając jak najbardziej pojętne propozycje. Dopiero koło godziny jedenastej wieczorem Wolka miał wreszcie możliwość zabrać się do książki.

— Za twoim zezwoleniem, o Wolko, położę się już, gdyż zachciało mi się strasznie spać — rzekł wreszcie Hassan; ziewnął i wsunął się na swoje zwykłe miejsce — pod łóżko.

— Dobranoc, Hassanie, życzę ci miłych snów! — odpowiedział mu Wolka sadowiąc się jak najwygodniej przy stole i ze szczerym żalem spoglądając na posłanie.

Był zmęczony i nie miałby nic przeciwko temu, żeby sobie chrapnąć i to dobrych pięćset albo sześćset minut, jak sam się lubił wyrażać. Trzeba się było jednak uczyć i Wolka rad nierad pochylił się nad podręcznikiem.

Niestety! Szelest kartek zwrócił uwagę usypiającego dżinna. Wysunął spod łóżka swoją zmierzwioną brodę i sennym głosem zapytał:

— Dlaczego nie leżysz na posłaniu twoim, gdy godzina jest już tak późna, o stadionie duszy mojej?

— Jakoś mi się nie chce spać. Cierpię na bezsenność — skłamał Wolka.

— Cc... cc... cc! — ze współczuciem cmoknął językiem staruszek. — To bardzo nie-miła rzecz. Bezsenność jest nader szkodliwa w twoim tak młodziutkim jeszcze wieku. Niech cię to jednak nie martwi, nie ma bowiem dla mnie rzeczy niemożliwych.

Staruszek wyrwał z brody kilka włosków, dmuchnął na nie i powiedział szeptem jakieś słowo. Wolka nie zdążył nawet zaprotestować przeciw niewczesnej pomocy Hassana, usnął bowiem w jednej chwili, położywszy głowę na stole.

— Otóż, niech Allahowi będzie chwała, wszystko w porządku — mruzczał Hassan gramoląc się spod łóżka. — Pozostań w objęciach snu aż do śniadania!

Bez najmniejszego wysiłku wziął na ręce śpiącego chłopca, ostrożnie położył go do łóżka i okrył kołdrą; potem, postępując i pomrukując z zadowolenia, ulokował się znowu pod łóżkiem.

A tymczasem światło stojącej na stole lampy elektrycznej przez całą noc bezużytecznie padało na samotnie leżący na stole podręcznik geografii, otwarty na stronie jedenastej.

Możecie sobie łatwo wyobrazić, jak wiele trudów, najrozmaitszych drobnych podstępów i sprytnych posunięć kosztowało Wolkę należyte przygotowanie się do poprawki! Nie co innego, tylko właśnie egzamin poprawkowy był tą ważną przyczyną, dla której Wolka, a wraz z nim również Hassan i Żenia musieli odlecieć z Genui, kierując się nie ku brzegom Oceanu Atlantyckiego, ale z powrotem do Moskwy.

Okazało się jednak, że dobre przygotowanie się do egzaminu to tylko połowa zadania. Należało jeszcze coś wymyślić, żeby się odczepić od Hassana w tym czasie, kiedy trzeba będzie pójść do szkoły i zdać poprawkę.

Tutaj autor tej prawdziwej opowieści uważa za konieczne podać do wiadomości czytelników, że w mieszkaniu Kostylkowów mieszkało jeszcze dwóch lokatorów; nie wspominaliśmy o nich dotychczas jedynie dlatego, że nie brali żadnego udziału w opisywanych przez nas wydarzeniach, a i w dalszym ciągu nie będą przedmiotem bliższych naszych zainteresowań. Uważamy za potrzebne zakomunikować o ich istnieniu tylko z tego powodu, że akurat w wigilię owego dnia wieczorem na ich prośbę telefon z gabinetu Kostylkowa-ojca został przeniesiony z uwagi na ogólną wygodę do przedpokoju.

Ten nic nie znaczący na pierwszy rzut oka wypadek, jak się nasi czytelnicy za chwilę będą mogli łącno przekonać, doprowadził w sposób nieoczekiwany do poważnego przełomu w nastrojach i marzeniach staruszka Hassana.

Wolkę nie na żarty niepokoiło pytanie, w jaki sposób ma wyjść z domu niepostrzeżenie dla Hassana, gdy wtem z przedpokoju dał się słyszeć dźwięk dzwonka telefonicznego. Telefonował Żenia.

— Słucham! — odpowiedział mu Wolka. — Dzień dobry!... Tak, dziś. Punkt o dwunastej... Jeszcze śpi. Co?... Tak, zupełnie zdrow. W ogóle to bardzo krzepki staruszek... Co? Nie, jeszcze nic nie wymyśliłem... Co? Czyś ty na głowę upadł?! On się tym ogromnie zmartwi, przykro mu będzie i nawarzy takiego piwa, że przez trzysta lat trzeba je będzie spijać... A więc przyjdiesz do mnie o wpół do jedenastej? Dobra!

Przez drzwi pokoju Wolki wyjrzał Hassan. Odezwął się szeptem z wyraźnym wyrzutem:

— Dlaczego, o Wolko, rozmawiasz z twoim i moim przyjacielem Żenią ibn Kola w przedsiönku? To niegrzecznie. Czyż nie lepiej byłoby zaprosić go do twego pokoju?

— Jakże ma tu wejść, skoro w tej chwili jest u siebie w domu?

Hassan poczuł się dotknięty.

— Nie rozumiem, jaki jest powód, że tak lubisz się natrzęsać ze starego, kochającego cię dżinna? Uszy moje nie oszukały mnie jeszcze nigdy. Przed chwileczką słyszałem, żeś gawędził z Żenią.

— Ale rozmawiałem z nim przez telefon! Rozumiesz, czy nie rozumiesz? Przez telefon. Co ja mam z tobą za kram, Hassanie! Masz się rzeczywiście czego obrażać! Chodź, zaraz

ci to wszystko pokażę.

Wyszli do przedpokoju. Wolka zdjął słuchawkę z widełek, szybko nakręcił dobrze sobie znany numer i rzekł:

— Przepraszam, czy mógłbym prosić Żenię? — potem podał słuchawkę Hassanowi. — Masz, możesz z Żeńką porozmawiać.

Hassan ostrożnie przycisnął słuchawkę do ucha, na twarzy jego błąkał się zakłopotany uśmiech.

— Tyżeś to, o błogosławiony Żenia ibn Kola? Gdzie się w tej chwili znajdujesz? W domu? Sądziłem, że siedzisz w tej czarnej tubce, którą przykładam do mego ucha... Tak, wcale się nie mylisz, oddany ci przyjaciel Hassan Abdurrachman ibn Chottab... Wkrótce przyjdiesz? Niechże więc będzie błogosławiona droga twoja!

Promieniejąc z zachwytu staruszek oddał słuchawkę Wolce; chłopiec szczyrzył zęby w uśmiechu.

— To niesłychane! — mówił Hassan. — Gawędziłem, nawet nie podnosząc głosu, z młodzieńcem, który jest ode mnie oddalony o dwie godziny marszu!

Gdy wrócili do pokoju Wolki, Hassan obejrzał się z chytrą miną, pstryknął palcami lewej ręki i na ścianie nad akwariem w jednej chwili zjawił się telefon dokładnie tego samego kształtu, co ten z przedpokoju.

— Będiesz teraz mógł, nie opuszczając swego pokoju, ile tylko chcesz, rozmawiać z przyjaciółmi — rzekł do Wolki.

— Za to jestem ci naprawdę wdzięczny! — z radością zawołał chłopiec; zdjął słuchawkę, przyłożył do ucha i długo, uważnie słuchał.

Ale nie usłyszał żadnego brzęczenia.

— Halo! Halo! — krzyczał Wolka.

Potrząsnął słuchawką, potem zaczął w nią chuchać. Sygnału mimo to nie było.

— Aparat zepsuty — rzekł do Hassana. — Zaraz otworzę pokrywę. Zobaczymy, co mu brakuje.

Ale aparat mimo wysiłków Wolki nie chciał się otworzyć.

— Zrobiony jest z jednolitego kawałka nad wyraz wybornego czarnego marmuru — pochwalił się Hassan.

— Czy to ma znaczyć, że nie ma tam nic wewnątrz? — zapytał Wolka ogromnie zawiedziony.

— A czy w środku powinno coś być? — niespokojnie zapytał Hassan.

— Ano, wobec tego... To zupełnie zrozumiałe, że taki telefon nie może działać — rzekł Wolka. — Zrobiłeś tylko makietę telefonu, pozbawioną tego wszystkiego, co musi być wewnątrz. Tymczasem to, co jest wewnątrz aparatu, stanowi właśnie rzecz najważniejszą.

— Cóż tam powinno być w. środku? Wy tłumacz mi, a natychmiast zrobię wszystko, co jest potrzebne.

— To nie tak łatwo wytłumaczyć — z miną cokolwiek wyniosłą odpowiedział Wolka. — Trzeba by najpierw przejść całą naukę o elektryczności.

— Naucz mnie przeto tego, co nazywasz elektrycznością!

— Na to... — mówił głosem natchnionym Wolka — na to... trzeba jeszcze przedtem przejść całą arytmetykę, całą algebrę, całą geometrię, całą trygonometrię, wszystkie kreślenia i jeszcze wiele innych nauk.

— Naucz mnie tedy owych nauk.

— Kiedy... ja... ja sam jeszcze tego wszystkiego nie umiem — przyznał się Wolka.

— Naucz mnie więc tego, czegoś się już nauczył.

— Trzeba by na to dużo czasu.

— Nic nie szkodzi. Zgadzam się — stanowczo rzekł Hassan. — Powiedz mi tedy, a nie dręcz mnie dłużej — czy zechcesz mi udzielać tych wiadomości, które dają ludziom tak cudo-

wną moc?

— Tylko żebyś mi lekcje odrabiał przyzwoicie! — odpowiedział Wolka surowo. Hassan złożył niski ukłon, dotknął ręką serca i czoła.

Wolka natychmiast znalazł wśród swoich książek stary zatłuszczony elementarz, z którego kiedyś dawno, w czasach zamierzchłych sam się uczył czytać, szybko zjadł śniadanie i poszedł z Hassanem na brzeg rzeki, żeby być jak najdalej od niedyskretnych oczu ludzkich.

Okazało się, że Hassan jest wyjątkowo starannym i zdolnym uczniem. Każdą literalnie rzecz chwytął w lot; mniej więcej po godzinie czytał już z ogromną przyjemnością, cokolwiek tylko przeciągając sylaby:

— „My lu-dzie wol-ni. Lu-dzie wol-ni to my. Ma-ma mnie ko-cha. Gdy u-ros-nę, bę-dę du-ży i pój-dę do szko-ły. My-ję u-szy my-dłem. Mój dzie-du-niu mi-ły, fu-jarke mi zrób...”

— Czy wiesz, Hassanie, że jesteś po prostu niesłychanie zdolny? — bez ustanku zachwycał się Wolka, co wywoływało za każdym razem na twarzy staruszka żywe rumieńce zażenowania.

— A teraz — rzekł Wolka, gdy Hassan płynnie i bez zarzutu przeczytał od deski do deski cały elementarz — teraz powinieneś się nauczyć pisać. Szkoda tylko, że mam nieszczęśliwy charakter pisma. Zaraz wyskoczę i kupię kilka zeszytów do rachunków i parę z ukośnymi linijkami. A ty przez ten czas może byś tak spróbował sam bez niczyjej pomocy przeczytać gazetę?

Mówiąc to wetknął Hassanowi do ręki świeży numer „Pionierskiej Prawdy” i pojechał do szkoły.

Wielki gmach szkolny był dziwnie pusty. Tylko w gabinecie dyrektor wraz z kierownikiem pedagogicznym i nauczycielem geografii dyskutowali nad treścią końcowego punktu sprawozdania, które wspólnie opracowali, aby je przesłać do Rejonowego Wydziału Oświaty; ponadto na drugim piętrze rozbrzmiewały gromkie głosy malarzy i tynkarzy. Zaczynały się bowiem letnie remonty.

— Aaa! Kryształowa kopuła niebios! — żartobliwie przywitał Wolkę dyrektor. — No i jak tam? Zdrów jesteś?

— Zdrów jestem, Paweł Wasiljewicz. Jestem zupełnie zdrów.

— No, to świetnie. Przygotowałeś się?

— Przygotowałem się.

— Wobec tego może spróbujemy trochę pogawędzić?

Gawędzili poruszając wszystko, co było w programie nauki geografii przypadającym na klasę szóstą. Gdyby Wolka wpadł na ten pomysł i zanotował sobie godzinę, o której tu przyszedł, przekonałby się ze zdumieniem, że „pogawędka” trwała prawie dwadzieścia minut. Nie było jednakże czasu, żeby patrzeć na zegarek. Wolce wciąż się zdawało, że dyrektor nie pyta go dostatecznie szczegółowo. Miał ochotę na każde pytanie odpowiadać co najmniej pięć albo nawet dziesięć minut. Doświadczał dręczącego, a jednocześnie błęgiego uczucia, jak każdy uczeń, który umie wszystko „na blachę” i bardzo się niepokoi, żeby to przypadkiem nie uszło uwagi egzaminatora. Z wyrazu twarzy dyrektora Wolka od razu widział, że Paweł Wasiljewicz jest z jego odpowiedzi zadowolony, a jednak, kiedy dyrektor wreszcie rzeki: „Zuch chłopak! Teraz widać, że warto cię było uczyć” — poczuł miły dreszczyk; piegowaty buziak Wolki wbrew jego chęci rozpromienił się w tak szerokim uśmiechu, że i dyrektor, i kierownik pedagogiczny, i nauczyciel geografii też się zaczęli uśmiechać.

— Tak — rzekł kierownik pedagogiczny — od razu widać, że Kostylkow pracował poważnie, po pioniersku.

Ach, gdybyż wiedzieli dyrektor i kierownik pedagogiczny, w jak bardzo niesprzyjających warunkach musiał Wolka przygotowywać się do tej „pogawędki”! Jakich musiał używać sposobów! Ile razy uciekać i chować się przed Hassanem po to tylko, żeby mieć możliwość choć chwilę posiedzieć w spokoju nad podręcznikiem geografii. Ileż to przeszkód niebywale

trudnych do przewyciężenia stwarzał Wolce Hassan przez cały ten czas, absolutnie nie zdając sobie z tego sprawy! Gdyby egzaminatorzy o tym wiedzieli, wzrosłyby jeszcze ich szacunek dla osiągnięć naukowych Kostylkowa.

Wolka miał nawet w pewnej chwili ochotę pochwalić się przed dyrektorem i kierownikiem swoimi sukcesami na niwie pedagogicznej, ale w sam czas ugryzł się w język.

— A teraz, Kostylkow — uroczyście oznajmił dyrektor — wiesz cię ci uzyskania promocji do klasy siódmej! Odpoczywaj sobie aż do września! Siły zbieraj! Bądź zdrow!

— Dziękuję, Paweł Wasiljewicz — odpowiedział Wolka z powagą, jak przystało na ucznia klasy siódmej. — Do widzenia, Stiepan Tichonowicz! Do widzenia, Siergiej Siemionowicz!

Tymczasem Hassan, zanim Wolka wrócił nad rzeczkę, ulokował się wygodnie w cieniu potężnego dębu i całkiem płynnie czytał Żeni na głos „Pionierską Prawdę”.

— Zdałem! Mam piątkę! — szeptał zakomunikował Wolka przyjacielowi.

Wyciągnął się koło Hassana i doświadczał na raz co najmniej trzech przyjemności: pierwszą było to, że leży w miłym chłodku; drugą, że celująco odpowiadał na egzaminie; trzecią zaś, nie mniej ważną od innych, kto wie nawet, czy nie najważniejszą przyjemnością była duma nauczyciela z osiągnięć ucznia.

Tymczasem staruszek, który czytał wszystko po kolei, doszedł już do rubryki „Wiadomości sportowe”. Przyjaciele nasi wysłuchali pierwszej wzmianki i westchnęli ze smutkiem, a nie bez zazdrości.

— „Mniej więcej w połowie lipca — czytał Hassan — wyruszy z Archangielska do Arktyki zamówiony przez Centralne Biuro Turystyczne łamacz lodów »Ładoga«, na którym ma spędzić urlop wypoczynkowy sześćdziesięciu ośmiu wybitnych stachanowców z Moskwy i Leningradu. Rejs zapowiada się bardzo interesująco”.

— To rozumiem! — odezwał się z rozmarzeniem Wolka. — To się nazywa wyprawa! Nie ma rzeczy, której bym za to nie oddał!

— Raczie tylko rozkazać, o najdoskonalsi spośród przyjaciół, a pojedziecie wszędzie, gdziekolwiekbyście chcieli pojechać! — żywo rzekł do chłopców Hassan, który gorąco pragnął w jakiś sposób odwdziżyć się swoim młodym nauczycielom.

Ale Wolka nie odpowiedział Hassanowi i tylko ciężko westchnął, a Żenia, choć ze smutkiem, próbował staruszkowi wytłumaczyć, o co tu chodzi.

— Nie, Hassanie, nie ma mowy, żebyśmy się mogli dostać na „Ładogę”. Tylko ludzie wybitni, bracie, mają widoki dostania się na ten statek.

— Tak, tylko ludzie wybitni! — powtórzył wolno Hassan i uśmiechnął się prawie niewidocznie.

### XLIII. Popłoch w Centralnym Biurze Turystycznym

Tego samego jeszcze dnia do sekretariatu Centralnego Biura Turystycznego zgłosił się staruszek w białym ubraniu, w sztywnym słomkowym kapeluszu, w wymyślnie haftowanych złotymi i srebrnymi niemi różowych pantoflach o czubkach wygiętych do góry. Staruszek uprzejmie zapytał, czy ma szczęście znajdować się w komnatach wielce szanownej instytucji, która daje ludziom radość przepojoną wonnym aromatem dalekich podróży. Gdy otrzymał odpowiedź twierdzącą z ust nader zdziwionej tak kwiecicie sformułowaniem sekretarki, poinformował się w sposób niemniej wyszukany, gdzie siedzi ów godny wszelkiego poważania mąż, który decyduje w sprawach związanych z wyruszeniem łamacza lodów

zwanego „Ładoga”.

Wskazano Hassanowi łysego grubasa, którego olbrzymie biurko ugięło się pod stertami listów. Uprzedzono zresztą starszka zawczasu:

— Liczcie się z tym, obywatelu, że miejsc na „Ładodze” już nie ma.

Hassan nic nie odpowiedział; podziękował skinieniem głowy i bez słowa podszedł do grubasa, potem także bez słowa złożył mu niski, pełen godności ukłon, bez słowa wręczył zawinięty w gazetę rulon, znowu się uklonił i również w milczeniu odwrócił się, by skierować swe kroki ku drzwiom. Odprowadzały go zdumione spojrzenia wszystkich, którzy byli świadkami tej zabawnej sceny.

Urzędnik rozwinął gazetowy papier opakowania. Przed oczyma jego leżał list najbardziej chyba zdumiewający, jaki kiedykolwiek wpłynął nie tylko do Centralnego Biura Turystycznego, ale i do jakiegokolwiek bądź innej instytucji w Związku Radzieckim. Był to żółtawy zwój pergaminu ze zwisającą na złocistym jedwabnym sznurze wielką zieloną pieczęcią z wosku.

— Czy kto kiedy widział coś podobnego?! — zawołał urzędnik i w te pędy pobiegł zameldować o wydarzeniu swemu bezpośredniemu zwierzchnikowi — kierownikowi Działu Wycieczek Najdalszych.

Kierownik przerwał załatwianie spraw bieżących i popędził wraz za grubaskiem do samego dyrektora.

— Co się stało? — rzekł na ich widok dyrektor. — Czyż nie widzicie, że jestem zajęty?

Kierownik nie odpowiedział ani słowa, tylko rozwinął przed nim rulon pergaminu.

— Cóż to jest? — zapytał dyrektor. — Z muzeum?

— Nie, z bieżącej poczty, dyrektorze — odpowiedział kierownik działu.

— Z poczty? Co tam jest napisane? No wiecie — odezwał się dyrektor, gdy zapoznał się z treścią pisma — różne rzeczy widziałem, ale takiego listu nie otrzymałem jeszcze, jak żyję. Wariat go pewnie napisał...

— Powiedzmy, że wariat, dyrektorze, ale bądź i co bądź musi to być jakiś amator osobliwości — j zauważył kierownik Działu Wycieczek Najdalszych — spróbujcie no dziś dostać gdzieś taki pergamin...

— Nie! Proszę tylko posłuchać, co on tu wypisuje! — ciągnął dalej dyrektor, całkiem zapominając o tym, że jego rozmówcy już zapoznali się z treścią epistoły. — Przecie to jest typowe majaczenie:

Do czcigodnego Naczelnika Przyjemności,  
do nieprzekupnego i wysoce ukształconego Zarządcy Działu Wycieczek Najdalszych — niech imię jego rozbrzmiewa chwałą pośród najszacowniejszych i najszlachetniejszych kierowników wszelkich działów...

— odczytał dyrektor, zatrzymał się i łypnął okiem w stronę kierownika działu. — To was dotyczy, Iwan Iwanowicz — na co Iwan Iwanowicz tylko chrząknął z zakłopotaniem.

— Ja, Hassan Abdurrachman — czytał dalej dyrektor — wielki, potężny dzinn, sławny ze swej mocy i siły w Bagdadzie i Damaszk, w Babilonie i Sumirze, syn Chottaba, wielkiego króla złych duchów, szczep królestwa . wiecznego, którego dynastia miła jest Sulejmanowi synowi Dauda (pokój im obydwu!), którego panowanie radość czyni ich sercu. Błogosławionymi czynami moimi uradował się Allah i pobłogosławił mnie — Hassana Abdurrachmana, dzinna, we czci wielkiej go mającego. Królowie wszyscy ci, co siedzą w pałacach wszystkich czterech stron świata od Morza Górnego do Morza Dolnego, a także ci, co zamieszkują namioty — Królowie Zachodu — wszyscy społem złożyli mi swoją daninę ciężką i całowali w Bagdadzie moje stopy.

Doszło mych uszu, o najczcigodniejszy spośród kierowników, że w czasie niedalekim wyruszyć ma z miasta Archangielska okręt płynący bez żagli, a imię onego jest „Ładoga”, i że dokonują na nim

podróży gwoli rozweselenia swego ludzie znakomici z miast rozmaitych. Pragnieniem moim jest, aby pośród ludzi tych znaleźli się też młodzi przyjaciele moi. Zalety ich charakteru tak są liczne, że nawet najkrótsze wyliczenie takowych nie zmieściłoby się na tym zwoju pergaminu.

Nie jestem, niestety, świadom, jaki stopień znakomitości ma osiągnąć człowiek, który pragnie być godny tej pięknej podróży. Lecz przyjaciele moi zdolni są uczynić zadość z nawiązką najwyższym nawet wymaganiom, albowiem w mojej mocy jest, aby stali się książętami lub szejkami, cesarzami albo królami, najmożniejszymi z możliwych, najbogatszymi z bogatych, najpotężniejszymi z potężnych.

Siedem i jeszcze raz siedem razy do stóp twoich przypadając ślę ci pozdrowienia moje, o mądry Kierowniku Działu, i proszę, abyś raczył mnie powiadomić, kiedy mam przybyć z młodymi przyjaciółmi moimi na pokład wspomnianego okrętu — oby go ominęły burze i wszelkie złe przygody podczas dalekiej i niebezpiecznej drogi.

Co własną ręką podpisuję:

H a s s a n A b d u r r a c h m a n i b n C h o t t a b, dzinn potężny

U dołu, w celu umożliwienia odpowiedzi, podane było miejsce zamieszkania wysyłającego — adres Wolki Kostylkowa.

— Majaczenie! — zdecydował dyrektor zwijając pergamin. — Majaczenie wariata. Odłożyć do akt i sprawa załatwiona.

— A ja jednak uważam, że lepiej będzie odpisać. Przecież ten pomyłony staruszek gotów po pięć razy na dzień nas nachodzić i dowiadywać się o wszczęte przez siebie starania. Po prostu nie da nam pracować, możecie mi wierzyć — rzeki Iwan Iwanowicz i po upływie kilku minut osobiście podyktował maszynistce odpowiedź na list Hassana.

#### XLIV. Kto jest najznakomitszy?

Oczywiście Hassan podając adres Wolki postąpił bardzo nieopatrznie. Przecież to był jedynie przypadek, że Wolka spotkał na schodach listonosza. Co by się jednak mogło stać, gdyby nie zaszedł ten szczęśliwy zbieg okoliczności? List Centralnego Biura Turystycznego trafiłby do rąk rodziców Wolki, zaczęłyby się indagacje i taki by się z tego zrobił bigos, że nawet pomyśleć nieprzyjemnie.

Kostylkow-syn niezbyt często otrzymywał listy adresowane na jego własne imię: coś ze trzy czy cztery razy w ciągu całego swojego życia. Toteż wielkie było jego zdziwienie, gdy mu listonosz powiedział, że ma list właśnie do niego zaadresowany. A kiedy chłopiec zobaczył na kopercie pieczętkę Centralnego Biura Turystycznego, całkiem już nie wiedział, co o tym myśleć. Obejrzał list dokładnie ze wszystkich stron, nawet — nie wiadomo, z jakiej racji — powąchał go, poczuł jednak tylko słodkawy zapach gumy arabskiej. Wreszcie drżącymi rękoma otworzył kopertę, przebiegł oczyma kilka razy krótką, lecz uprzejmą odpowiedź Iwana Iwanowicza, ale nic a nic nie rozumiał, o co chodzi.

Wielce szanowny obywatela H. Abdurrachmanow!

Musimy Wam donieść z ubolewaniem, że starania Wasze okazały się spóźnione. Wszystkie miejsca na statku „Ładoga” zostały już sprzedane. Łączę pozdrowienia dla Waszych książąt i szejków.

Kierownik Działu Wycieczek Najdalszych I w a n D o m o s i e d o w

„Czyżby staruszek rozpoczął jakieś starania, żebyśmy się mogli dostać na »Ładogę«? — wpadł wreszcie na słuszny domysł Wolka. Bardzo go to wzruszyło. — Co za wspiania!



staruszek! — myślał. — Jedną tylko rzecz trudno zrozumieć: jakim to księżętom i szejkom towarzysz Domosiedow przesyła pozdrowienia? Zresztą zaraz się dowiemy...”

— Hassanie! Gdzie jesteś, Hassanie?! — zawołał Wolka, kiedy się znalazł na brzegu rzeki. — Chciałbym cię poprosić na chwileczkę.

Staruszek uciął sobie drzemkę w cieniu rozłożystego dębu, lecz na dźwięk głosu młodego przyjaciela oprzytomniał od razu, zerwał się na równo nogi i drobnym, starczym truchcikiem pobiegł na jego spotkanie.

— Tu jestem, o bramkarzu duszy mojej! — rzekł, z trudnością łapiąc oddech. — Czekam na rozkazy twoje.

— Przyznaj się, staruszkule! Toś ty pisał do Centralnego Biura Turystycznego?

— Owszem. Pisałem. Chciałem ci zrobić niespodziankę — zmieszał się Hassan. — A bo co? Czyżby już przyszła odpowiedź?

— Oczywiście, przyszła! Proszę cię bardzo — rzekł chłopiec i podał staruszkowi list.

Hassan nieomal wyrwał kartkę z rąk Wolki i zaczął powoli sylabizować dyplomatyczną odmowę Iwana Iwanowicza. Nagle staruszek poczerwieniał, ciałem jego wstrząsnął dreszcz, oczy nabiegły mu krwią. Z trzaskiem pękł wyszywany kołnierzyk ukraińskiej koszuli, szarpnięty w furii jego ręką.

— Proszę mi wybaczyć—wykrztusił stary ochryłym głosem — proszę mi wybaczyć... Muszę cię opuścić na krótką chwilę... trzeba, abym ukarał tak, jak na to zasługuje, tego najwyższej pogardy godnego Domosiedowa! O, już wiem, co mu zrobię! Unicestwię go! Albo nie, nie uczynię tego, albowiem nie jest godzien kary tak miłosiernej. Najlepiej będzie, jeżeli go zmienię w brudny gałgan, żeby w słotne jesienne dni ludzie wycierali o niego swoje zabłocone obuwie przed wejściem do budynku. Chociaż nie! To stanowczo za mała kara za zuchwałą jego odmowę...

Wyrzekłszy te słowa staruszek poderwał się gwałtownie i unióś w powietrze, lecz Wolka zawołał władczo:

— Wróć! Masz tu natychmiast wrócić!

Staruszek wrócił posłusznie, lecz jego gęste siwe brwi były gniewnie zmarszczone.

— Wstydziliśmy się doprawdy! — wpadł na Hassana z impetem Wolka, gdyż nie na żarty przeraził go los kierownika Działu Wycieczek Najdalszych. — W głowie ci się pomieszało, czy co? Pomyśl no, czy to wina kierownika, że na „Ładodze“ nie ma już miejsc? Przecie statek nie jest z gumy! Aha! Powiedz mi przy okazji, o jakich to księżętach i szejkach pisze w swoim liście towarzysz Domosiedow?

— O tobie, o Wolko ibn Alosza! O tobie i o naszym przyjacielu Żeni ibn Kola, oby Allah przedłużył dni wasze! Napisałem do tego najnędzniejszego z najnędzniejszych kierowników, że jeżeli chodzi o stopień znakomitości, to sprawa waszego wyjazdu o to rozbić się nie może, albowiem gdyby nawet pozostali pasażerowie „Ładogi” byli jak najbardziej znakomici, w mocy mojej jest, abym uczynił was jeszcze znakomitszymi od nich. Napisałem do tego człowieka o mizernym umyśle, Domosiedowa — niech Allah o nim nie pamięta! — że każdy z was może być przez niego nawet zaocznie uważany za szejka, króla czy księcia.

Mimo że sytuacja była napięta, Wolka w żaden sposób nie mógł utrzymać powagi i wybuchnął tak głośnym śmiechem, że z drzewa, które rosło w pobliżu, zerwało się z wrzaskiem kilka kawek i, oglądając się z oburzeniem, gdzieś odleciało.

— Czekajże... czekaj... to by znaczyło... wychodzi na to, że jestem księciem? — powtarzał pokładając się ze śmiechu Wolka.

— Przyznam ci się, że nie mogę pojąć przyczyny twego śmiechu — uszczypliwie odpowiedział Hassan. — Jeżeli mamy mówić poważnie, to muszę ci powiedzieć, że tytuł księcia przeznaczyłem raczej dla Żeni. Ty zaś, moim zdaniem, godny jesteś tego, by zostać sułtanem.

— Oj, umrę ze śmiechu! Słowo daję, że umrę! To znaczy, że Żenka byłby księciem, a ja

sułtanem? Nie!... Swoją drogą, co za kompletny brak wykształcenia politycznego — z przerażeniem skonstatował Wolka, gdy wreszcie przestał się śmiać. — Nie ma gadania! To ci dopiero znakomici ludzie — książę albo król! Przecież to właśnie największe zawalidrogi!

— Niestety! Wygląda na to, żeś postradał zmysły — z wyraźną troską rzekł Hassan i z niepokojem spojrzął na swego młodego rozmówcę. — Jeżeli dobrze zrozumiałem słowa twoje, uważasz, że nawet sułtan jest osobą za mało znakomitą. Któż zatem, według twego zdania, jest człowiekiem znakomitym? Wymień mi chociaż jedno imię...

— Proszę! Chociażby Czutkich albo Łunin, albo Kożedub, albo Pasza Angelina!

— Któż to jest ten Czutkich? Sułtan?

— Wyżej sięgaj! Czutkich to jeden z najwybitniejszych w całym naszym kraju specjalistów przemysłu sukienniczego!

— No, a... Łunin?

— Łunin — to doskonały maszynista parowozowy.

— A Kożedub?

— Jeden z najwybitniejszych lotników.

— No, a czyjaż jest żoną ta... Pasza Angelina, którą uważasz za bardziej znakomitą osobę niż szeikowie albo królowie?

— Sama zdobyła sławę, nie przez męża. Jest znakomitą traktorzystką.

— Wiesz, co ci powiem, o Wolko, skarbie mój? Za stary już jestem, żebyś miał się ze mnie tak natrząsać. Chcesz, abym uwierzył, że jakiś tam zwykły sukiennik albo poganiacz parowozów jest znakomitszy niż sam król?!

— Po pierwsze, Czutkich to nie jakiś tam zwykły sukiennik, tylko przodujący w całym przemyśle włókienniczym stachanowiec, Łunin zaś — naprawdę znakomity maszynista. Po drugie, nawet najzwyklejszy pracownik otoczony jest u nas większym szacunkiem niż najpyszniejszy król. Nie wierzysz? No to masz, przeczytaj sobie gazetę.

Wolka podał Hassanowi gazetę; staruszek na własne oczy zobaczył napis umieszczony pod dziesięciu może fotografiami ślusarzy, rolników, lotników, pracowników wiejskich gospodarstw spółdzielczych, tkaczy, nauczycieli, cieśli. Wydrukowane było dużymi literami: „Znakomici ludzie naszego kraju”.

— Nigdy bym wiary nie dał twoim słowom — oznajmił wówczas Hassan i westchnął głęboko — nigdy bym nie dał wiary, gdybym nie znalazł ich potwierdzenia w tak szanowanym przeze mnie dzienniku. Błagam cię, o Wolko, wytłumacz mi: dlaczego w twoim pięknym kraju jest jakoś inaczej niż w innych państwach?

— O, bardzo chętnie, chociażby nawet zaraz — z gotowością odrzekł Wolka, po czym, usadowiwszy się wygodnie na brzegu rzeki, z dumą zaczął obszernie wyklądać Hassanowi, na czym polega istota ustroju radzieckiego.

Dokładne podawanie treści tej rozmowy, trwającej bardzo długo, nie miałyby chyba racji, nie ulega bowiem wątpliwości, że każdy z naszych czytelników opowiedziałby Hassanowi to samo, co Wolka, gdyby się znalazł na jego miejscu.

— To, co mi mówisz, jest zarówno mądre, jak szlachetne. Każdy, kto ceni uczciwość i ma sprawiedliwe serce, nad słowami twymi musi się poważnie zastanowić — szczerze przyznał Hassan, kiedy zakończona została pierwsza w jego życiu lekcja wychowania politycznego.

Staruszek zastanawiał się jeszcze przez chwilę, a potem rzekł bardzo serdecznie:

— Tym gorętsze jest moje pragnienie, abyście ty i twój przyjaciel mogli pojechać na wycieczkę „Ładoga”. I możesz mi wierzyć, że tego dokonam.

— Tylko, proszę cię bardzo, bez żadnych awantur — uprzedził zapobiegliwie Wolka. — A także bez bujania gości. To znaczy bez oszukaństwa. Niech ci nie przyjdzie, na przykład, do głowy wmawianie komuś, że jesteśmy przodownikami nauki. Mam czwórki aż z trzech przedmiotów.

— Życzenie twoje jest dla mnie prawem — odpowiedział Hassan i skłonił się nisko. Staruszek rzetelnie wywiązał się z obietnicy.

Palcem nie ruszył żadnego z pracowników Centralnego Biura Turystycznego, nie podał też ani naszych przyjaciół, ani tym bardziej samego siebie za stachanowca czy przodownika nauki. Po prostu zrobił tak, że kiedy trzej nasi bohaterowie zjawili się na pokładzie „Ładogi”, przyjęto ich tam bardzo przychylnie i wyznaczono wspaniałą kajutę, a nikt ani razu się nie zainteresował, z jakiego właściwie tytułu biorą udział w wycieczce. Za sprawą Hassana pytanie to po prostu nie nasunęło się nikomu spośród wesołych i życzliwych pasażerów „Ładogi”.

Natomiast na dwadzieścia minut przed odbiciem od przystani zupełnie niespodziewanie dla i kapitana załadowano na statek sto pięćdziesiąt skrzyń pomarańcz, tyleż skrzyń wspnianiałych winogron, dwieście skrzyń daktyli i półtorej tony najbardziej wyszukanych wschodnich łakoci.

Na każdej skrzyni było napisane: „Dla wszystkich uczestników wycieczki, tudzież dla wszystkich członków załogi statku »Ładoga« — od obywatela, który życzy sobie, aby dar jego był bezimienny”. Niepotrzebna jest zbytnia przenikliwość, aby się domyślić, że były to dary Hassana, który nie chciał, aby i on, i jego przyjaciele brali udział w podróży na „Ładodze” za darmo.

Istotnie — możecie zapytać o to każdego spośród uczestników wycieczki na statku „Ładoga” — wszyscy po dziś dzień z ogromną przyjemnością wspominają „obywatela, który życzy sobie, aby dar jego był bezimienny”. Ten dar ogromnie wszystkim przypadł do smaku.

Teraz zaś, gdy czytelnicy mniej lub więcej szczegółowo poznali okoliczności, w jakich nasi przyjaciele znaleźli się na „Ładodze”, możemy w spokoju sumienia przejść do dalszego ciągu naszej opowieści.

## XLV. Co przeszkadza spać?

Pogoda sprzyjała „Ładodze”. Przez trzy dni statek płynął przez wody czyste, bez lodu. Dopiero przy końcu trzeciej doby wszedł w obszar tegorocznej drobnej kry.

Chłopcy grali sobie właśnie w warcaby, siedząc w ogólnej kajucie, gdy nagle wpadł do niej Hassan; staruszek przytrzymał prawą ręką zawsze ten sam słomkowy kapelusz. Był czymś ogromnie przejęty.

— Przyjaciele moi — rzekł i uśmiechnął się promiennie — możecie się sami przekonać, bardzo was proszę: całe morze, jak okiem sięgnąć, pokryte jest cukrem i diamentami!

Hassanowi można było te słowa wybaczyć. Staruszek w ciągu swego życia, trwającego prawie cztery tysiące lat, nie widział ani jednej bryłki lodu.

Z kajuty ogólnej kto żyw zaraz wyskoczył na pokład; wszyscy ujrzeli sunące bezszelstnie na spotkanie „Ładogi” niezliczone mnóstwo białej jak śnieg kry, oślepiająco iskrzącej się w blasku jasnych promieni północnego słońca. Wkrótce pod zaokrąglonym, stalowym dziobem statku zazgrzytały i zadudniły pierwsze kry.

Późno w nocy (mimo to było widno, a słońce świeciło jak w pogodne południe) wycieczkowicze zauważyli gdzieś w dali grupę wysp. Po raz pierwszy ujrzeli majestatyczną i posępną panoramę archipelagu Ziemi Franciszka Józefa. Po raz pierwszy widzieli nagie, mroczne skały i góry pokryte błyszczącymi lodowcami, które były podobne do świetlistych, spiczastych obłoków, mocno przywierających do tej surowej ziemi.

— Czas się położyć — odezwał się Wolka, gdy wszystkie oczy nasyciły się wreszcie

niezwykłym obrazem dalekich wysp. — Nic właściwie człowiek nie ma do roboty, a spać ani rusz się nie chce. Co i to jednakże znaczy przyzwyczajenie: kiedy słońce świeci, nie przychodzi sen.

— Co do mnie, to odnoszę wrażenie, o najbardziej błogosławiony wśród błogosławionych, że to nie słońce nam przeszkadza spać, ale coś zupełnie innego — skromnie wyraził swoje zdanie Hassan.

Nikt jednak nie zwrócił uwagi na jego słowa.

Po tej rozmowie chłopcy objali się przez czas jakiś po całym statku zupełnie bez celu. Ludzi na pokładzie było coraz mniej. Wreszcie i nasi przyjaciele zeszli do swoich kajut. Wkrótce na „Ładodze” czuwali już tylko ci spośród załogi, którzy mieli wachtę.

Cisza i spokój zapanowały na statku. Ze wszystkich kabin rozlegało się spokojne pochrapywanie i miarowe oddechy śpiących, jak gdyby ci ludzie byli nie na statku zagubionym gdzieś w odległości dwóch i pół tysiąca kilometrów od Wielkiej Ziemi na wodach surowego, a tak podstępного Morza Barentsa, a gdzieś niedaleko od Moskwy, w cichym, przytulnym domu wypoczynkowym podczas godziny ciszy. Nawet zasłony na iluminatorach były tu tak samo spuszczone, jak w salach domów wypoczynkowych, po to, by jasne światło słoneczne nie przeszkadzało ludziom usnąć.

## XLVI. Rafa czy nie rafa?

Wyjaśniło się jednak dosyć prędko, że pomiędzy „Ładogą” a domem wypoczynkowym różnica istnieje i to nawet nader namacalna. No, bo rzeczywiście, pomijawszy trzęsienie ziemi na Krymie, starzy, zasiedziali mieszkańcy domów wypoczynkowych nie pamiętają wypadku, żeby ich coś kiedyś w czasie spoczynku zrzuciło z łóżka na podłogę. A tymczasem nie zdążyli jeszcze wycieczkowicze porządnie usnąć w swoich kabinach, gdy nagle uczyli tak silny wstrząs, że posypali się ze swoich kojek na podłogę niczym dojrzałe owoce z drzew. W tej samej chwili ucichł nieustający huk maszyn. W ciszy, która nagle zapanowała, słychać było trzaskanie drzwiami i tupot nóg; wycieczkowicze wybiegli z kajut, żeby się dowiedzieć, co się stało. Z pokładu rozległy się donośne słowa komendy.

Wolka spadł z górnej koi dość pomyślnie. Natychmiast zerwał się na równe nogi i zaczął rozcierać potłuczone miejsce. Rozespany, nie mógł się połapać, co się właściwie stało, i doszedł do wniosku, że zleciał wskutek własnej nieuwagi; zamierzał też zaraz wwindować się z powrotem na swoją górną pryczę. Gwar niespokojnych głosów, które docierały tu z korytarza, przekonał jednak chłopca, że przyczyna jego upadku jest o wiele poważniejsza, niż przypuszczał.

„Czyżbyśmy najechali na skałę podwodną?” — pomyślał, pośpiesznie wciągając spodnie, i z punktu złapał się na tym, że przypuszczenie to bynajmniej go nie przeraża, przeciwnie, budzi jakies dziwnie podniecające uczucie pełnej niepokoju radości.

„To rozumiem — zaświtało mu w głowie, gdy gorączkowo sznurował trzewiki. — Trafiła mi się najprawdziwsza przygoda! Cudownie! W promieniu tysięcy kilometrów wokoło — żadnego statku! Kto wie — może nawet nasza stacja nadawcza przestała działać”.

Przed oczyma jego stanął obraz niesłychanie fascynujący: statek znajduje się w sytuacji bardzo ciężkiej; zapasy wody słodkiej i żywności są na wykończeniu, mimo to uczestnicy wycieczki oraz cała załoga „Ładogi” trzyma się dzielnie i zachowuje spokój, jak na ludzi radzieckich przystało. Najlepiej ze wszystkich sprawuje się, rzecz prosta, on — Wolka Kostylkow. Tak, Władimir Kostylkow umie spojrzeć w oczy niebezpieczeństwu. Zawsze wesoły i na

pozór beztroski, podtrzymuje na duchu tych, co już zwątpili. A kiedy na skutek iście nadludzkich wysiłków i wyrzeczeń kapitana „Ładogi” Stiepana Timofiejewicza, zmogła choroba, Wolka ujmuje słusznie mu się należące kierownictwo wyprawy w swoje stalowe ręce.

— Jaki jest powód, że zakłócony został sen tak bardzo potrzebny nie wypoczętemu jeszcze należycie twemu organizmowi? — przerwał te upajające marzenia zaspany Hassan i ziewnął.

— Zaraz się dowiem, mój staruszkule... Tylko się zbytnio nie przejmuj — rzekł Wolka do Hassana tonem pokrzepiającym.

Na górze, koło pomostu kapitańskiego, stała gromadka złożona może z dwudziestu wycieczkowiczów i cicho o czymś rozmawiała. Chcąc im dodać otuchy, Wolka zrobił wesołą i beztroską minę, po czym zawołał głosem, w którym dźwięczało męstwo:

— Spokój, towarzysze, przede wszystkim spokój! Nie ma żadnego powodu do paniki!

— Słuszna uwaga, jeżeli idzie o panikę. Złote słowa, młody człowieku. Wracaj wobec tego do swojej kajuty i idź spać — odpowiedział mu jeden z wycieczkowiczów. — Bo tak się składa, że właśnie nikt tu żadnej paniki nie robi.

Wszyscy zaczęli się śmiać, jeden tylko Wolka poczuł się jakoś nieswojo. Poza tym na świeżym powietrzu było dosyć chłodno, tak że chłopiec postanowił skoczyć do kabiny i narzucić na siebie palto.

— Spokój przede wszystkim — rzekł do Hassana, który czekał na niego na dole. — Nie ma żadnych powodów do paniki. Najdalej za dwa dni przyjadą po nas jakimś potężnym łamaczem lodów i najspokojniej w świecie ściągną z mielizny. Można byłoby, oczywiście, zepchnąć się własnymi siłami, ale — wszakże słyszysz, że maszyny milczą. Coś się tam musiało popsuć, ale co właściwie — nikt się nie może zorientować. Oczywiście, musimy być przygotowani na to, że będą nam dokuczały pewne braki, miejmy jednak nadzieję, że nikt z nas nie zachoruje i nie umrze.

Wolka słów swoich słuchał z uczuciem dumy. Kto by przypuszczał, że potrafi z taką łatwością uspokajać innych.

— O biada mi! — niespodziewanie zawołał silnie przerażony staruszek starając się wsunąć boscie stopy do sławetnych swoich pantofli. — Jeżeli przyjdzie wam zginać, to ja tego nie przeżyję! Czyżbyśmy się wpakowali na mieliznę? O losie mój nieszczęsny! Lepiej by już było, żeby znów huczały te maszyny! Ale ze mnie bałwan! Mogłem przecie używać swojej mocy do spraw naprawdę ważnych, tymczasem...

— Hassanie! — przerwał Wolka surowo. — Mów zaraz, coś tu znowu nabroił?

— Nic szczególnego. Po prostu chodziło mi o to, żebyś mógł spać spokojnie, pozwoliłem więc sobie na to, aby dać rozkaz maszynom, by nie huczały.

— Czy mówisz poważnie? — przeraził się Wolka. — Teraz rozumiem, co się stało. Kazałeś maszynom, żeby nie huczały, a bez tego przecie pracować nie mogą. Dlatego nasz łamacz lodów tak nagle się zatrzymał. Natychmiast odwołaj twój rozkaz, bo tylko patrzeć, jak kotły popękają.

— Jestem posłuszny woli twojej i rozkazom twoim — odrzekł głosem drżącym wystraszony nie na żarty Hassan.

W jednej chwili zahuczały maszyny i „Ładoga”, jakby nigdy nic, ruszyła w dalszą drogę. I kapitan, i mechanik okrętowy, i wszyscy inni mieszkańcy parowca gubili się w domysłach, jakie mogły być przyczyny tak nagłego, niczym nie wytłumaczonego zatrzymania się maszyn, jak również niemniej zagadkowego ponownego ich ruszenia. Tylko Hassan i Wolka wiedzieli, o co chodzi, lecz ze względów całkowicie zrozumiałych nie mówili o tym nikomu, nawet Żeni.

## XLVII. Hassan się gniewa

Nad ranem „Ładoga” weszła w obszar gęstych mgieł. Parowiec wolno posuwał się naprzód, co pięć minut napełniając ogromne, bezludne przestrzenie potężnym rykiem syreny. W czasie mgły okręty obowiązane są dawać sygnały dźwiękowe — niezależnie od tego, czy się znajdują na najbardziej ruchliwych szlakach morskich, czy też na odludnych przestrzeniach Północnego Oceanu Lodowatego — po to, by nie było zderzeń.

Wycie syreny statku działało przygnębiająco na pasażerów i budziło w nich uczucie beznadziejności.

Na pokładzie było nudno i mokro, w kajutach jeszcze nudniej. Wobec tego fotele i kanapy w kajucie ogólnej były stale zajęte przez wycieczkowiczów. Jedni grali w szachy, inni w warcaby, jeszcze inni czytali.

Wiele razy prześpiewano już po kolei, zarówno chórem, jak i solo, wszystkie znane piosenki, tańczono przy dźwiękach gitary i harmonii, opowiadano sobie najrozmaitsze historyjki.

Nagle skądś z zewnątrz dał się słyszeć ostry gwizd. Było to tak nieoczekiwane, że wszyscy drgnęli, a Żenia zażartował:

— Skandal! Ktoś skoczył w biegu na statek!

Nikt nie zdążył się zaśmiać z jego słów, gdyż „Ładoga” drgnęła mocno, coś złowieszczo zazgrzytało pod dnem parowca i oto po raz drugi w ciągu tej doby statek stanął.

— Czy to znów twoja sprawka, Hassanie? — cicho zapytał Wolka.

— Gdzież tam! Gdzież tam, o najśliczniejszy! Przysięgam ci, że o przyczynach tego nieoczekiwanego zatrzymania się naszego statku wiem nie więcej od ciebie.

Istotnie, tym razem staruszek nie miał z tą sprawą nic wspólnego: „Ładoga” zabłądziła we mgłę i wpadła na mieliznę.

Pasażerowie, którzy wyszli na pokład, z trudnością dostrzegali poręcz statku. Gdy się jednak człowiek mocno nachylił poza burtę rufy, mógł mimo wszystko dojrzeć pieniającą się od wściekle szybkich obrotów śruby ciemnozieloną, złowrogą wodę.

Minęło pół godziny; wszystkie usiłowania, żeby jakoś zepchnąć „Ładogę” z mielizny, nadając jej ruch wsteczny, speliły na niczym. Wobec tego kapitan parowca, Stiepan Timofiejewicz, kazał chudemu bosmanowi Pankratjiczowi dać sygnał gwizdkiem i zwołać wszystkich na górę.

— Towarzysze — rzekł, kiedy pasażerowie i załoga „Ładogi”, prócz tych jedynie, którzy pełnili służbę na wachcie, zebrali się na górnym pokładzie. — Ogłaszam alarm! Pozostał nam jeden jedyny sposób, aby się zepchnąć z mielizny bez pomocy z zewnątrz. Należy przenieść węgiel z przedniej części statku na rufę. Wtedy rufa przeważy i wszystko znów będzie w porządku. Jeżeli zastosujemy prawdziwie stachanowskie tempo, zużyjemy na to nie więcej niż dziesięć do dwunastu godzin. Bosman podzieli was za chwilę na brygady, włóżcie na siebie przedziutko najgorsze ubrania, żebyście nie żalowali, gdy się pobrudzą — i do roboty! A co się tyczy was, chłopcy, a także obywatela Hassana, to o nic się nie martwcie. Ta praca jest nie na wasze siły. Dla chłopców za wcześnie, a dla obywatela Hassana cokolwiek za późno na dźwiganie ciężarów.

— Co? Dźwiganie ciężarów jest nie na moje siły?! — powtórzył Hassan groźnie. — A czy ci jest wiadome, wielce szanowny Stiepan Timofiejewicz, że nikt spośród tu obecnych mi nie dorówna, gdy przyjdzie do podnoszenia ciężarów?

Słowa staruszka wywołały na wszystkich twarzach mimowolne uśmiechy.

— To ci staruszek! Ale się chwali!

— Patrzajcież, a to się atleta znalazł!

— Nie ma się z czego śmiać i robić przykrość człowiekowi. Starość nie radość.

— Zobaczycie zaraz na własne oczy.

Hassan złapał na ręce obu swoich młodych przyjaciół i ku zdumieniu wszystkich zaczął ich podrzucać do góry jak żongler, tak jakby to były piłki z masy plastycznej służące do gry w bilard pokojowy, a nie dwaj dobrze odżywni trzynastoletni chłopcy.

Rozległy się brawa tak ogłuszające, jak gdyby odbywało się to nie na pokładzie statku, który spotkała niebezpieczna przygoda daleko od stałego lądu, lecz na zawodach atletycznych.

— Jeżeli idzie o staruszkę, to cofam moje słowa — uroczyście oznajmił kapitan, gdy oklaski się uciszyły. — A teraz do pracy, towarzysze! Czas ucieka!

— Hassanie — rzekł Wołka i na chwilę odciągnął staruszkę na bok. — Co to za sens taskać węgiel przez dwanaście godzin z rzędu z jednej dziury do drugiej ? Gdybyś się tak postarał i sam zepchnął parowiec z mielizny!

— Ta rzecz przekracza moje siły — ze smutkiem odpowiedział staruszek. — Myślałem już o tym. Można by oczywiście ściągnąć statek z raf, lecz poszarpałoby to jego dno, czego naprawić nie potrafiłbym, albowiem nigdy w życiu nie widziałem, jak to dno wygląda. Utonęlibyśmy wszyscy jak ślepe kocięta w beczce wody.

— Zastanów się, Hassanie, może ci jednak przyjdzie do głowy jakiś sposób.

— Będę się starał, o kompasie duszy mojej! — odrzekł staruszek. — A gdyby tak — zapytał po chwili milczenia — gdyby tak unicestwić mieliznę?

— Hassanie, drogi mój, ale ty masz głowę! — zawołał Wołka i natychmiast skoczył, żeby ucisnąć dłoń staruszkę. — Toż to po prostu świetna myśl!

— Jestem posłuszny woli twojej i rozkazom twoim — odrzekł Hassan.

Pierwsza brygada powołanych na skutek alarmu zeszła już na dół i zaczęła z hałasem ładować antracyt \* do wielkich, żelaznych skrzyń, gdy całkiem dla wszystkich niespodziewanie „Ładoga” drgnęła i zaczęła się szybko kręcić na głębokim wirze, który powstał w tym miejscu, gdzie nagle zapadła się mielizna. Jeszcze chwila, a parowiec rozleciałby się na kawałki, lecz Wołka w czas się i zorientował i kazał Hassanowi uspokoić wiry. Morze się uciszyło; „Ładoga”, pchana siłą bezwładności, obróciła się jeszcze kilka razy, a potem bez przeszkód ruszyła naprzód.

Tym razem również nikt prócz Hassana i Wołki nie mógł zrozumieć, co się właściwie stało.

Znowu popłynęły jeden za drugim cudowne i tak do siebie niepodobne dni podróży; jechali przez mało zbadane morza i cieśniny, mijali ponure wyspy, na których nie powstała jeszcze albo niemal że nie powstała stopa ludzka. Członkowie wycieczki wysiadali zarówno na wyspach, gdzie witali ich wystrzałami z broni palnej zimujący tam dla przeprowadzania badań pracownicy naukowcy, jak i na całkowicie bezludnych, samotnych skałach. Wraz ze wszystkimi innymi wycieczkowiczami przyjaciele nasi wchodzili na lodowce, wędrowali przez bazaltowe płaskowzgórza, nagie niczym kamienie w łaźiebnych piecach, przeskakiwali z jednej kry na drugą na mrocznych, czarnych połyniach \*\*, polowali na białe niedźwiedzie. Jednego z nich nieustraszonego Hassan własnoręcznie przyprowadził za kudły na „Ładogę”. Pod wpływem Hassana niedźwiedź szybko się oswoił i stał się łagodny jak cielę, sprawił też później niemało radości uczestnikom wycieczki oraz załodze statku. Obecnie niedźwiedź ten występuje w cyrku. Wielu naszych czytelników na pewno go widziało. Nazywa się Kuzia.

\* Antracyt — gatunek specjalnie twardego węgla.

\*\* Połynie — jeziorka wśród lodów, pokryte cienkim lodem.

## XLVIII. „Salem alejkum, Omarciu!”

Po zwiedzeniu Wyspy Rudolfa „Ładoga” zawróciła i wyruszyła w podróż powrotną. Uczestnicy wyprawy byli już porządnie zmęczeni nadmiarem wrażeń, nieustannym światłem nigdy nie zachodzącego słońca, częstymi mgłami i ciągłym niemal łoskotem kry, uderzającej o żelazny dziób i boki statku. Coraz mniej było amatorów wysiadania na bezludnych wyspach; przy końcu podróży jedynie nasi przyjaciele i jeszcze dwóch czy trzech nieustrudzonych wycieczkowiczów korzystało nadal z każdej okazji, aby zwiedzać ponure i niegościnnie skaliste brzegi.

— No cóż — rzekł któregoś ranka Stiepan Timofiejewicz — dziś wysadzę was na brzeg po raz ostatni i basta! Absolutnie się nie opłaca zatrzymywać parowca dla sześciu czy siedmiu osób.

Z tej to przyczyny Wolka umówił się ze wszystkimi, którzy z nim razem wyruszyli na brzeg, że pożegnają archipelag jak się należy i nie będą się zbytnio śpieszyli z powrotem na „Ładogę”, tym bardziej że Hassana, zazwyczaj przynaglającego do powrotu, tym razem z nimi nie było. Staruszek został, by sobie pograć w szachy ze Stiepanem Timofiejewiczem.

— Wolka — rzekł tajemniczo Żenia, gdy porządnie zmęczeni wrócili po upływie trzech godzin na pokład „Ładogi” — chodźmy do kajuty. Pokażę ci coś ciekawego... Zobacz — rzekł i szczelnie zamknąwszy za sobą drzwi wyciągnął spod płaszcza jakiś podłużny przedmiot. — Co na to powiesz? Znalazłem ten garnek z przeciwnej strony wyspy tuż przy samym brzegu.

Trzymał w ręku pozieleniałe od wody morskiej, nieduże naczynie miedziane wielkości przeciętnej karafki.

— Trzeba to natychmiast oddać Stiepanowi Timofiejewiczowi — rzekł Wolka z wielkim przejęciem — pewnie jakaś ekspedycja chcąc dać znać o ciężkiej sytuacji, w jakiej się znalazła, włożyła list do tej butli i rzuciła do wody.

— Z początku też miałem taki zamiar — odpowiedział Żenia — ale potem pomyślałem sobie, że nic strasznego się nie stanie, jeżeli najpierw sami otworzymy to naczynie i zobaczymy pierwsi, co tam jest. To bardzo ciekawa rzecz! Mam rację, czy nie?

— Oczywiście, że masz rację! — z zachwytem zgodził się Wolka.

Żenia aż zbladł z wielkiego przejęcia: dość szybko oskrobał szyjkę butelki ze smolistej substancji, którą była gruntownie zalana. Okazało się, że pod smołą jest masywna ołowiana pokrywa pokryta jakimiś znaczkami. Żenia odkręcił ją z niemałą trudnością.

— A teraz — rzekł przewracając butelkę do góry dnem nad swoim łóżkiem — teraz zobaczymy, co tam...

Nie zdążył dokończyć zdania, gdy z naczynia buchnęła chmura gęstego, czarnego dymu, który napełnił całą kajutę tak, że zrobiło się całkiem ciemno i trudno było oddychać. Lecz po upływie kilku sekund dym się skłębził, skurczył i zmienił w starca o niezbyt miłej powierzchowności, o złym wyrazie twarzy i skrzących się jak rozżarzone węgle oczach.

Stary runął w jednej chwili na kolana i zaczął tłuc głową o podłogę, a potem ryknął wielkim głosem:

— Nie ma Boga prócz Allacha, a Sulejman — prorok jego!

Po tych słowach kilka jeszcze razy tryknął w milczeniu czołem o podłogę i to z taką siłą, że wiszące w kajucie na ścianach przedmioty zakołysały się, jak gdyby na morzu była wielka fala. Potem znowu zawołał:

— O proroku Allacha, nie zabijaj mnie!

— Chciałbym zasięgnąć pewnej informacji — przerwał ten lament przestraszony, a jednocześnie bardzo zaciekawiony Wolka. — Jeżeli się nie mylę, była mowa o Salomonie,



królu z zamierzchłych czasów?

— Tak właśnie, młodzieńcze pogardy godny! O królu Sulejmanie ibn Daud — oby przedłużone zostały dni jego na ziemi.

— To jeszcze wielkie pytanie, kto z nas jest godny pogardy — spokojnie odpowiedział Wolka, — A co się tyczy tego Sulejmana, to dni jego w żadnym razie nie mogą być przedłużone. Jest to rzecz absolutnie wykluczona. Bardzo przepraszam, ale Salomonowi się zmarło.

— Kłamiesz, nieszczęsny! Drogo mi za to zapłacisz!

— Niepotrzebnie się obywatel złości... Salomon — król Wschodu — umarł dwa tysiące dziewięćset dziewiętnaście lat temu. W każdej encyklopedii jest o tym napisane.

— Kto otworzył naczynie? — zapytał całkiem rzeczowo starzec. Widać było, że informacje otrzymane od Wolki przyjął do wiadomości i niezbyt się nimi zmartwił.

— Ja — skromnie odezwał się Żenia. — Ja... otworzyłem, ale to przecież drobnostka...

— Nie ma Boga prócz Allacha! — zawołał nieznajomy. — Ciesz się, o chłopcze niegodny!

— Z czego właściwie mam się cieszyć? — zapytał Żenia ze zdumieniem. — Niech się cieszy ten, kto został wyzwolony z więzienia. Bo jeżeli idzie o mnie... to z jakiego powodu miałbym się cieszyć?

— Z tego powodu, że cię zabiję i że umrzesz za chwilę najstraszniejszą śmiercią!

— No wiecie! — obruszył się Żenia. — Przecież to jest ordynarne świństwo! Wyzwoliłem obywatela z tego miedzianego garnka! Gdyby nie ja, siedziałby w nim obywatel w sadzy i dymie kto wie ile jeszcze tysięcy lat.

— Nie męcz mnie swoim bezsensownym gadaniem! — krzyknął nieznajomy ze złością. — Mów, jaką śmiercią pragniesz umrzeć i w jaki sposób chcesz być stracony? U-u-u-u!

— Tylko bez zastraszania! A poza tym o co właściwie chodzi? — zirytował się w końcu Żenia.

— Wiedźże, o niegodny pacholku, że masz przed sobą jednego z tych dzinnów, którzy złamali rozkaz Sulejmana syna Dauda (pokój im obydwu!). I Sulejman przysłał wezyra swego Barachię i ów powiódł mnie przemocą, prowadząc w poniżeniu wbrew woli mojej. I postawił mnie przed obliczem Sulejmana, a Sulejman ujrzawszy mnie rozkazał, aby mu przyniesiono ten oto dzban, i uwięził mnie w tym naczyniu.

— Dobrze zrobił — szepnął Żenia do ucha Wolce.

— Coś tam powiedział szeptem? — podejrzliwie zapytał starzec.

— Nic. Tak sobie... — szybko odpowiedział Żenia.

— Ano właśnie! — ponuro rzekł staruch. — Ze mną, jak widzisz, nie ma żartów... Uwięził mnie tedy w naczyniu tym i rozkazał dzinnom swoim, aby mnie zabrali i cisnęli w morze. A gdy przetrwałem tam lat sto, rzekłem sobie w sercu swoim: „Ten, który mi wróci wolność, bogaty będzie na wieki”. Lecz minęło sto lat i nikt mnie nie wyzwolił. I znowu przeszło lat sto, a ja rzekłem: „Ten, kto mi zwróci wolność, będzie miał otwarte przed sobą wszystkie skarby ziemi”. Ale i tym razem nikt mnie nie wyzwolił. Przeleciało nade mną jeszcze czterysta lat, a ja rzekłem: „Temu, kto mnie wyzwoli, spełnię trzy życzenia jego”. Lecz nikt mnie nie wyzwolił. Wówczas w sercu moim zapłonął gniew potężny i rzekłem w głębi duszy mojej: „Zabiję tego, który mnie wyzwoli, lecz będzie mu pozwolone, aby wybrał rodzaj śmierci, jakim chce umrzeć”. I oto tyś mnie wyzwolił, więc proponuję ci, abys wybrał, jaką śmiercią umarłbyś najchętniej.

— Ależ w tym nie ma za grosz logiki! Czy kto kiedy zabijał swego wybawcę?! — gorąco zaprotestował Żenia. — To nie jest ani logiczne, ani szlachetne.

— Logika tu nie ma nic do rzeczy! — ostro odciął dzinn. — Wybierz jak najprędzej jakiś wygodny rodzaj śmierci i nie zaprzataj mi sobą czasu, albowiem gdy się rozgniewam, jestem straszny.

Wolka podniósł rękę i rzekł:

— Czy mogę o coś zapytać?

Ale w odpowiedzi dżinn tak syknął, że pod Wolką ugięły się nogi.

— A czy mnie wolno zadać tylko jedno pytanie?! — zawołał błagalnie Żenia. Głos jego był tak nabrzmiały rozpaczą, że dżinn się zgodził.

— Dobrze. Wolno ci, ale pamiętaj, że masz się streszczać.

— Obywatel nam tu opowiada o tym, że spędził kilka tysięcy lat w miedzianym naczyniu — zaczął głosem drżącym Żenia — a przecież ten garnek jest taki mały, że nie zmieści się w nim nawet jedna ręka obywatela... Jakże więc — proszę mi wybaczyć moje nietaktowne pytanie — jakże więc obywatel mógł się w nim cały zmieścić?

— Jak to? Nie wierzysz zatem, że siedziałem w tym naczyniu?! — wrzasnął dżinn.

— Nie uwierzę, dopóki nie zobaczę tego na własne oczy — stanowczo odpowiedział Żenia.

— Patrz tedy, abys się przekonał! — ryknął dżinn: otrząsnął się, zmienił się w dym i zaczął powoli, ale systematycznie wsuwać się do dzbanka przy akompaniamencie cichych oklasków uradowanych chłopców.

Więcej niż połowa dymu weszła już do garnka, Żenia z zapartym tchem przygotował pokrywkę, żeby znów zamknąć w nim dżinna, gdy ten nagle się rozmyślił, wysunął się na zewnątrz i znowu przybrał postać ludzką.

— No-no-no! — rzekł, przebiegle mrużąc oczy i groźnie kiwając haczykowatym, dawno nie mytym palcem tuż przed nosem Żeni, który czym prędzej schował przykrywkę do kieszeni. — No-no-no! Czy nie chcesz przypadkiem być sprytniejszy ode mnie, o pogardy godny smarkaczu?... Przeklęty brak pamięci! O mały włos, a byłbym zapomniał! Przed tysiąc stu dziewiętnastu laty w ten sam sposób oszukał mnie pewien rybak. Zadał mi wtedy to samo pytanie, ja zaś chciałem mu lekkomyślnie udowodnić, że byłem w tym naczyniu, więc się zmieniłem w dym i wszedłem do dzbanka, a rybak złapał wonczas korek z pieczęcią, zamknął naczynie i wrzucił mnie do morza. Nie, nie, to się po raz drugi nie uda.

— Wcale nie miałem zamiaru cię oszukiwać — kłamał drżącym głosem Żenia czując, że teraz już się nie wykręci.

— Wybieraj, a szybko, jaką śmiercią chcesz umrzeć? Nie zatrzymuj mnie dłużej, zmęczyła mnie bowiem ta nasza rozmowa.

— Dobrze — rzekł Żenią po chwili namysłu — ale czy mogę mieć pewność, że umrę właśnie taką śmiercią, jaką sobie za chwilę wybiorę?

— Przysięgam ci na to! — rzekł uroczyście dżinn, a oczy jego zapłonęły ogniem diabelskim.

— Otóż — ciągnął Żenia i kurczowo przełknął powietrze — chciałbym... umrzeć ze starości.

— Doskonale! — zawołał Wolka z uciechą, a dżinn poczerwieniał ze złości.

— Przecież twoja starość — wrzasnął — jest jeszcze bardzo daleko! Jesteś przecie taki młody.

— Nic nie szkodzi — odważnie odpowiedział Żenia — mogę poczekać.

Usłyszawszy odpowiedź Żeni, Wolka wybuchnął wesołym śmiechem, dżinn zaś, wykrzykując bez przerwy jakieś arabskie obelgi, zaczął się rzucać to w tył, to naprzód po kajucie i w bezsilnej złości ciskać wszystkim, co mu się nawinęło pod rękę.

Trwało to co najmniej pięć minut, zanim nie powziął jakiegoś postanowienia. Wtedy wybuchnął tak okropnym śmiechem, że chłopcom ciarki przeszły po plecach. Dżinn stanął przed Żenią i oznajmił złośliwie:

— Chytry jesteś, nie ma co gadać. To ci muszę przyznać. Ale Omar Jussuf ibn Chottab jest jeszcze chytrzejszy, o najwyższej pogardy godny pachółku!

— Omar Jussuf ibn Chottab?! — jednocześnie zawołałi obaj chłopcy.

Ale dżinn dygotał tylko ze złości.

— Milczeć! — ryknął. — A jeżeli nie, to w jednej chwili was unicestwię! Tak jest! Ja, Omar Jussuf ibn Chottab, chytrzejszy jestem od tego nieznośnego chłopca. Proszę jego spełnić: umrze rzeczywiście ze starości — lecz ta starość przyjdzie, zanim zdążycie policzyć do stu!

— Oj! — krzyknął Żenia dźwięcznym, chłopięcym głosem. — Oj! — zawołał po kilku sekundach basem. — Oj! — jęknął po upływie jeszcze paru sekund trzęsącym się starczym głosem. — Oj! Umieram!

Wolka patrzył z rozpaczą, jak w oczach jego Żenia z niepojętą szybkością zmienił się w młodzieńca, a potem w dojrzałego mężczyznę z czarną wielką brodą, potem broda mu szybko posiwiiała i Żenia przeistoczył się w człowieka w podeszłym wieku, aż wreszcie stał się niedołężnym, łysym staruszkciem. Jeszcze kilka sekund i wszystko byłoby skończone, gdyby Omar Jussuf, ze złośliwą przyjemnością przyglądając się gasnącemu życiu Żeni, nie zawołał:

— O, gdyby wraz ze mną był tu brat mój nieszczęsny! Jakaż radość sprawiłby mu mój triumf!

— Proszę zaczekać! — krzyknął Wolka jak mógł najgłośniej. — Muszę wiedzieć, czy ten brat ma na imię Hassan Abdurrachman?

— Skąd ci to jest wiadome? — zdumiał się Omar Jussuf. — Nie przypominaj mi o bracie moim, albowiem serce rozdziera mi się na strzępy, gdy wspomnę nieszczęsnego Hassana! Tak, miałem brata, który tak się nazywał, lecz tym gorzej dla ciebie, żeś rozjątrzył nie zabliźnioną ranę mego serca!

— A gdybym powiedział, że ten brat żyje? Gdyby się okazało, że żyje i cieszy się dobrym zdrowiem? Czy ocaliłoby to życie Żeni?

— Gdybym zobaczył drogiego mego Hassana? O, gdyby tak było, przyjaciel twój mógłby żyć do samej śmierci, do czasu, aż się zestarzeje w sposób naturalny, co się stanie wcale nie prędko. Ale jeżeli mnie oszukujesz... to przysięgam, nic nie uchroni was obydwu od sprawiedliwego gniewu mego!

— Proszę wobec tego zaczekać jedną małą chwileczkę! — zawołał Wolka.

W ciągu kilku sekund był już w kajucie ogólnej, gdzie Hassan z wielkim przejęciem oddawał się grze w szachy z kapitanem statku.

— Hassanie, najdroższy mój — drżącymi wargami szeptał Wolka — chodź czym prędzej ze mną do kajuty czeka cię tam ogromna radość...

— Nie ma dla mnie większej radości, niż dać mata mojemu najmilszemu przyjacielowi Stiepanowi Timofiejewiczowi — z całym spokojem odpowiedział Hassan, pogrążony w rozmyśleniach nad sytuacją, jaka się wytworzyła na szachownicy.

— Hassanie, nie siedź tu ani przez minutę dłużej! Bardzo cię proszę, żebyś natychmiast poszedł ze mną na dół!

— Dobrze — odpowiedział Hassan i zrobił ruch wieżą. — Szach! Odejdź, o Wolko! Przyjdę, kiedy wygram partię, a na to trzeba wedle moich obliczeń dwóch albo trzech ruchów.

— To się jeszcze pokaże — energicznie zaprotestował Stiepan Timofiejewicz. — Jeszcze na dwoje babka wróżyła. Zaraz! Chwileczkę się zastanowię i...

— Zastanawiaj się, zastanawiaj, Stiepan Timofiejewicz — zaśmiał się staruszek. — Tak czy siak, nic nie wymyślisz. Mam czas. Proszę bardzo.

— Nie masz czasu! — zawołał z rozpaczą Wolka i zrzucił figury z szachownicy. — Jeżeli natychmiast nie pobiegniemy obaj pędem na dół, to i ja, i Żenia będziemy musieli umrzeć w straszliwych męczarniach.

— Za wiele sobie pozwalasz — burknął Hassan bardzo nierad z tego, co zaszło, i pobiął za Wolką na dół.

— A więc „remis”! — krzyknął za nimi Stiepan Timofiejewicz wielce zadowolony z tak pomyślnego wyjścia z całkowicie beznadziejnej sytuacji.

— Co to, to nie! Jak to „remis”? — zaprzeczył Hassan i już chciał wracać.

Ale Wolka zawołał ze złością:

— Oczywiście, że „remis”, typowy wypadek! — i wyteżywszy wszystkie siły wepchnął staruszka do kajuty, gdzie Omar Jussuf miał właśnie przystąpić do zrealizowania swej groźby.

— Cóż to za sędziwy człowiek? — zapytał Hassan na widok leżącego na koi, pojękującego żałośnie staruszka, który jeszcze przed kilku minutami był trzynastoletnim Żenią. — A to? Jeszcze jeden starzec? — ciągnął przyglądając się Omarowi Jussufowi. Nagle zbladł; nie wierzył jeszcze własnemu szczęściu, postąpił niepewnym krokiem naprzód, a wargi jego wyszeptały cichutko: — Salem alejkum, Omarciu!

— Tyżeś to, o drogi mój Hassanie Abdurrachmanie?! — wykrzyknął z kolei Omar Jussuf.

Obaj bracia padli sobie w objęcia, a uścisk ich trwał tak długo, że gdyby ktoś na to patrzył z boku, wydałoby się mu to po prostu mało prawdopodobne. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że bracia nie widzieli się bez mała trzy tysiące lat.

Przez parę pierwszych sekund Wolka był tak wzruszony niezwykłym spotkaniem dwóch braci wśród lodów Arktyki i tak się ucieszył radością Hassana, że zupełnie zapomniał o nieszczęsnym Żeni. Lecz gdy ledwie dosłyszalny chrypliwy oddech dotarł z łóżka do jego uszu, chłopiec przypomniał sobie, że trzeba działać jak najszybciej.

— Dosyć! — zawołał usiłując rozerwać braterskie objęcia obu synów Chottaba. — Tu ginie człowiek, a wy...

— Oj, umieram! — jakby na potwierdzenie tych słów jęknął ochryłym głosem zgrzybiały Żenia.

— Kim jest ten staruszek o skroniach posrebrzonych siwizną? W jaki sposób tu się znalazł na koi naszego przyjaciela Żeni? — zapytał Hassan wielce tym widokiem zdziwiony.

— Przecież to jest właśnie Żenia! — krzyknął z rozpaczą Wolka. — Ocal go, Hassanie!

— Wybacz mi, Hassanku, skarbie mój — nie bez irytacji odezwał się Omar Jussuf zwracając się do swego na nowo odzyskanego brata. — Będę musiał przerwać tak przyjemną chwilę naszego spotkania, żeby spełnić moją obietnicę.

To rzekłszy podszedł do koi, dotknął dłonią ramienia Żeni i rzekł szeptem:

— Błagaj o przebaczenie, dopóki nie jest za późno!

— O przebaczenie? Kogo? — słabym głosem zapytał wielce zdziwiony staruszek Żenia.

— Mnie, o pogardy godny pachołku!

— Za co?

— Za to, żeś usiłował mnie oszukać.

— Nie ja, tylko ty powinienesz mnie prosić o przebaczenie! — czupurnie zaprotestował Żenia. — Ocaliłem cię, a ty mnie jeszcze za to chcesz zabić! Nie będę cię prosił o przebaczenie!

— Możesz nie prosić! — perfidnie zgodził się Omar Jussuf. — Nie zależy mi na tym. Licz się jednak z tym, że skoro tak sprawę stawiasz, będziesz musiał za kilka sekund umrzeć.

— Ano trudno, to umrę! Bardzo pięknie! — dumnie szepnął ostatkiem sił Żenia, mimo że, oczywiście, nic pięknego w takim obrocie sprawy nie widział.

— Omarciu! — łagodnie, lecz stanowczo wtrącił się do tej strasznej rozmowy Hassan. — Niech czyn nieszlachetny nie rzuca cienia na chwilę naszego przez długie wieki upragnionego spotkania. Powinienesz natychmiast, nie wysuwając żadnych warunków, wykonać obietnicę daną mojemu najdroższemu przyjacielowi Wolce ibn Alosza. Miej i to na względzie, że wielce czcigodny Żenia jest również moim najbliższym przyjacielem.

Omar Jussuf w bezsilnej złości zazgrzytał zębami, lecz opanował się i rzekł:

— Wstań, o zuchwały chłopcze, i bądź znowu taki, jakim byłeś dawniej!

— To całkiem inna sprawa! — odpowiedział Żenia.

I oto oczy tych, którzy byli w kajucie, uradowały się widokiem iście niezwykłym:

nastąpiło przeistoczenie umierającego starca w trzynastoletniego urwisa.

Najpierw na pomarszczonej, zapadniętej twarzy zjawił się rumieniec, potem łysą czaszkę zaczęły pokrywać białe włosy, które wkrótce stały się czarne, podobnie jak i gęsta broda. Gdy Żenia poczuł, że ma siłę w mięśniach, energicznie zeskoczył z koi i wesoło mrugnął na przyjaciół. Mieli przed sobą teraz mężczyznę krępego, w pełni sił, na oko mniej więcej czterdziestoletniego; różnił się on od swoich rówieśników tym, że broda mu się stopniowo skracała, aż wreszcie zmieniła się w ledwo dostrzegalny puszek, który po chwili również zniknął. A i on sam stawał się coraz niższy i coraz węższy w ramionach, w końcu zaś osiągnął dawny wzrost i wygląd Żeni Bogorada.

W ten sposób Żenia stał się jedynym na świecie człowiekiem, który mógł o sobie powiedzieć: „Kiedy byłem jeszcze stary”. Było to nie mniej uzasadnione niż tak częste westchnienia ludzi w wieku podeszłym: „Kiedy byłem jeszcze młodym urwisem...”

## XLIX. Omar Jussuf pokazuje pazurki

— Jednej rzeczy nie mogę zrozumieć — rzekł głęboko zamyślony Omar Jussuf kurcząc się od chłodu. — Przecież na własne uszy słyszałem, jak dzinny Sulejmana powiedziały: „Wiecie co? Rzućmy go — to znaczy mnie — do Zachodnio-Etiopskiego Morza”. Myślałem więc, że jeśli będę miał szczęście kiedykolwiek jeszcze oglądać ziemię i światło dzienne, to będzie to w okolicach gorących brzegów Afryki. Ale to — wskazał na szyby iluminatora, przez które widać było szybko znikającą w oddali wyspę — to przecież wcale do Afryki nie jest podobne. Czyżbym się mylił, o braciszku mój, Hassanie?

— Masz najzupełniejszą słuszność, miły sercu memu Omarze Jussufie: znajdujemy się w tej chwili w pobliżu całkiem innych i wielce oddalonych od Afryki brzegów — odpowiedział Hassan.

— Jesteśmy teraz...

— Rozumiem! Uczciwe słowo pioniera, że rozumiem! — przerwał Wolka pogawędkę braci i w przystępie radości zaczął tańczyć po kajucie. — A to dopiero! Teraz rozumiem! Teraz rozumiem!...

— Co rozumiesz? — opryskliwie zapytał Omar Jussuf.

— Zrozumiałem, w jaki sposób znaleźliście się, obywatelu, w obszarze arktycznym.

— O zuchwały i chełpliwy młodzieńcze, jakże gniewa mnie twoje bezgraniczne zadufanie w sobie! — rzekł z obrzydzeniem Omar Jussuf. — Czyliż możliwe jest, abyś rozumiał to, co pozostaje tajemnicą nawet dla mnie, najpotężniejszego z dzinnów?! No cóż, powiedz, jakie jest twoje zdanie, abyśmy obaj, ja i brat mój kochany, mogli się z ciebie naśmiać do syta.

— Proszę bardzo. Jeżeli chcecie — to się możecie śmiać, jeżeli nie chcecie — to się nie śmiećcie. Ale cały sęk tkwi w Golsztromie.

— W czym tkwi? Jak powiedziałeś?

— W Golsztromie. To jest w takim ciepłym prądzie, który przyniósł obywatela z mórz południowych aż tu, do obszarów arktycznych.

— Co za androny! — pogardliwie wydał wargi Jussuf i zaraz obrócił oczy na brata, licząc na jego poparcie.

Hassan jednak przezornie nie zabierał głosu.

— To nie są żadne brednie — zaczął Wolka, lecz Omar Jussuf natychmiast wprowadził poprawkę:

— Powiedziałem nie „brednie” tylko „androny”.

— To wcale nie są ani brednie, ani androny — z irytacją ciągnął Wolka. — Akurat za Golsztrzem dostałem piątkę z geografii.

— Nie pamiętam jakoś takiego pytania — rzekł wyraźnie zatroskany Hassan.

Żeby uniknąć wyrzutów ze strony Hassana, Wolka musiał skłamać, że o Golsztrzem odpowiadał na egzaminie w zeszłym roku.

Wobec tego, że Żenia też się opowiedział za naukową hipotezą Wołki, do ich opinii przyłączył się również i Hassan. Gdy się okazało, że Omar Jussuf został ze swoim zdaniem odosobniony — staruch powiedział, że się co do Golsztrzemu, owszem, zgadza, ale w głębi duszy knuł w stosunku do Wołki i jego przyjaciela nadal jak najgorsze zamiary.

— Znużyła mnie ta kłótnia z tobą, o dufny w siebie młodzieńcze! — rzekł i umyślnie zaczął ziewać. — Zmęczony jestem, spać mi się chce. Weźże jak najprędzej jaki wachlarz i odpędzaj ode mnie muchy, gdy będę zażywał spoczynku.

— Po pierwsze, tu nie ma much. Po drugie, jakim prawem obywatel mi rozkazuje? — obruszył się Wolka.

— Muchy zaraz będą — wycedził przez zęby Omar Jussuf.

I rzeczywiście w kajucie zaczęło natychmiast brzęczeć mnóstwo much.

— Można się doskonale obejść bez wachlarza — rzekł Wolka pojednawczo i zachowywał się tak, jakby wcale nie zauważył, że wymagania Omara Jussufa mają charakter szykany.

Otworzył najpierw drzwi, potem iluminator, wskutek czego ostry przeciąg wypędził brzęczące roje much z kajuty na korytarz.

— Mimo to będziesz nade mną machał wachlarzem — kapryśnie oznajmił Omar Jussuf nie zwracając uwagi na czynione przez Hassana próby uspokojenia brata.

— Nie, nie będę! — porywczo odrzekł Wolka. — Jeszcze takiego nie spotkałem, co by mnie zmusił do służenia swoim kaprysom.

— To znaczy, że ja będę pierwszy.

— Nie, nic z tego!

— Omarciu! — usiłował zażegnać awanturę Hassan.

Lecz Omar Jussuf aż pozieleniał ze złości i odwrócił się z gniewnym zniecierpliwieniem.

— Prędzej zginę, niżbym miał spełniać czyjeś głupie zachcianki — ponuro oznajmił Wolka.

— To znaczy, że zginiesz bardzo prędko. Jeszcze zanim słońce zajdzie.

W tej właśnie sekundzie przyszła Wolce do głowy doskonała myśl.

— Drżj wobec tego, nikczemny dzinnie! — wrzasnął głosem najstraszniejszym, na jaki mógł się zdobyć. — Doprowadziłeś mnie do ostateczności, zmuszony jestem zatrzymać słońce. Nie zajdzie ono ani dziś, ani jutro, ani pojutrze! Sam sobie jesteś winien! Trudno!

Ale Omar Jussuf w odpowiedzi na to z wyraźną drwiną zauważył:

— Samochwał nad samochwałami, błagier nad błagierami! Ja też lubię się czasami pochwalić, ale nawet w chwilach największej zapalczowości nie chełpiłem się, że zatrzymam bieg tak potężnego ciała niebieskiego. Tego nie potrafiłby dokonać nawet Sulejman syn Dauda — pokój im obydwu.

Wolka zrozumiał, że jest ocalony. I nie tylko to. Jednocześnie mógł przytrzeć rogów nieznośnemu braciszкови Hassana. Hassan mrugnął zresztą na Wolkę z wyraźną aprobatą, o radości Żeni zaś nawet mówić nie warto. Żenia w lot skombinował, na czym polega plan Wołki, i po prostu szalał z zachwytu, czekając na nieuniknioną kompromitację Omara Jussufa, której przedsmak czuł już w tej chwili.

— Nie ma się o co martwić, Omarze Jussufie. Powiedziałem, że zatrzymam słońce, a zatem nie zajdzie ono z całą pewnością.

— Smarkacz! — rzucił z pogardą Omar Jussuf.

— Sam jesteś smarkacz! — z niemniejszą pogardą odpowiedział Wolka. — Jeżeli idzie

o słońce, to biorę na siebie całkowitą odpowiedzialność.

— No, a gdyby mimo to jednak zaszło? — zapytał Omar dusząc się ze śmiechu.

— Jeżeli zajdzie, to obiecuję, że będę spełniał zawsze nawet najbardziej idiotyczne twoje rozkazy.

— Nie-e! — rzekł zwycięsko, przeciągając sylaby, Omar Jussuf. — Nie! Jeżeli słońce wbrew twemu zarozumiałemu twierdzeniu zajdzie — a to się, rzecz prosta, stać musi — to cię najzwyczajniej w świecie pożrę i nawet kosteczki po tobie nie zostawię.

— Możesz nawet moich trzewików nie zostawiać — śmiało dokończył Wolka. — Ale za to, jeżeli słońce się dziś nie schowa za horyzont — czy będziesz mi we wszystkim posłuszny?

— Jeżeli się nie schowa za horyzont? Bardzo proszę, z największą przyjemnością, o najbardziej chępliwym i najnędnieszym z magów! Ale — hi-hi- hi! — niestety, nie jest sędzonne, by tak się stało.

— To jeszcze wielki znak zapytania, kto za parę godzin zawoła „niestety”! — ostro odpowiedział Wolka.

— A więc uważaj! — surowo pogroził palcem Omar Jussuf. — Sądząc wedle tego, gdzie jest w tej chwili słońce, zachód nastąpi za osiem lub dziewięć godzin. Troszkę mi nawet ciebie żal, o wyzuty ze wstydu młokosie, albowiem pozostało przed tobą nic więcej niż pół doby życia.

— Proszę zachować swoją litość dla własnej osoby. Siebie proszę żałować, nie mnie.

Omar Jussuf zachichotał lekceważąco, ukazując przy tym dwa rzędy drobnych, złotych zębów.

— Jakże brzydkie masz zęby — ze współczuciem odezwał się Hassan. — Czemu byś nie miał, mój Omarze, sprawić sobie złotych, takich jak moje.

Omar Jussuf teraz dopiero zauważył niezwykle zęby Hassana i w sercu jego zapłonęła najczarniejsza zawiść.

— Prawdę mówiąc, mój bracie, nie uważam, żeby złote zęby świadczyły o szczególnym bogactwie — rzekł tonem jak najbardziej lekceważącym. — Ja wolę sprawić sobie zęby brylantowe.

I rzeczywiście w tejże sekundzie trzydzieści dwa przezroczyście diamenty najczystszej wody rozbłysły w ustach dzinna, wykrzywionych w złośliwym uśmiechu. Omar Jussuf był bardzo z wyglądu swego zadowolony, gdy przejrzał się w małym lusterku z brązu, które ten stary elegant, jak się okazało, nosił zawsze za pasem.

Jego całkowity triumf maciły jednak okoliczności trojakiego rodzaju. Po pierwsze, Hassan nie zdradzał żadnych objawów zazdrości. Po drugie, brylantowe zęby lśniły tylko wtedy, gdy na nie padało światło. Kiedy zaś światła nie było, miało się wrażenie, że jama ustna jest zupełnie bezzębna.

Po trzecie, brylantowe zęby z punktu podrapały dzinnowi język i wargi.

W głębi duszy Omar nawet trochę żałował, że go opanowała taka chciwość, ale nie okazywał tego, żeby nie stracić nic ze swego dostojenstwa.

— Nie, nie! — zachichotał widząc, że Wolka zamierza opuścić kajutę. — Nie uda ci się opuścić tego lokalu aż do zachodu słońca. Rozumiem cię doskonale: chcesz się ukryć, żeby uniknąć zasłużonej kary. Nie mam zamiaru przetrząsać potem całego statku w poszukiwaniu twojej osoby.

— Proszę bardzo — rzekł Wolka — mogę pozostać w kajucie tak długo, jak będziecie sobie tego życzyć. To się nawet dobrze składa, nie trzeba będzie szukać po całym parowcu, żeby was odnaleźć, gdy się okaże, że słońce nie zaszło! Ile czasu, waszym zdaniem, będziemy musieli czekać?

— Nie więcej niż dziewięć godzin, o młody samochwale! — odrzekł Omar Jussuf i złożył drwiący ukłon Wolce, potem zaś pstryknął wielkim i wskazującym palcem lewej ręki...

Na stoliku pod iluminatorem zjawił się ciężki zegar wodny.

— Nie zdąży woda podnieść się do tej tu podziałki — a słońce już zajdzie — dodał stukając krzywym brązowym palcem o ściankę zegara. — Będzie to godzina twojej śmierci.

— Dobrze — odparł Wolka — poczekam.

— My też zaczekamy — powiedzieli razem Żenia i Hassan.

Osiem godzin przeleciało tak prędko, że niemal tego nie dostrzegli. Żenia bowiem nie potrafił sobie odmówić tej przyjemności i zaproponował zarozumiałemu Omarowi Jussufowi, że nauczy go grać w warcaby, a właściwie wesołej i mądrej gry zwanej „na wybitki”.

— Dobrze — zgodził się Omar — ale cię ogram z kretesem.

Tymczasem Żenia ograł dokuczliwego dziada nieskończoną ilość razy. Omar Jussuf złościł się okropnie, próbował nawet szachrować, ale za każdy razem chłopcy chwyтали go na gorącym uczynku; zaczynał więc nową partię, ale wszystkie kończyły się dla dziwna niewesoło.

— Otóż i nadeszła oznaczona godzina, Omarze synu Chottaba — rzekł wreszcie Wolka.

— Nie może być! — zawołał odrywając się od gry Omar Jussuf.

Rzucił okiem na zegar wodny i zmienił się na twarzy: z niepokojem zerwał się z koi, na której siedząc rozgrywał partię z Żenią, podbiegł do iluminatora, wysunął głowę na zewnątrz i aż jęknął z przerażenia tudzież z bezsilnej złości: słońce, podobnie jak przed ośmiu godzinami, było wysoko na niebie.

Dżinn odwrócił się znów do Wolki i głosem zduszonym rzekł:

— Omyliłem się pewnie w obliczeniach. Zaczekajmy jeszcze z godzinkę albo ze dwie.

— Możemy nawet ze trzy — odparł Wolka. — Ale to ci i tak nic nie pomoże. Będzie, jak powiedziałem. Słońce nie zajdzie ani dziś, ani jutro, ani pojutrze.

Po upływie czterech i pół godziny Omar Jussuf po raz dwudziesty wyjrzał przez iluminator i po raz dwudziesty przekonał się, że słońce ani myśli chować się za horyzont; na ten widok zbladł okropnie, a ciałem jego wstrząsnął dreszcz przerażenia.

W końcu dżinn z łomotem gruchnął na klęczki.

— Daruj mi, o potężny młodzieńcze! — zawołał żałośnie. — Nie ścigaj gniewem twoim niegodnego sługi twego, albowiem, kiedyś na ciebie krzyczał, nie wiedziałem, żeś ode mnie silniejszy.

— Więc gdybym był słabszy, to uważasz, że wolno by ci było na mnie krzyżeć? — zapytał Wolka.

— Oczywiście, wolno — z najgłębszym przekonaniem odpowiedział Omar Jussuf, a wszystkich wzięło obrzydzenie, gdy to posłyszeli.

— Ale udał ci się braciszek! — szepnął Żenia do ucha Hassanowi. — Nie gniewaj się, że ci to mówię, ale naprawdę okropnie z niego niemiły, zawistny i zawzięty staruch.

— Tak — ze smutkiem odpowiedział Hassan. — Wiem, że z mego braciszka bynajmniej nie cukierek.

— Proszę wreszcie wstać! — z odrazą rzekł Wolka do Omara Jussufa, który wciąż pozostawał na klęczkach, usiłując pocałować Wolkę w rękę.

— Jakie są rozkazy twoje, o mój młody, lecz potężny władco? — tonem służalczym zapytał Omar Jussuf i zacierając swoje pulchne dłonie podniósł się z podłogi.

— Na razie mam tylko jeden: bez mego pozwolenia nie wolno ci się krokiem ruszyć z tej kajuty.

— Z największą rozkoszą, o najmędrzy i najpotężniejszy z młodzieńców! — przypochlebnie odrzekł Omar Jussuf, ze strachem, a także z wielkim nabożeństwem spoglądając na Wolkę.

Stało się tak, jak Wolka zapowiedział. Ani tego dnia, ani następnego, ani trzeciego słońce nie zaszło za horyzont. Pod pretekstem kary za jakieś drobne przewinienie Omara Jussufa, Wolka przedłużył dwudziestoczworgodziną obecność słońca na sklepieniu niebie-



skim na czas bliżej nie określony, aż do odwołania.

Kiedy zaś dowiedział się wreszcie od kapitana, że „Ładoga” wchodzi w tę szerokość geograficzną, gdzie na krótko wprawdzie, ale jednak dzień ustępuje nieco czasu nocy — zakomunikował o tym Omarowi Jussufowi, podkreślając, że jest to dowód jego szczególniejszej łaski w stosunku do niegodnego i swarliwego dżinna.

Omar Jussuf stał się teraz cichuteńki jak trusia, ani na chwilę nie opuszczał kajuty i posłusznie wsunął się do miedzianego naczynia, gdy „Ładoga” przy dźwiękach orkiestry i akompaniamencie okrzyków „hura!” przybiła wreszcie do tej samej przystani archangielskiego portu, z której wyruszyła równo trzydzieści dni temu.

Omarowi Jussufowi — rzecz prosta — okropnie się nie chciało wracać choćby na krótki czas do miedzianego naczynia, gdzie spędził w samotności tyle niewesołych wieków, lecz Wolka obiecał mu uroczyście, że zaraz po przyjeździe do domu pozwoli mu wyjść znowu na wolność.

Nie będziemy ukrywać: opuszczając gościnną „Ładogę” z miedzianym dzbanuszkim pod pachą, Wolka miał nieprzewyciężoną chętkę cisnąć garnek do wody. No ale — słowo się rzekło. Chłopiec stłumił w sobie chwilową pokusę i zszedł na przystań.

Skoro już na statku „Ładoga” nikomu nawet przez myśl nie przeszło, żeby się interesować, jakim prawem Hassan i jego przyjaciele uczestniczą w wycieczce, jest rzeczą samo przez się zrozumiałą, że staremu dżinnowi nie sprawiło również najmniejszej trudności dokończyć podobnej sztuki w stosunku do rodziców i znajomych naszych bohaterów. Tak czy inaczej, rodzice i znajomi uznali fakt wyjazdu chłopców na Daleką Północ za sprawę całkiem naturalną, a pytanie, w jaki to tajemniczy sposób Wolka i Żenia znaleźli się na pokładzie „Ładogi”, wcale ich nie zaprzętało.

Chłopcy z apetytem zjedli obiad, a potem długo opowiadali swoim najbliższym — nic prawie przy tym nie bujając — o swoich przygodach w strefie podbiegunowej. O Hassanie tylko rozważnie zamilczeli. Jedyne Żenia z wielkiego przejęcia o mało co się kiedyś nie wygadał. Gdy mówił o wieczorach amatorskich, które się odbywały w kajucie ogólnej podczas mgły, wypsnęło mu się naraz takie zdanie:

— A tu nagle występuje Hassan i powiada...

— Dziwne jakieś imię: Hassan — zauważyła matka Żeni.

— Zdawało ci się, mamó. Powiedziałem nie „Hassan”, tylko „Kasjan”. Nasz bosman tak się nazywał.

W ten sposób Żenia wybrnął z kłopotliwej sytuacji, ale mocno się przy tym zaczerwienił.

Na tę ostatnią okoliczność nikt zresztą nie zwrócił najmniejszej uwagi. Wszyscy z zadrością patrzyli na Żenię, który codziennie, jak gdyby nigdy nic, przestawał z najprawdziwszym, żywym bosmanem.

Wolce natomiast o mało się nie przydarzył przykry wypadek z miedzianym garnuszkiem. Chłopiec siedział w pokoju jadalnym na otomanie i z dużą znajomością rzeczy tłumaczył rodzicom, jaka zachodzi różnica pomiędzy prawdziwym łamaczem lodów a statkiem pasażerskim odpowiednio przystosowanym do pływania wśród kry. Nie zauważył przy tym, że w pewnej chwili z pokoju znikła gdzieś babunia. Po pięciu może minutach nieobecności babcia wróciła; w rękę miała naczynie z Omarem Jussufem.

— Co to jest? — z ciekawością zapytał ojciec Wolki. — Skądżeś to wzięła, mamó?

— Wyobraź sobie, Alosza, że z walizy naszego Wolki. Zabrałam się do rozpakowywania jego rzeczy, patrzę, a tu leży jakiś całkiem przyzwoity dzbanuszek. W sam raz będzie do nalewek. Trzeba go tylko dobrze wyczyścić, bo strasznie pozieleniał...

— To wcale nie jest do nalewek! — zawołał Wolka. Chłopiec zbladł i nieomal wyrwał naczynie z rąk babuni.

— Prosił mnie pomocnik kapitana, żebym ten dzbanek doręczył jego znajomemu.

Obiecałem to dziś jeszcze odnieść.

— Bardzo interesujące naczynie — z uznaniem zauważył Aleksiej Aleksiejewicz, wielki amator przedmiotów antycznych. — Podaj no mi to, Wolka, chcę dokładnie obejrzeć. O, ma ołowianą pokrywkę, jak się okazuje... Ciekawa rzecz, bardzo ciekawa...

Aleksiej Aleksiejewicz spróbował, czy dzbanuszek nie da się otworzyć, ale Wolka złapał naczynie obydwoma rękami i rzekł drżącym głosem:

— Tego otwierać nie wolno! To się zresztą nawet wcale nie otwiera. Jest puste, zupełnie puste... Obiecałem pomocnikowi kapitana, że nie będę otwierał, żeby się przypadkiem gwint nie zepsuł...

— No, proszę, jak się chłopak przejął! Dobrze, dobrze. Zabieraj sobie swój garnek na zdrowie... — rzekł Aleksiej Aleksiejewicz do syna, zwracając mu naczynie.

Wolce aż się słabo zrobiło, kiedy usiadł wreszcie na kanapie, tuląc do siebie straszny dzbanuszek.

Rozmowa już się nie kleiła i wkrótce Kostylkow-syn wstał i oznajmił tonem możliwie swobodnym, że zamierza wyjść, aby oddać dzbanuszek, po czym niemal pędem wypadł z pokoju.

— Proszę cię tylko, żebyś długo tam nie siedział! — zawołała głośno matka, ale w pokoju nawet śladu Wolki już nie było.

## L. Osiągnięcia optyki dają czasem wyniki niezwykle

Tymczasem na brzegu rzeki od dawna już czekali na Wolkę Żenia z Hassanem. Dokoła panowała cisza. Nad głowami naszych przyjaciół rozpościerało się nieogarnione nocne niebo. Okrągły księżyc sączył z wyżyn błękitną, martwą poświatę.

Żenia wpadł na doskonały pomysł, by wziąć ze sobą z domu morską lornetę: badał teraz za jej pomocą księżyc.

— Ano, towarzysze mili, przerwijcie wasze studia astronomiczne! — zawołał Wolka podchodząc bliżej.

— Następny numer naszego bogatego programu brzmi: uroczyste wyjście na wolność dobrze nam wszystkim znanego Omara Jussufa. Muzyka! Tusz!

— Ten złośnik i bez tuszów zdrów będzie aż do samej śmierci — rzekł szorstko Żenia i aby podkreślić pogardę, jaką żywił dla znieawidzonego dżinna, odwrócił się tyłem do dzbanka i tak długo przyglądał się przez lornetę księżycowi, aż usłyszał skrzypiący głos Omara Jussufa:

— Niech wolno będzie najpokorniejszemu słudze twemu zapytać, do czego używane są te czarne rurki, w które wparł swe szlachetne źrenice tak gorąco przeze mnie kochany pan mój, a twój przyjaciel Żenia?

— Dla jednych Żenia, a dla innych Jewgienij Nikołajewicz — rzucił zaczepnie Żenia, ale ani myślał się odwracać.

— To jest lorneta. Służy do tego, żeby wszystko można było lepiej zobaczyć — usiłował dać dżinnowi jakieś wyjaśnienie Wolka. — Żenia przyglądał się księżycowi przez lornetę, żeby go dokładniej obejrzeć; księżyc przez lornetę wydawał mu się większy...

— Ach, jakże miłe być musi spędzanie czasu w tak zajmujący sposób — przypochlebnie zauważył Omar Jussuf.

Dżinn bez przerwy kręcił się dookoła Żeni, starał się choćby kącikiem oka zajrzeć w lornetę, ale Żenia ostentacyjnie się odwracał.

Ambitnego dżinna dotknął ten afront do żywego. Ach, gdyby nie było tu tego najpotężniejszego z potężnych Wolki, który jednym swoim słowem zatrzymał na kilka dni ruch słońca, wiedziałby Omar Jussuf, jak się ma rozprawić z tym krnąbrnym chłystkiem. Ale obok stał Wolka, więc choć dżinn się wściekał, nie pozostało mu nic innego, jak tylko zwrócić się do Żenia z uniżoną prośbą, aby mu pozwolił spojrzeć na wielkie nocne ciało niebieskie przez tę tak bardzo interesującą lornetę.

— Ja również proszę, byś okazał mojemu bratu tę łaskę — poparł prośbę Omara Hassan, który przez cały czas zachowywał zupełne milczenie.

Żenia niechętnie podał Omarowi Jussufowi lornetę.

— Ten chłystek najwyższej pogardy godny zaczarował magiczne rurki! — wrzasnął po upływie paru sekund Omar Jussuf i ze złością cisnął lornetę na ziemię. — Nie powiększają one, lecz przeciwnie, wielokrotnie zmniejszają tarczę księżyc! O, żeby ten smarkacz trafił jeszcze kiedyś w moje ręce!

— Wiecznie skaczesz ludziom do oczu i to bez powodu — rzekł Wolka z obrzydzeniem. — Co ma do tego Żenia? Przecież patrzysz przez lornetę z przeciwnej strony! — Chłopiec podniósł lornetę z trawnika i podał ją rozwścieczonemu dżinnowi. — Należy patrzeć przez małe szkiełka.

Omar z niedowierzaniem poszedł za radą Wolki, a po chwili rzekł srodze zawiedziony:

— Przykro mi bardzo, ale miałem dla tego ciała niebieskiego znacznie więcej szacunku. Okazuje się, że jest szczerbate i ma brzegi wyżarte niczym miska w domu najędźniejszego wyrobnika. O ileż ładniej wyglądają gwiazdy; są wprawdzie wielekroć mniejsze, nie mają jednak tak widocznych defektów.

— Pozwól mi, o bracie mój, abym się przekonał, czy prawdziwe są słowa twoje — rzekł Hassan z żywym zainteresowaniem; staruszek przyłożył lornetę do oczu, zdumiał się bardzo i rzekł:

— Tym razem bodajże brat mój ma słusność...

Ton, z jakim Hassan wypowiedział te słowa, wskazywał w sposób oczywisty, że autorytet Omara Jussufa od dawna w oczach jego brata był zachwiany.

— Co za nieuctwo! — zirytował się Żenia. — Czas, żebyście wiedzieli, że księżyc jest wiele milionów razy mniejszy od każdej gwiazdy.

— Nie-e-e, nie jestem w stanie dłużej wytrzymać ustawicznych kpin tego smarkacza! — ryknął Omar Jussuf i złapał Żenię za kołnierz. — Może będziesz mi tu dowodził w żywe oczy, że ziarnko piasku jest większe od wielkiej góry? To całkiem na ciebie wygląda! Nie-e, zaraz się z tobą rozprawię ostatecznie!

— Stój! — krzyknął Wolka. — Stój, bo w tej chwili zrucę na ciebie księżyc! Zobaczysz, nawet mokre miejsce po tobie nie zostanie! Dla mnie to, bracie, tyle, co raz splunąć! Cóż to? Może mnie nie znasz?

Rozwścieczony do najwyższego stopnia, Omar Jussuf musiał, chcąc nie chcąc, wypuścić z rąk Żenię, który nie na żarty się wystraszył.

— I tym razem szalejesz całkiem bez powodu — zauważył Wolka. — Żenia ma słusność. Usiądź, postaram się ci to wytłumaczyć.

— Nie potrzebujesz mi nic tłumaczyć, sam wszystko doskonale wiem — odparł chętnie Omar Jussuf, nie miał jednak odwagi sprzeciwić się Wolce.

Wolka mógł całymi godzinami rozwodzić się na tematy astronomiczne. Był to jego „konik”. Przeczytał wszystkie popularne książki astronomiczne dotyczące budowy wszechświata i każdemu, kto go tylko chciał słuchać, z zapałem opowiadał ich treść. Lecz Omar Jussuf wyraźnie słuchać nie chciał. Przez cały czas wydawał jakieś pogardliwe pomruki, aż wreszcie nie wytrzymał i burknął:

— Nie uwierzę w to, coś powiedział, dopóki nie zobaczę na własne oczy.

— Jak to: na własne oczy? — zdumiał się Wolka. — Czyżbyś chciał polecieć na księ-

życ po to, by się upewnić, że jest ogromną kulą, a nie maleńkim dyskiem?

— Dlaczego nie? Mogę polecieć! — odparł zaczepnie Omar Jussuf. — Zabiorę się i dziś jeszcze polecę.

— Ależ księżyc jest nieprawdopodobnie daleko.

— Nie przestraszy Omara Jussufa duża odległość, tym bardziej że, daruj, ale słuszność słów twoich budzi we mnie pewne wątpliwości.

— Przecież dzieli nas od księżyca przestrzeń pozbawiona powietrza — uczciwie tłumaczył džinnowi Wolka.

— Mogę się doskonale obyć bez powietrza.

— Niech leci — szepnął ponuro Żenia. — Tu by nam jeszcze nieraz zalał sadła za skórę.

— Tak, oczywiście, niech sobie leci — cicho potwierdził słowa przyjaciela Wolka. — Mimo wszystko jednak urażam, że moim obowiązkiem jest powiedzieć mu, co go w drodze czeka. Weź to pod uwagę, Omarze Jussufie — mówił dalej, zwracając się do zarozumiałego džinna — weź pod uwagę, że tam jest okropnie zimno.

— Ja tam chłodu się nie boję. Do prędkiego zobaczenia! — rzucił lekceważąco Omar Jussuf. — Lecę!

— Słuchajże wobec tego — rzekł Wolka. — Skoroś już postanowił za wszelką cenę pofrunąć na księżyc, powinieneś się zastosować do mojej rady pod jednym chociaż względem. Czy możesz mi obiecać, że bez szemrania spełnisz to, co ci rozkażę?

— Zgoda! Obiecuję — z lekceważeniem odpowiedział džinn, najwyraźniej wyzwalając się spod wpływu Wolki.

— Powinieneś wylecieć z Ziemi z szybkością niemniejszą niż jedenaste kilometry na sekundę. Jeżeli tego nie zrobisz, nigdy nie dotrzesz do księżyca, możesz mi wierzyć.

— Z miłą chęcią i zadowoleniem! — skurczył swoje sine, wąskie wargi Omar Jussuf. — A jak wielki jest jeden kilometr? Powiedzcie mi, proszę, albowiem ta miara długości nie jest mi znana.

— Jakby ci to wytłumaczyć?... — zastanawiał się Wolka. — Kilometr to mniej więcej tysiąc czterysta kroków.

— Czyich kroków? Twoich? — zapytał džinn. — To znaczy, że moich kroków liczy nie więcej niż tysiąc dwieście.

Omar Jussuf miał przesadne wyobrażenie o swoim wzroście. Nie był wyższy od Wolki, ale przekonać go, że tak jest, absolutnie nie było można.

— Uważaj, żebyś się nie rozbił o sklepienie niebieskie — troskliwie upomniął brata Hassan, który ciągle jeszcze nie dowierzał opowiadaniom Wolki na temat budowy wszechświata.

— Dobrze, dobrze. Lepiej od ciebie wiem, co mam robić — chłodno odrzekł Omar Jussuf, po czym ze straszliwą szybkością uniósł się w powietrze, w jednej chwili rozżarzył się do białości i znikł z oczu trójce przyjaciół pozostawiając za sobą długi, ognisty ślad.

— Zaczekajmy na niego, kochani moi — nieśmiało zaproponował Hassan; starszek czuł się winny wobec chłopców za wszystkie przykrości, jakich doznali przez Omara Jussufa.

— Nie, teraz to już czekaj, tatka, latka i tak się nie doczekasz — rzekł Wolka. — Nie usłuchał mojej rady, opartej na podstawach naukowych, i więcej już na Ziemię nie wróci. Wobec tego, że twój Omar wyleciał z szybkością mniejszą niż jedenaste kilometry na sekundę, będzie się teraz cały czas kręcić dokoła Ziemi. Zmienił się w satelitę Ziemi, jeśli chcesz wiedzieć.

— Mimo wszystko, za pozwoleniem waszym, poczekam jeszcze troszeczkę — szepnął strapiiony Hassan.

Była już późna noc, kiedy starszek wśliznął się niepostrzeżenie do pokoju Wolki, zmienił się w złotą rybkę i cicho chlupnął do akwarium. Zawsze, ilekroć był czymś wytrąco-

ny z równowagi, spędzał noc nie pod łóżkiem, ale w akwarium.

Przeszło pięć godzin czekał na Omara Jussufa, ale się nie doczekał.

Kiedys w przyszłości uczeni wynajdą przyrządy tak precyzyjne, że można będzie z ich pomocą wykryć minimalne siły ciężenia, które oddziałują na Ziemię na skutek przebiegania w jej pobliżu nawet bardzo drobnych ciał niebieskich, a jakiś przyszły astronom — może za młodu czytelnik tej opowieści — w wyniku długich i żmudnych obliczeń ustali, że gdzieś w okolicach stosunkowo od Ziemi niedalekich krąży ciało niebieskie o wadze sześćdziesięciu trzech i pół kilograma. Do grubego astronomicznego katalogu zostanie wtedy wpisany pod numerem liczącym wiele, wiele cyfr Omar Jussuf, ograniczony i gderliwy dzinn, który stał się satelitą Ziemi wyłącznie z przyczyny nieznośnego swego charakteru i właściwego nieukom lekceważenia osiągnięć wiedzy.

Ktoś, komu budująca historia Hassanowego brata znana jest z naszych ust, utrzymuje całkiem poważnie, że pewnego razu w nocy mignęło rzekomo na firmamencie przed jego oczyma jakieś ciało niebieskie, kształtem przypominające starca z długą, rozwianą brodą.

Jeżeli chodzi o autora tej opowieści, to nie wierzy on powyższej informacji: Omar Jussuf był czymś zbyt marnym, żeby go można było na tę odległość zobaczyć.

## LI. Fatalna pasja staruszka Hassana

Przez kilka dni po zniknięciu brata Hassan był smutny i siedział w akwarium, potem jednak pogodził się jakoś z losem i wszystko poszło zwykłym trybem.

Któregoś ranka nasi przyjaciele cichutko gawędzili ze staruszką; godzina była wczesna, toteż Hassan rozkosznie się jeszcze wylegiwał na swoim posłaniu pod łóżkiem.

Żenia wyjrzał przez okno i rzekł:

— Przewidywane są opady.

Istotnie, niebo zaciągnęły chmury; zaczął siać obrzydliwy, drobniutki deszczyk.

— Może byśmy tak posłuchali? — odezwał się Wolka, po czym z miną sztucznie obojętną wskazał palcem na nowiutki aparat radiowy. Był to podarunek otrzymany od rodziców z okazji pomyślnego uzyskania promocji do klasy siódmej. Wolka z widoczną przyjemnością włączył odbiornik.

Potężne tony orkiestry symfonicznej wypełniły pokój.

Hassan ze zdumieniem wytknął głowę spod łóżka.

— Gdzie są ci wszyscy ludzie, którzy tak rozkosznie wygrywają na przeróżnych instrumentach muzycznych?

— Ach, prawda! — zawołał Wolka. — Przecież Hassan jeszcze nie zna radia!

(Rzecz to nader dziwna, a jednak przez pośpiech nie zainstalowano w kajucie ogólnej na „Ładodze” odbiornika radiowego).

Ze dwie godziny chłopcy patrzyli na Hassana i cieszyli się. Staruszek był po prostu wstrząśnięty osiągnięciami radiotechniki. Wolka łapał dla niego Władywostok, Tbilisi, Kijów, Leningrad, Mińsk, Taszkient. Z odbiornika posłusznie płynęły pieśni, grzmiały marsze, rozbrzmiewały przemówienia wypowiedane w najrozmaitszych językach. Po pewnym czasie chłopcy mieli już dość słuchania. Na dworze wyjrzało słońce, wyszli więc, żeby się nieco przewietrzyć, zostawiając przy odbiorniku do głębi oczarowanego Hassana.

Wtedy to zaszła owa tajemnicza historia, której babunia Wolki do dnia dzisiejszego w żaden sposób nie umie sobie wytłumaczyć.

Niedługo po odejściu chłopców babcia weszła chcąc wyłączyć aparat i nagle posłyszała

w zupełnie pustym pokoju jakieś starcze pokaszliwania. Zauważyła też, że po skali sama się przesuwa ciemna, oksydowana strzałka.

Staruszka się przestraszyła, uznała, że lepiej już całkiem nie dotykać aparatu, i pobiegła po Wolkę. Dopędziła go na przystanku autobusowym. Chłopiec się zmieszał, powiedział babcuni, że wprowadza przy aparacie radiowym pewne udoskonalenia, że automatyzuje odbiornik i bardzo prosi, żeby babcia o tej sprawie nic nie mówiła rodzicom, gdyż Wolka chce im zrobić niespodziankę. Wszystko to bynajmniej nie uspokoiło staruszki, obiecała jednak zachować tajemnicę. Przysłuchiwała się z niepokojem aż do samego wieczora, jak z pustego pokoju raz po raz dawało się słyszeć dziwne, przytłumione, starcze pomrukiwanie.

Tego dnia odbiornik nie odpoczywał ani chwili. Gdzieś koło drugiej w nocy umilkł wprawdzie na jakiś czas, okazało się jednak, że Hassan po prostu zapomniał, jak się nastawia na Taszkient. Wobec tego zbudził Wolkę, zapytał go o to i znowu podszedł do aparatu...

Stała się rzecz fatalna: staruszek zapomniał o całym świecie, tak go pochłonęło radio.

## LII. Noworoczna wizyta Hassana

Na czas ferii zimowych Żenia wyjechał do Zwienigorodu, gdzie mieszkali jego krewni. Czwartego stycznia nadszedł zaadresowany na jego nazwisko list. Jest to list godny tego, byśmy się nim bliżej zainteresowali i to co najmniej z trzech względów.

Przede wszystkim po raz pierwszy na kopercie było napisane nie Żenia i nawet nie Jewgienij, ale Jewgienij Nikołajewicz Bogorad. Następnie był to pierwszy list napisany przez Hassana do jego młodego przyjaciela.

Wreszcie jeszcze bardziej interesująco przedstawia się sama treść tej zaiste wyjątkowej epistoły.

Podajemy ją poniżej po przeprowadzeniu pewnych skrótów.

O najłaskawszy i najdroższy przyjacielu mój, cudowna a niepowtarzalna ozdobo szkół tudzież boisk sportowych, nadziejo upojna nauki ojczystej i sztuk pięknych, radości i dumo rodziców oraz przyjaciół, Jewgienij ibn Nikołaj, ze znakomitego i szlachetnego rodu Bogoradów — niech droga Twojego życia będzie usiana różami bez kolców i tak długa, jak życzy Ci tego uczeń Twój, Hassan Abdurrachman ibn Chottab.

Mam nadzieję, że pamiętasz, jak wielka była radość i wdzięczność moja, kiedy pół roku temu. o młody przyjacielu mój, a także przyjacielu mego młodego wybawcy, wyzwoliłeś z okropnego więzienia w miedzianym garnku mego nieszczęsnego brata Omara Jussufa ibn Chottab, z którym okrutnie rozłączony byłem przez długie tysiące lat.

Jednakowoż po radości, jaką mi dało to upragnione spotkanie, przyszło w niedługim czasie ciężkie rozczarowanie, albowiem brat mój okazał się istotą niewdzięczną, ograniczoną, kłótniową i zawistną. Pamiętasz zapewne, że postanowił on polecieć na księżyc, chciał bowiem przekonać się naocznie, czy prawdą jest, że powierzchnię księżycy pokrywają góry, jak utrzymywał opierając się na wskazaniach nauki zwanej „astronomią” nasz wysoce wykształcony przyjaciel Wolka ibn Alosza.

Niestety! Pobudziła do tego czynu brata mego, tak dalekiego od mądrości, nie bezinteresowna żądza wiedzy, nie szlachetna i godna pochwały dążność do poznawania świata, lecz niska i w najwyższym stopniu ordynarna chęć poniżenia i ośmieszenia człowieka, który starał się ze wszystkich swoich sił powstrzymać go od tego nieobliczalnego w skutkach postępu.

Brat mój nie chciał się liczyć z twierdzeniami innej jeszcze nauki, zwanej „mechaniką”; skazał się przez to na wieczne i bezużyteczne krążenie dokoła Ziemi, która, wedle tego, czegom się niedawno dowiedział (kto by mógł pomyśleć!), obraca się z kolei dookoła słońca.

Dnia czwartego otrzymałem od Ciebie, o Żenio ibn Kola, pismo, noszące uczoną nazwę

„telegram”, w którym to piśmie w sposób tak szlachetny i miły zarazem złożyłeś mi swoje życzenia pomyślnego Nowego Roku. Kazało mi to przypomnieć, że dniami i nocami objęta się po niebie mój wprawdzie nader niemiły, lecz bardzo nieszczęśliwy brat i że nie ma tam nikogo, kto by mu złożył życzenia noworoczne. Zebrałem się tedy i wyleciałem akurat w samo południe przez daleki błękitny przestwór, aby odwiedzić Omara Jussufa, by go pozdrowić i — jeśli to będzie możliwe — dopomóc mu wrócić na Ziemię.

Nie będę, o Żenio ibn Kola, zaprzętał Twojej zawsze dla mnie życzliwej uwagi, opisując, w jaki sposób udało mi się przewyciężyć prawo powszechnego ciężenia — nie to bowiem jest celem mojej opowieści. Wystarczy, gdy Ci zakomunikuję, że z początku wyleciałem mniej więcej z tą szybkością, z jaką wyruszył Omar Jussuf, i podobnie jak mój brat stałem się satelitą Ziemi, trwało to jednak bardzo krótko, akurat tyle, ile było trzeba, abym się zobaczył z Omarem. Potem zaś, gdy uznałem, że czas mi już wracać na Ziemię, zwróciłem się twarzą w jej stronę i nadałem memu ciału dokładnie taką szybkość, jaka była niezbędna do pokonania siły, dzięki której obracałem się dokoła kuli ziemskiej na podobieństwo wiaderka z wodą na mocno napiętej linie, obracającego się w rękę trzymającego je chłopaka.

Nie miejsce tu, a i nie czas po temu, aby się rozpisywać, jaka była ta szybkość. Gdy się zobaczymy, pokażę Ci moje obliczenia wstępne, mogłem ich bowiem dokonać dzięki opanowaniu szeregu wiadomości z zakresu matematyki, astronomii i mechaniki. Zawdzięczam je Tobie i Wolce ibn Alosza, wspaniałomyślniej i dostojnej waszej cierpliwości. Ale nie o tym teraz pragnę mówić. Chciałem odwiedzić braciszka mego...

W tym miejscu, jak widać, Hassan uronił łezkę, gdyż na papierze widoczny był ślad rozpląniętego atramentu. Z konieczności więc opuszczamy kilka wierszy.

Gdy porzuciłem Ziemię, skąpaną w radosnym blasku południowego słońca, otoczyły mnie rychło ciemności nieprzejrzane i przeraźliwe, ogarnął nieznośny chłód. W tym lodowatym mroku lśniły jaskrawym, lecz martwym i nieruchomym blaskiem po dawnemu dalekie punkciki gwiazd, a oczy raził żółtawy dysk płonącego słońca.

Długo leciałem tak w tym zimnie, otoczony ciemnością i ciszą; zwątpiłem też całkiem w pomyślny skutek mego przedsięwzięcia, kiedy nagle na ciemnym aksamicie nieba przy ostrym blasku słońca spostrzegłem jakiś kształt długi i cienki. Owo ciało niebieskie z ogromną szybkością zbliżało się ku mnie. Po rozwianej brodzie, podobnej do ogona komety, i po nieustannym ponurym pomrukiwaniu poznałem bez trudności mego brata.

„Salem alejkum, Omarciu! — zawołałem w chwili, gdyśmy się ze sobą zrównali. — Jak zdrowie?”

„Owszem, nienajgorzej — niechętnie i chmurnie odrzekł Omar Jussuf. — Jak widzisz, krążę sobie pomaleńku dokoła Ziemi. — Poruszył kilka razy wargami i dodał oschle: — A teraz gadaj, czego tu szukasz? Nie zapominaj, żeś przyleciał do kogoś, kto jest bardzo zajęty. Załatw sprawę i zabieraj się!”

„Jakież zajęcie tak dalece cię absorbuje, o najmilszy bracie mój?” — zapytałem go.

A on mi odpowiedział:

„Jeszcze się pytasz, jakie?! Mówiłem ci przecież, że pracuję w charakterze satelity Ziemi. Kręcę się jak opętany dzień i noc bez chwili odpoczynku...”

„O biada! — zawołałem w ogromnej żalości. — Jakże smutne i nieciekawe prowadzisz życie pośród wieczystego chłodu i ciemności, w tym nieustannym i bezsensownym krążeniu z dala od wszytkiego, co żyje!”

I zalałem się łzami, albowiem bezgranicznie żalowałem brata mego.

Ale Omar Jussuf w odpowiedzi na moją serdeczność rzucił mi słowa chłodne i wyniosłe:

„Możesz mnie wcale nie żalować. Potrzebne mi twoje współczucie jak dziura w moście. Spójrz, a sam się przekonasz: jestem największy pośród ciał niebieskich. Prawda, że słońce i księżyc wydają z siebie światło i to nawet dosyć mocne, a ja nie świecę, ale za to jestem bez porównania od nich większy. O gwiazdach nawet nie wspominam, są tak małe, że cała ich kupa zmieściłaby się na jednym moim paznokciu! — Gdy to mówił, na twarzy jego zjawiono się coś w rodzaju życzliwego uśmiechu. — Jeśli chcesz — rzekł — możesz się przyłączyć, zostaniesz moim satelitą i będziemy się obracali razem. Będziesz, oczywiście z wyjątkiem mnie, jednym z największych ciał niebieskich”.

Przedwczesna jednak była moja radość z tego dosyć dziwnego wprawdzie, lecz bądź co bądź bezspornego dowodu uczuć braterskich. Omar Jussuf bowiem w sposób następujący uzasadnił swoją propozycję:

„No, bo widzisz, wszystkie ciała niebieskie mają swoich satelitów, ja tylko nie mam. Wstyd nawet trochę wobec innych”.

Przeraziła mnie tępota i głupie samolubstwo mego brata. Zrozumiałem też, że Omar nie ma ochoty wracać na Ziemię, rzekłem więc do niego z ciężkim sercem:

„Żegnaj, albowiem spieszę się bardzo: muszę jeszcze złożyć życzenia paru młodym przyjaciółom moim”.

Lecz Omarowi podobał się jak widać własny pomysł, bo nagle zaczął na mnie ryczeć:

„A kto będzie moim satelitą? Radzę ci po dobroci, żebyś ze mną został, a jeżeli się na to nie zgadzasz, rozwałę cię w drobne kawałeczki!”

To rzekłszy wpił pazury w moją lewą nogę, ale ja już wiedziałem, co mam robić: ostro skręciłem w bok i wydarłem się z rąk Omara, pozostał w nich tylko jeden z moich pantofli. Oczywiście Omar chciał mnie gonić, ale nie mógł tego uczynić, gdyż musiał kontynuować swoją nieskończoną drogę biegnąc po zamkniętej krzywej, której na imię „orbita”.

Gdy odsunąłem się od mego nieznośnego i samolubnego brata na przyzwoitą odległość, odczułem mimo wszystko, że mi go trochę żal, zawołałem więc głośno:

„Skoro tak bardzo potrzebni są ci satelici, o Omarze Jussufie, to można będzie tę rzecz załatwić!”

Wyrwałem z brody mojej pięć włosków, rozdarłem je na drobne kawałeczki i rzuciłem na wszystkie strony świata.

I oto dokoła Omara Jussufa zaczęło się obracać mnóstwo różnobarwnych, pięknych kulek różnej wielkości, od ziarnka grochu począwszy, na dużej dyni kończąc. Byli to całkowicie dla niego odpowiedni satelici tak pod względem rozmiarów, jak i pod względem urody.

Jako istocie nader ograniczonej, bratu memu aż do tej chwili widocznie nie przyszło do głowy, że sam może sobie stworzyć satelitów. Lecz teraz w zrozumiłości swojej nagle zapragnął mieć satelitę wielkości góry. Księżyc taki natychmiast koło niego się zjawił. Wobec tego jednak, że masa materii, zawartej w tej górze, tysiące tysięcy razy przekraczała wagę niesfornego i nierozgarniętego brata mego, Omara Jussufa, wyróżnął on w jednej chwili o stworzone przez siebie, nowe ciało niebieskie, sprężyste niczym piłka futbolowa odbił się od niego i z głośnym lamentem zaczął przedziuteńko krążyć dokoła swego satelity.

Tak to Omar Jussuf padł ofiarą bezgranicznej swojej próżności, stając się satelitą własnego satelity.

Ja zaś wróciłem na Ziemię i zasiadłem, żeby napisać ten list do Ciebie, o krynico wszelkich doskonałości, abyś nie pozostawał w nieświadomości tego, co się wydarzyło.

Spieszę Cię również zawiadomić, że udało mi się zobaczyć w sklepie z odbiornikami radiowymi przy ulicy Gorkiego najdoskonalszy w świecie aparat o dziewięciu lampach. Zalety jego są niezliczone, a wygląd sprawia rozkosz nawet najbardziej wybrednemu oku: przyszło mi tedy na myśl, że gdyby się do odbiornika owego przystosowało...

Dalsza część listu zawierała typowe zwierzenia człowieka, który jest namiętym radioamatorem. Nie ma sensu ich tu przytaczać, gdyż ci, których ta dziedzina pasjonuje, nie znaleźliby w nich nic dla siebie nowego, ludzie zaś usposobieni obojętnie dla przemysłu wytwarzającego środki łączności nie znajdą w opisie tym nic godnego uwagi.



### LIII. Epilog

Gdyby któryś z czytelników tej prawdziwej w każdym szczególe opowieści zajrzał kiedyś, będąc w Moskwie, na ulicę Razina do poczekalni Zarządu Głównego Północnych Dróg Morskich, to zobaczyłby wśród wielu dziesiątków obywateli, których marzeniem jest praca na Dalekiej Północy — staruszka w sztywnym słomkowym kapeluszu, w różowych pantoflach haftowanych złotymi i srebrnymi nićmi. Jest to nasz przyjaciel Hassan; mimo licznych starań nie udało mu się dostać posady radiotelegrafisty przy jakiegokolwiek stacji w strefie podbiegunowej.

Już sam wygląd zewnętrzny — a przede wszystkim długa do pasa, siwa broda, wskazująca na wiek nader szacowny — stanowi poważną przeszkodę, jeśli idzie o uzyskanie przydziału pracy w surowych warunkach okolic podbiegunowych. Lecz sytuacja staje się całkiem beznadziejna, gdy staruszek zabiera się do wypełnienia ankiety.

Na pytanie, co robił przed rokiem 1917, pisze szczerą prawdę: „Zawodowy dzinn”. Na pytanie dotyczące wieku podaje: „3702 lata i 5 miesięcy”. Na pytanie o stan rodzinny z całą prostotą odpowiada: „Zupełny sierota. Kawaler. Mam brata; na imię mu Omar Jussuf. Do lipca roku ubiegłego zamieszkiwał na dnie Północnego Oceanu Lodowatego w miedzianym garnku, w chwili obecnej pracuje w charakterze satelity Ziemi“ i tak dalej, i temu podobnie.

Ci, co przeczytali tę ankietę, uznali, że Hassan ma niezupełnie dobrze w głowie, chociaż czytelnicy naszej powieści wiedzą doskonale, że staruszek pisze najszczerszą prawdę.

Oczywiście Hassan z łatwością mógłby się zmienić w człowieka młodego i napisać sobie jakiś całkiem przyzwoity życiorys albo też w ostatecznym razie zastosować chwyt już wypróbowany przed wycieczką na „Ładodze”. Lecz w tym właśnie sęk — staruszek uparł się, że otrzyma pracę w strefie podbiegunowej drogą całkiem uczciwą, bez żadnego oszukaństwa.

Ostatnimi czasy zresztą Hassan jakoś rzadziej odwiedza poczekalnię w Zarządzie Głównym Północnych Dróg Morskich. Zamierza zająć się nieco teorią radiotechniki, gdyż chce się nauczyć samodzielnie budować odbiorniki radiowe. Wobec wielkich zdolności i ogromnej pracowitości staruszka, projekt ten bynajmniej nie jest beznadziejny. Chodzi jedynie o nauczycieli. Hassan pragnąłby mieć jako wykładowców obu swoich młodych przyjaciół. Lecz chłopcy mogli mu tyle tylko obiecać, że będą z nim przerabiali z dnia na dzień to, czego sami nauczyli się w szkole. Wziąwszy całą rzecz na rozum, staruszek uznał, że w ostateczności nie jest to wyjście najgorsze.

Tak więc Wolka i Żenia uczą się obecnie bardzo sumiennie, jadą na samych piątkach, żeby się nie zblamować w oczach sędziwego ucznia. Z Hassanem rzecz jest już umówiona: przy pomocy chłopców skończy on szkołę średnią jednocześnie z nimi. A potem zarówno przed staruszką, jak i przed chłopcami ściele się prosta droga — wyższa uczelnia. Tu jednak ich ścieżki rozejdą się w różne strony. Żenię, jak o tym pewnie pamiętacie, od dawna łączy kariera lekarza, Wolka natomiast ma zupełnie takie same plany, jak Hassan. Marzeniem jego jest zostać konstruktorem aparatów radiowych; możecie mi wierzyć, będzie z niego całkiem niezgorszy specjalista w tej trudnej, ale tak pasjonującej dziedzinie.

Pozostało nam już tylko pożegnać bohaterów tej zabawnej i wzruszającej historii, życząc im zdrowia i powodzenia w nauce oraz w dalszym życiu.

Gdybyście kiedykolwiek spotkali kogoś z nich, nie zapomnijcie pozdrowić go od autora, który wymyślił ich wszystkich z uczuciem najtkliwszej miłości.

## SPIS RZECZY

<i>Od autora</i>	002
I. Niezwykły ranek	004
II. Tajemnicze naczynie	005
III. Staruszek Hassan	007
IV. Egzamin z geografii	008
V. Następna przysługa Hassana	014
VI. Niezwykła historia w kinie	015
VII. Niespokojny wieczór	019
VIII. Niespokojna noc	024
IX. Ranek od wieczora zmyślniejszy	025
X. Wywiad z nurkiem	027
XI. Zapowiada się wyprawa samolotem	028
XII. Lot	030
XIII. Kto jest najbogatszy?	034
XIV. Jeden wielbłąd kroczy	037
XV. Tajemniczy wypadek w jednym z oddziałów Banku Narodowego	040
XVI. Staruszek Hassan i Sidorelli	043
XVII. Szpital pod łóżkiem	047
XVIII. Staruszek Hassan i mister Harry Vandendulles	049
XIX. Opowiadanie Hassana Abdurrachmana o tym, co się z nim działo po wyjściu ze sklepu	050
XX. Ci sami i Harry Vandendulles	051
XXI. Do stadionu droga jest długa	058
XXII. Druga przygoda w metrze	059
XXIII. Trzecia przygoda w metrze	060
XXIV. Zbywające bilety	061
XXV. Znów „eskimo”	062
XXVI. Ile powinno być piłek?	063
XXVII. Hassan bierze udział w grze	064
XXVIII. Sytuacja się zaostrza	066
XXIX. Pojednanie	069
XXX. Gdzie szukać Omara?	069
XXXI. „A może byśmy tak zostali?”	070
XXXII. Opowiadanie konduktora międzynarodowego wagonu pociągu pospiesznego Moskwa-Odessa o tym, co zaszło na odcinku Nary-Mały Jarosławiec	072
XXXIII. Nieznany żaglowiec	075
XXXIV. Na „Omarze Najmilejszym”	076
XXXV. Dywan-hydroplan „WK-I”	080
XXXVI. Wywiad z młodym genueńczykiem	082
XXXVII. Hassan znika i znajduje się znowu	084
XXXVIII. Fatalna waliza	088
XXXIX. Naczynie znalezione przy Słupach Herkulesa	090
XL. „To jest ten stary signor!”	092
XLI. Najkrótszy ze wszystkich rozdziałów	097
XLII. Marzenie o „Ładodze”	098

XLIII.	Popłoch w Centralnym Biurze Turystycznym	102
XLIV.	Kto jest najznakomitszy?	104
XLV.	Co przeszkadza spać?	107
XLVI.	Rafa czy nie rafa?	108
XLVII.	Hassan się gniewa	110
XLVIII.	„Salem alejkum, Omarciu!”	112
XLIX.	Omar Jussuf pokazuje pazurki	117
L.	Osiągnięcia optyki dają czasem wyniki niezwykle	122
LI.	Fatalna pasja staruszka Hassana	125
LII.	Noworoczna wizyta Hassana	126
LIII.	Epilog	129